

1404.

WARSZAWA,

JĘJ ŻYCIE UMYSŁOWE I RUCH LITERACKI

W CIĄGU LAT TRZYDZIESTU

(od 1800 do 1830 r.).

PRZEZ

K. WŁ. WÓJCICKIEGO.

ODBITKA Z BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ Z 1879 R.

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1880.

1904

WARSZAWA,
JÉJ ŻYCIE UMYSŁOWE I RUCH LITERACKI.

WARSZAWA,

JĘJ ŻYCIE UMYSŁOWE I RUCH LITERACKI

W CIĄGU LAT TRZYDZIESTU

(od 1800 do 1830 r.).

PRZEZ

K. WŁ. WÓJCICKIEGO.

— ODBITKA Z BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ Z 1879 R. —

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

—
1880.



№ 441

Дозволено Цензурою.

Варшава, 19 Декабря 1879 года.

II. 1318

"V"

Druk. J. Bergera, ulica Elektoralna №. 14, w Warszawie.

~~к. 242/46.~~

BZ08PK/044-27

I.

Przewaga Warszawy w kraju.—Centralizacya umysłowa.—Cisza miejska, i gwar wesóły z pałacu pod Blachą, głównej rezydencyi księcia Józefa Ponia-towskiego.—Sądy o nim i wspomnienia.—Rok pierwszy naszego stulecia.—Szwargot niemiecki.—Przekupki warszawskie.—Bójki i sztrafy.—Choroby społeczne.—Czarna melancholia.—Pomieszanie zmysłów.—Adam Naruszewicz.—Fr. Dyonizy Książnin.—Uczucie religine.—Prasa peryodyczna.—Gazeta Warszawska.—Żywe słowo zastępujące miejsce prasy.—Franciszek Gugen-mus.—Roznoszenie nowin politycznych.—Jego wizyta u gubernatora Koehle-ra.—Marcin Molski, jego wiersze i powiśszowania.—*Stanisłaida* poemat.—*Wiersz do Legionów polskich*.—Cypryan Godebski.—*Dekada* legionów.—*Nowy pamiętnik warszawski*.—Zabawy przyjemne i pożyteczne.—Piraterya literac-ka.—Żal Jarosławny w porównaniu dwu tłumaczy.—Ocena *zabaw przyjem-nych* Cypryana Godebskiego: dzieła dla miłośników literatury ojczyźstėj.—Bel-letrystyka.—Jakób Adamezewski.—Gitara i klawikord.—Pieśni owoczesne.—
Panna Ewa Smólska, jój pieśnioksiąg.

Mamy złożyć sprawozdanie o życiu umysłowem Warszawy i ruchu literackim w ciągu lat 30 od 1800—1830 r. Mówiąc o Warszawie, obejmujemy zarazem cały kraj, bo w skutek systemu centralizacyjnego, wszystko życie umysłowe Polski, zbiegało się w jej murach; prowincya oznak samodzielności życia duchowego niedawała, cała téż intelligencya krajowa skupiała się w obrębie staréj stolicy. Wszyscy zwracali na nią swoją uwagę; jedne zawsze po dworach i miasteczkach słyszałeś pytania co słyhać w Warszawie? co robi Warszawa? Ona nadawała ton i modę wszystkim prowincyom; z niej poświt radości lub smutku błyskawica kraj cały przebiegała. Nic jej przewadze nie przeskadzało, że ze stolicy królewskiej zamieniono ją w prowincjonalne miasto pruskie. Prawda, że mury grodu opustoszały; w pałacach panów polskich świeciły pustki; przez drzwi i okna wybite, smutno wyła wichura nieraz, obszerne podwórza murawą zarastały, ale przewaga mieszkańców krajowych od lat dawnych osiadła, nieopuszczała swych siedzib. Młodzież dawnéj stolicy bawiła się wesoło, za czasów pruskich, w krainie która straciła swój byt i imię, a na czele tego orszaku, przewodził młody książę Józef Poniatowski. Pomimo tego nie szarzała się w brudach, i gdy potrzeba przyszła, kiedy pobudka dała hasło, dosiadła za swoim wodzem dziarsko konie, i niedługo dała dowód staréj waleczności, którą książę Józef bohaterką śmiercią w nurtach Elstery pod Lipskiem poświadczył.

Mieszkał ten wódz z kampanii 1792 r. w pałacyku pod Blachą, przy zamku królewskim, zwracał na siebie uwagę jako synowiec ostatniego króla, jako wódz w kampanii 1792 r., który, gdy król Stanisław August przystąpił do konfederacyi Targowickiej, nie myśląc stanąć w obronie zaprzysiężonej przez siebie ustawy sejmu czteroletniego,—złożył dowództwo nad armią polską, wraz z przesłanym listem, pełnym obywatelskich myśli.

W pałacyku pod Blachą wrzały bachanalia, i wśród ciszy grobowej miasta, wesołe z pod Blachy rozlegały się okrzyki. Wywoływały one poniekąd słuszne sarkania, i nieraz wyrazy zgrozy; ale nikt nie zajrzał w głąb serca młodego księcia, i nie zbadał czy tym sposobem

nie chciał zatkumić choć w części pamięci nieszczęść, jakim uległ kraj cały i jego rodzina, wraz z koronowanym stryjem, do którego gorąco był przywiązany, i więcj mu jak kto inny przebaczał błędy i grzechy. Starzy kontuszowcy sarkali na księcia, że w pałacu jego stara francuzica Vauban przewodziła, że mowy polskiej w jego ścianach nie słyszano, a w domowym teatrzyku pod Błachą grywano same komedyjki francuzkie. Były to zarzuty słuszne, ale książe Józef odebrał wychowanie francuzkie, wówczas w modzie będące, i odwyknąć od niego nie mógł: sam lepiej mówił po francuzku, aniżeli po polsku. Wszystko jednakże mu przebaczone, gdy się ukazał w ułańskiej kurtce z szablą przy boku. Hulaszcze jego grono poszło za przykładem ukochanego księcia. Wizerunki jego, już popiersia, już w całej postaci; to pieszo to konno były wielce pokupne, i nie było domu w Warszawie, gdzieby je, z chlubą nie zawieszano na ścianach bawialnego pokoju, przy dawnych wizerunkach króla Jana Sobieskiego w pełnej zbroicy. Cały ten orszak wesółych towarzyszków z pod Błachy w napadzie Austryaków 1809 roku, świetnie się odznaczał i nie jeden śmiercią walecznego poległ na pobojuwisku.

Rok pierwszy naszego stulecia 1800 zastaje kraj bez imienia, bez bytu politycznego. Skutkiem bowiem ostatniego rozbioru Polski, część jej wraz z Warszawą, przeszła pod panowanie Prusaków.

Gwarna gorącym życiem stolica, zmieniła swą postać, gdy się stała miastem prowincjonalnym. Po ulicach głucho, jeżeliś usłyszał mowę ludzką, to jedynie *szwargot* niemiecki. Tylko przy straganach na Starém-Mieście i w Bramie Krakowskiej przy zamku królewskim, gdzie zasiadało dzielne a junacze plemię przekupek warszawskich, od czasu do czasu usłyszałeś energiczne wyrażenia polskie rozgniewanej pani straganiarki, a każdej z nich Niemcy się bali, bo tego w uniesieniu policzkowały i tarosiły potężnie za czupryny. Nie powstrzymywały ich od tego *szafrasy* jakie płacić musiały, a bijąc Niemca powtarzały ulubione stare przysłowie: *zabiję, zapławe!* Do zabójstwa wprawdzie nigdy nie przychodziło, ale do bijatyki często, poczem wydawać musiały z kieszeni talarki. Z uśmiechem i zadowoleniem płaciły je chętnie, pocieszając się tem słodkim przekonaniem, że porządnie Niemca wyczubiły.

Cios, jakim dotknięta została ówczesna społeczność, szerzył chorobę czarnej melancholii i pomieszania zmysłów. Pierwszj ofiarą padł znakomity historyk Naruszewicz, drugiej Franciszek Książnin poeta, którego choroba odznaczała się grobowym milczeniem. Od chwili bowiem, gdy nią dotknięty został, słowa nie wyrzekł, nawet gdy mu głód dokuczał, tylko obłądnym a wydatnym wzrokiem ponuro spoglądał wokoło. Pomimo, rzecz można, epidemicznych dwu tych chorób, niesłychanem było samobójstwo. Duch staroreligijny powstrzymywał ręce nawet dotkniętych pomieszaniem zmysłów, od podniesienia ich dla skrócenia sobie życia. Opinia publiczna i przepisy kościoła oddziaływały silnie na umysły całej społeczności. Opinia gardziła samobójcą

utrzymując, że człowiek skracający sobie życie dobrowolnie nie wart szacunku i pamięci po sobie, bo mógł szukać ratunku w modlitwie i poddaniu się woli Opatrzności znosząc mężnie po chrześcijańsku niedolę; kościół odmawiał pogrzebu zwłokom samobójcy w ziemi poświęconej na cmentarzach i postugi kapłańskiej.

Prasa peryodyczna jakby nie istniała, bo jedna tylko w Warszawie wychodziła *Gazeta Warszawska*, obojętna zupełnie na sprawy krajowe. Z zagranicznych zaś pism czerpała spóźnione wiadomości głównie z pruskich gazet. Żywe słowo zastępowało wówczas prasę peryodyczną, pozbawioną zajęcia i życia. Owoż taką chodzącą gazetą, a upragnioną dla całego miasta był słynny na kraj cały Fr. Gugenmus zegarmistrz. Ojciec jego, za panowania Augusta III, rodem z Bawaryi, przybył do Warszawy i w tém mieście osiadł. Tu musię syn, a nasz Franciszek urodził. Znakomity matematyk i uczony zegarmistrz pracował w Genewie lat 5, w Paryżu lat 7, gdzie skupował rzadkie dzieła do swięj sztuki należące. Biblioteka jego składała się z 600 tomów dzieł wyborowych, co na owe czasy było osobliwością. Biegły i sumienny w swęj sztuce był zegarmistrzem nadwornym króla Stanisława Augusta. Zjednął sobie chlubny w całym kraju rozgłos w swoim zawodzie, a zegarki jego roboty z napisem: *Francois Gugenmus Horloger du Roi*, były długo wielce poszukiwane i cenione. Żył lat blisko 80, umarł w r. 1820. Gugenmus, gdy doszedł lat 60, zaczął swój kunszt zaniedbywać, a z zapałem oddał się zbieraniu i roznoszeniu po mieście nowinek tak krajowych, jak i zagranicznych. Była to osobistość wydatna i oryginalna wśród murów Warszawy. Chodził bowiem dzień cały po ulicach Warszawy, zawsze jednakowo ubrany, w surducie granatowym krojem staroświeckim, w spodniach czarnych lub ciemnych, krótkich po kolana, w pończochach białych jedwabnych i trzewikach z dużemi srebrnemi sprzączkami. Na głowie, której nigdy nie nakrywał, peruka upudrowana, wypomadowana, w fryzowana w duże loki z herbajtem z tyłu. Kapelusik mały składany (*chapeau-bas*) pod pachą lub w rękę, kończył ubiór, którego nigdy nie zmieniał latem czy zimą, w dzień pogodny lub deszcz i największe błoto.

Nosił zawsze w kieszeniach lub rękę gazety berlińskie, hamburgskie i inne, oraz liczne korespondencje z różnych stron. Mając krewnego i przyjaciela w legionach Tremont'a Eliasza, szefa batalionu, i otrzymując częste od niego z Włoch listy, gromadził wkoło siebie ciekawą gawiedź powieścią, o nowinach z Italii i kolejach legionów włoskich.

Kiedy w bitwie pod Jena Napoleon I rozbił całą potęgę pruską, pierwszy uwiadomił mieszkańców Warszawy o tym wypadku, dodając ze swęj strony: „Wkrótce tylko patrzeć, jak Prusacy z Warszawy i zabranych prowincyi polskich uciekać zaczną.”

Głośno szczegóły tęj bitwy opowiadał licznie zgromadzonym na Sto-Jańskiej ulicy słuchaczom, którzy go oczekiwali zawsze, popijając wyborne piwo dubeltowe Kazimirusa. Z powodu rozsiewania wieści, na kilka miesięcy przedtém wezwany do ówczesnego generała pruskie-

go i gubernatora miasta Warszawy Koehlera, proszony był przez niego, aby nowin często niepewnych, oraz zatrważających wieści o klęskach wojska pruskiego nie ogłaszał. Gugenmus daje mu przyrzeczenie, że tym się trudnić więcej nie będzie; wychodząc jednak z gabinetu gubernatora, wielce lubionego i poważanego generała, którego pamięć wdzięczną długo zachowywali w swoich wspomnieniach mieszkańcy Warszawy, przypomina sobie, że ma w kieszeni gazety niemieckie, w których donoszą o szczegółach stoczonej dnia 14 października 1806 r. krwawej bitwie pod Auerstaedt, w której Prusacy pobici zostali.

— Czy to jest prawda JW generale?

Kochler człowiek łagodny i wyrozumiały, odrzekł mu na to z uśmiechem.

— Już ja widzę, mój panie Gugenmus, że bez takich nowin politycznych obejść się nie możesz i napróżno dałeś mi przyrzeczenie nieogłaszania takowych. Uwalniam cię od danego słowa.

Ucieszony tym wielce, rzekł z ukłonem:

— Jeżeli tak dalej pójdzie JW generale, to tylko patrzeć, jak Prusacy z Warszawy i zabranych prowincji polskich uciekać będą.

I z miną tryumfującą opuścił mieszkanie gubernatora, opowiadając każdemu o swój rozmowie z generałem Koehlerem.

Jak wiadomości polityczne rozbiegały się tym sposobem po Warszawie, a następnie w całym kraju, tak i literatura objawiała się tą drogą jedynie żywego słowa i w rękopismach.

Żył pod owe czasy Marcin Molski brygadyer wojsk Rzeczypospolitej, który mając łatwość rymowania, korzystając z każdej okoliczności, brał je za treść do swoich wierszy. Mając mnóstwo znajomych w Warszawie, każdemu w imieniny, lub święta inne doroczne winszował. Każdy też oczekiwał nawet z pewną tęsknotą, na wiersze drukowane lub pisane Molskiego. Ztąd wielkiży używał popularności w całym kraju. Stanisławowi Augustowi, już przy ostatnim wyjeździe z Warszawy do Petersburga, ofiarował swój poemat p. n. *Stanisłaida*, którą wszyscy chwalili, lubo mało kto czytał; w kilkadziesiąt lat dopiero później wydrukowanym został i pokazał, że na te pochwały, sypane tak szczerze wcale nie zasłużył.

Ale w owe czasy Molski był w modzie; każdy wierszyk jego, każde powinszowanie, przepisywano skwapliwie i rozsyłano po kraju. Gugenmus tych wierszy nie rozpowszechniał, trudniąc się jedynie politycznymi wiadomościami. Miał on dom swój na ulicy Ś-go Jana (Nr. 27) i tu przychodzili liczni jego przyjaciele, szczególnież kiedy się dowiedzieli, że z Italii ma listy.

Było u niego liczne zebranie: rozeszła się wieść, że ma wiadomość, jak Chłopicki w górach włoskich rozbił bandę słynnego rozbójnika Fra-Diavolo i samego schwytał. Poczém wydobyl kilka arkuszy zapisanego papieru i jeden z grona zaczął czytać wiersz *do legionów polskich*. Kiedy słuchali wszyscy z rozrzewnieniem tego utworu, pięk-

nym i potoczystym oddanego językiem, zapytano w końcu o imię autora. Gugenmus wtedy się odezwał:

— Jak mi pisze szef batalionu *Tremont*, jest to młody palestrant Cypryan Godebski z Wołynia, który przedarłszy się do Włoch, jest w legionach dobrze widziany i szanowany od swoich. Redaguje on pismo *Dekadę legionów*, nie drukuje się ona, ale z pisanego po kompaniach odczytuje. Z niej to dopiero dowiadują się jego towarzysze, co się dzieje w kraju. Ma on tu niedługo wrócić, to się dopiero nim ucieszymy, kiedy przyniesie pełną torbę nowin nieznanych.

Jakoż w parę lat później rzeczywiście Godebski przybył do Warszawy i zaraz ożywił ruch prasy peryodycznej w naszym mieście.

Oprócz *Gazety Warszawskiej*, wychodził od r. 1801 *Nowy pamiętnik Warszawski*, *Dziennik historyczno-polityczny*, tudzież *nauk i umiejętności*, pod redakcją Franciszka Dmochowskiego, tłumacza Iliady Homera i Eneidy Wergiliusza. Dmochowski należał do tej świetnej plejady zacnych mężów, którzy w sprawach krajowych przeważny udział brali. Przyjaciel Hugona Kołłątaja, był nieodstępny jego towarzyszem, i razem na obcej ziemi szukali przytułku. Z nim też razem ułożyli plan znakomitego dzieła: *O ustanowieniu i upadku Ustawy majowej*. Jako przyjaciel Krasickiego, zajął się wydaniem zbiorowem pism jego w dziesięciu tomach. Dzieło to było skarbnicą dla każdego miłośnika literatury ojczystej.

Pamiętnik Warszawski, organ poważny, mało czytany i mało rozpowszechniony, jakkolwiek nie było w zwyczaju płacenia honoraryów autorom, dla szczupłej liczby prenumeratorów, zaledwie, pomimo poświęcenia się i pracy redaktora, mógł przetrwać tę obojętność lat pięć, i w r. 1805 zakończył swoje istnienie na XX tomie.

Z lepszą nadzieją w przyszłość, Godebski za powrotem do kraju wraz ze swoim przyjacielem Ksawerym Kosteckim, rozpoczął nowe wydawnictwo, także miesięczne: *Zabawy przyjemne i pożyteczne*. Wyszło ich pięć tomików: pierwszy w 1803 r., w następnym tomiki 2, 3 i 4-ty. Nastąpiła przerwa całoroczna, i w r. 1806 ukazał się tomik V, a na czele znajdujemy ciekawe *Ostrzeżenie*, w nim zaś wiadomość o *piraterji* ówczesnej literackiej.

„Lubo w obwieszczeniu prenumeraty na dziełko nasze, niezamie-
rzyliśmy czasu do ukończenia *sześciu* tomików, znaczne atoli ouych
opóźnienie, wkłada na nas obowiązek wytłómaczenia się z uczynionej
mimochętnie zwłoki.

„Oświadczamy w pomienioném obwieszczeniu, że „niosąc ro-
dakom pierwiastki prac naszych, nie możemy przyspieszyć ich wyda-
nia bez poprzedzającej pomocy przyjaciół nauk.“

„Pewna jest, iż gorliwość zacnych rodaków odpowiedziała ocze-
kiwaniu naszemu. Ta jednak liczba prenumeratorów, lubo dosyć znacz-
czna jak na rodzaj pracy, nie była dostateczną do jój przyspieszenia.
Niedosyć na tej przeszkodzie, potrzeba jeszcze było, ażeby prace na-
sze przedrukowaniami zostały w kraju, który do niedawnego czasu

jedną z nami składał ojczyznę. Machnowka jest miejscem, gdzie chęć nieprawego zysku używa wynalazku, przeznaczonego do oświaty, na frymarczenie cudzą własnością. Nie wymieniamy sprawcy podobnego czynu: ubliżalibyśmy bowiem jakiegobądź w sobie wartości dzieła, mieszcząc w niem osobę, o której mówić wypada w sposób dla niej niemiły. Co nas bardziej zadziwia, jest to, że na przedrukowanych dziełach spostrzegliśmy zezwolenie stwierdzone podpisem tego, który sam pisał o *prawie własności*.

„Może myślał machnowiecki wydawca, że w dzisiejszym rzeczy stanie, części kraju, będąc względem siebie obcemi, zwyczaj mógł upoważniać postępek podobny (galicyzm). Ale dający zezwolenie tak był myśleć nie powinien i przynajmniej pod względem nauki nie śpieszyć się z linią *demarkacyjną*: ludzie bowiem poświęcający się naukom, od wieków, że tak powiemy, składają jedną ojczyznę. Niech przynajmniej w tój Rzeczypospolitej *prawa własności* szanowane będą.

„Lecz wróćmy do treści. Mimo te różne przeszkody, mamy za obowiązek uścić się z długu, a ręka przyjaźni, która nam do tego ułatwiła środki, niechaj w tém miejscu hołd wdzięczności odbierze.“

Ala niedotrzymaną została ta zapowiedź: zamiast *sześciu* tomików, wyszło tylko *pięć*, i na tym publikacya ta się skończyła.

Przeglądając starannie cały ten zbiorek, nie znajdujemy w nim żadnego artykułu, któryby treścią swą i obrobieniem zasługiwał na przedruk: mało tu bowiem utworów oryginalnych, więcej daleko tłómaczonych, naśladowanych lub streszczanych głównie z literatury francuzkiej, której wpływ u nas w owym okresie był najprzeważniejszym. Czasem zawadził tu jaki artykuł i z innych literatur, ale należał do rzadkiego zjawiska.

Na czele pierwszego zeszytu mamy rozprawkę: *Porównanie Jana Jakóba Rousseau z Heraklitą*.

Pierwszy raz spotykamy się tu ze sprawozdaniem z literatury rosyjskiej, a zarazem i owoczesnej greckiej. Są to raczej lekkie tylko i krótkie wspominki, niewyczerpujące wcale przedmiotu. W V tomiku znajdujemy gładkim wierszem, widać pióra Cypryana Godebskiego: *Żal Eufrozyny Jarosławny po mężu swoim Igorze*. Jest to ustęp ze słynnego poematu z XII-go stulecia: *Wyprawa Igora na Polowców*, który po mistrzowsku z oryginału przełożył daleko później August Bielowski. Znając ten utwór, z podziwieniem czytamy ten żal w niczem do swego pierwowortu niepodobny: widać Godebski tłómaczył z francuzkiego, a francuz w formie klasycznej po swojemu go przerobiwszy zatarł w nim wszystkie ślady oryginalnej pieśni, pełnej poezji, prostoty i prawdy!

Jaka przepaść dzieli pierwowort od tak nędznej przeróbki, przytoczymy tu z tego czasopisma niektóre strofy, obok przekładu wierne go A. Bielowskiego.

Oto tłómaczenie z 1806 r.:

O! wy wspaniałe Putywelu mury,
 Jak mi dziś widok stawiacie ponury!
 Rozkoszne miejsca, gdzie pośród swobody
 Wiek mój szczęśliwy, wiek mój płynął młody!

Cóż dzisiaj z waszą postawą przyjemną,
 Lub raczej powiem, co się stało zemną?—
 Gdzie tylko spojrzę i gdzie się obrócę,
 Strach mnie ogarnie, albo się zasmucę;
 Czy co zatętni, czy wiatr zaszeleści,
 Zrywam się, pragnąc i bojąc się wieści:

Wszędy się dla mnie trwożny obraz kreśli,
 Smutek mi wszystko zakrył aż do myśli.
 On dnie i nocy serce moje tłoczy,
 Sen chciałby skleić, łza otwiera oczy.
 Ani mnie powab miejsc rozkosznych mami,
 Co były szczęścia mego świadkami.

Wszelka już dla mnie zniknęła pociecha,
 Ni piosnki moje budzą więcej echa;
 Wesołość dawną zastąpiły jęki,
 A za kochankiem poszły miejsca wdzięki.
 Czyli zachodzą, czyli wstają zorze,
 Putywel świadkiem łez mych po Igorze!

Nie tak współczesny śpiewak polańskiego *Bojuna* przedstawia osieroconą księżną Jarosławnę. Posłuchajmy, jaki nam obraz maluje w przekładzie A. Bielowskiego.

Głos Jarosławny słyhać (rankiem w maju
 Kukulka takiem kukaniem się żali):
 Polecę, mówi, kukulką k'Dunaju,
 Bobrowy rękaw umoczę w Kajali,
 Otrę krew księciu i rany niedawne
 Na skrzeplém ciele!

Słyhać Jarosławnę,
 Z wieżyc Putywła tak płacze zaraniem:
 „O wietrze! wietrze! czemu silném wianiem
 Hanowi w pomoc idą skrzydła twoje?
 Czem miotasz strzały na lube mi woje?
 Mało ci jeszcze po gór bujać szczycie,
 I chwiać korable na morza błękiecie?
 Czemuż wesele rozwiałeś mi dawne?

Z wieżyc Putywła słyhać Jarosławnę.

Próbka to mała, ale wymowna, jak pojmovano poezją i prawdę artystyczną w jej utworach.

Dział ten nie miał w owym okresie reprezentantów swoich, lubo wierszopisarzy niebrakło: chociaż w okresie przed-Mickiewiczowskim

pojawił się ludzie z rzeczywistym talentem i namaszczeniem poetycznym, którzy jak młode orlęta, potrafili się wydobyć z ciasnych klatek tak zwanéj *klasycyzacji*.

Zabawy przyjemne i pożyteczne, zupełnie odpowiadają swéj dobie. Jak martwota głucha objęła kraj cały, tak i to pismo nie żywego przedstawiać nie mogło. Naprózno przewracasz kartki, chcąc schwytać jakąś wiadomość o ruchu literackim, o nowych książkach, jakiś objaw w życiu społeczném. Nic tego nie znajdujemy: czytamy tylko fragmenta z literatury francuzkiej, czasem wiadomości i z innéj: wierszyki, mniej więcej udatne: sielanki i bajeczki obok anegdotek. Powieści niéma, ani opowiadań zajmujących: słowem, nic godnego uwagi. Pomimo téj czczości, *Zabawy* te mają zasługę w strzeżeniu czystości języka wpośród nacisku germanizmu, i kierowały się tu myślą Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, które się głównie w tym celu związało jedynie. Pomimo obojętności ogólnej w wspieraniu literatury krajowej, niezaprzestawano usiłowań do obudzenia większego ruchu umysłowego. Gdy na drodze więcej poważnej trudno było znaleźć zwolenników, zaczął wychodzić: *Wybór powieści moralnych i romansów*, (od 1804—1806 r.) tomami, których wydano dwadzieścia. Zajmował się głównie tą publikacją Jakób Adameczewski, i ta publikacja lepiej szła daleko od poważniejszych wydawnictw, bo kobiety nasze zaczęły ją czytać i wspierać: w zbiorze tym mieściły się same niemal powieści tłumaczone.

Po niefortunnych próbach w rozwoju prasy peryodycznej, nastąpiła przerwa i cisza. W r. 1806 żadnego pisma literackiego nie mieliśmy wcale. Wpośród téj martwoty ogólnej, Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk podtrzymywało chociaż słabe życie mowy ojczystéj i nauki *Rocznikami* swojemi, gdy w końcu pomienionego roku, cichy i spokojny horyzont zagrzmiał burzą i piorunami. Stało tu pytanie, cóż więc w tym smutnym okresie, miłośnik literatury ojczystéj miał do czytania? Odpowiadamy, żywić umysł swój mógł starannemi wydaniem dzieł z czasów Stanisława Augusta, a teraz drukowanemi Ignacego Krasickiego w X tomach, Fr. Karpińskiego w IV tomach, w bardzo starannych edycjach, przez Fr. Dmochowskiego wydanych w drukarni pijarskiej; pyszném wydaniem *Wyboru pisarzy polskich* T. Mostowskiego, a gdy chciał się bawić beletrystyką, nawał jéj nadpływał z Krakowa, w tłumaczeniach romansów *Floryana*, *Pani Zenlis* i strasznych, z niemieckiego powieściach. Taki to pokarm duchowy, przy zagaśnięciu życia publicznego, służył za strawę codzienną dla ówczesnej społeczności. Dodajmy, do powyżéj wymienionych, wzorowy przekład *Iliady* Homera przez Fr. Dmochowskiego.

Nie brakło mimo to zajęcia umysłowego; w kółkach rodzinnych każda wiadomość o nowéj pracy przedsięwziętej w łonie Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, żywo była powtarzana: każda sztuka na teatrze narodowym odegrana, była osnową gorących tam rozpraw. Rozchwytywano pieśni nadbiegłe, czy z Italii, czy z Francji,

czy jak później z Hiszpanii, gdzie pułki polskie walczyły; uczono się skwapliwie ich słów i melodyi, i przy klawikordach, a więcej jeszcze gitarach śpiewano przy każdym zebraniu. Zbiór ich stanowić może zajmujący pieśnioksiążę.

W kółkach rodzinnych, domowych, każda książka wydana, żywe obudzała zajęcie, a zgromadzenia familijne, przy skromnym przyjęciu, bawiły się ochoczą rozmową, czytaniem a najwięcej pieśnią. A w tej pieśni nie szukano wytwornej formy artystycznej, bo o niej nie miano należnego wyobrażenia, ale myśli pięknej, uczucia prostym a zrozumiałym słowem, w rymowanym wierszu wypowiedzianego. Pieśni Fr. Karpińskiego, szczególnież téż *Filon i Chloe*, były w każdym domu znane i śpiewane nie tylko w Warszawie w domach obywatelskich i po rodzinach rzemieślniczych, ale po dworach wiejskich, zkaż pod strzechy wieśniacze przechodziły. Pieśni jego pobożne: *Kiedy ranne wstają zorze*, i druga *Wszystkie naszeienne sprawy*, rano i wieczór brzmiały po wszystkich domach Warszawy. I z pieśni Fr. D. Książnika najwięcej rozpowszechnioną była pod napisem *Matka obywatelka*, zaczynająca się od słów: „*Śpij moje dziecko, śpiewała.*“

Ulubiona ona była od uroczych młodych matek polskich, gdy ją nuciły nad kołyską swego niemowlęcia, jak w gronie mężkiem jego *Oda do węgów*.

Gdy rzucę wspomnieniem w tamte czasy, widzę te grona młodzieży w pełni życia i rozjaśnionym wzrokiem, tak radośnie płaszące, śpiewające w kółku domowym; starszych z mężkami obliczami, zajętych tylko rozmową o wypadkach bieżących, matrony poważne wspominające swoich synów i mężów oddalonych, walczących w pięknej Italii, lub nad Renem i Dunajem. W pierwszych, wiosenny uśmiech i radość życia, w drugich poważny nastrój, na widok piorunujących wypadków, które bieżyły za zwyciężkim powiewem chorągwi Napoleona I.

W towarzystwach nie myślano o grze w karty: rzadki wypadek, gdy osiwiali starcy i podżyte matrony zasiadały do gier wówczas ulubionych jak: maryasz, rumel-pikieta, družbart lub kiks we cztery osoby. Było to zjawiskiem osobliwym, tak umiano czas zapełnić zajmującą rozmową, lub zabawą. Młodzież bawiła się w gry rozmaite, a najczęściej tańcowała rada, ulubione tańce, jak mazura, krakowiaka ze śpiewkami, a na zakończenie ulubionego drabanta. Przy większej liczbie osób zataczano kontredansa; w przerwach zaś dla spoczynku, uproszona towarzyska, lub ktoś z grona tancerzy, śpiewali ulubione pieśni. Jak przyjęcie, tak i ubiór pańien był skromny; chętnie przybywały w codziennych sukienkach, ale za to bawiły się serdecznie i z całą duszą tańcowały. W kółkach tych domowych, pomiędzy młodzieżą zawięzywała się pierwsza znajomość, która wiodła bardzo często do stopni ołtarza.

Życie młodej dziewczycy, szczęśliwie upływało w domu rodziców pod czułym i opiekuńczym okiem matki. Wcześniej się ucząc ję

wyręczania, od lat najmłodszych wdrażała się w obowiązki gospodyni domu. Obeznana z niemi, wyszedłszy za mąż łatwo je spełniała, umiając się stosować do położenia męża i jego mienia niezasobnego. Umysł jej dojrzywał, nie nauką, ale w praktyce życia, słowem żywem tradycyi, uwagą i przestrogą matki, i poważnych matron pokrewnych. Tak czas dzielić umiały pomiędzy kościół, modlitwę i zajęcia domowe, że mniejsze zebranie w domu i zabawa była prawdziwą dla każdej przyjemnością uroczystą. Dzień za dniem znikał niczacznie, a żadna nieczuła nudy, lub pustkowiecia życia. Z Karpińskiego uczyły się pieśni, z Krasickiego bajek, a jeżeli nadleciała piosenka, których bywało niemało, nieznanego poety, przemawiająca do serca i do myśli, znajdowała gościnne przyjęcie, i przyrastała już do rodzinnych progów.

Cała społeczność ówczesna jakby gromem porażona, widząc jak wszystko co dzień się kruszy, upada i ginie, deptane pogardliwą nogą niemieckich przybyszów, długo z przerażenia duchowego przyjsć do siebie nie mogła, ani nie umiała zdać sobie sprawy z tego, co ją nagle otoczyło, i wkraczało we wszystkie stosunki obywatelskie. Stała więc u domowych ognisk swoich aby je osłonić, i przy nich ogrzewała krzepnące rozpaczą serca, i myśl bolesną, co już skrzydeł swoich swobodnych jak dawniej do podlotu rozwinąć nie umiała. Myśl ta była podobną do owej ptaszyny, której pióra gradową burzą przemoczzone, i połamane; czuła, że nie pomogą do uniesienia się w szlaki powietrzne. Nic więc dziwnego, że życie całe zbiegało się w kółkach rodzinnych, że publicznych zabaw nie cierpiano, i ten rys charakterystyczny wyraźny objawiał się długo po tym okresie.

W pierwszych latach naszego stulecia, gitara angielska o metalowych strunach była najpowszechniejszém narzędziem muzyczném i znajdowała się w każdym niemal domu, więcej wykształconym. Fortepiany znano tylko z opisów, klawikordy stoliczkowe, gdzieindziej się tylko i to w zamożniejszych domach znajdowały. Już po roku 1808, wśród smutnej wyprawy do Hiszpanii Napoleona I, gdzie pierwszy raz zachwiał się jego zwyciężkie orły; powoli zaczynała się pojawiać gitara hiszpańska, rozmiarami większa od angielskiej i strunami różna. Ale ten rodzaj gitary był właściwy tylko mężczyznom, płęć piękna zawsze pozostała przy swojej dawniej, lekkiej i łatwiejszej do grania i na jej cześć owoz piosenka z owych czasów.

Do gitary.

„Czyli mnie radość przejmuję,
Czy zgryzot jestem ofiarą,
Zawsze rozkosz w sobie czuję;
O! luba! luba gitaro!
Zbłąkane jednocząc tony,
Ślicznej rączki przyoiskaniem,
Łechcąc uszy swými struny,
Wpadasz w serca swém brząkaniem.

Abyś twoim przenikliwym
Tonem, ludziom ogłosiła,
Że w złączeniu serc ich tkliwym,
Cała jest narodów siła.

O! twojej struny zerwanie,
Uczy mnie jak się na świecie
Rwie przyjaźń, rwie i kochanie!
Cóż stałego będzie przecie?

To właśnie świat ma, co ona,
Tak się mieni z swymi losy:
Zerwała się jedna strona,
Już fałszywe wszystkie głosy!"

Upodobanie do tego instrumentu muzycznego, jeszcze się odzywało i pomiędzy pierwszymi romantykami. I Bohdan Zaleski, należący do plejady Mickiewiczowskię poświęcił mu wiersz następný:

Do gitary.

Towarzyszko życia wiosny!
Powiernico tkliwej duszy!
Brzmiących strun twych dźwięk żalony,
Niech westchnienie me zagłuszy!
 Niechaj głos twój z moim zlany,
 Jak sen koi me boleści;
 Niech odbity o te ściany
 Biedne serce tylko pieści.

Upój serce, upój ucho!
Łzy wytrącaj śpiewem lotnym,
Bo świat dla mnie puszcza głuchą!
Ty w niej echem mym samotnym!
 W zbiegłych moich lat kolei,
 Nie znalazłem szczęścia wcale:
 Prócz tęsknoty i nadziei,
 Ciągły zawód, ciągłe zale.

Coraz chwila, chwilę zgania,
Jako kwiaty lata wędna;
Kiedyż ziemię tę płakania
I wędrowkę rzucę błędną?

Ach! wieczności się nie zleknię!
Śmierć nie budzi wstępu we mnie,
Bo tam znajdę te dni piękne,
Których szukam tu daremnie!

Towarzyszko życia wiosny!
Powiernico tkliwej duszy!
Brzmiących strun twych dźwięk żalony,
Niech westchnienie me zagłuszy!

Przywiedziemy jeszcze tu kilka pieśni, które śpiewano powszechnie przy łatwym wtórze gitary.

Cztery pory roku.

Rozyno! ja w twoim wzroku
Widzę cztery pory roku!
Kiedy chcesz zwabić przychodnie,
Patrzysz jak wiosna łagodnie.

Potém jak słońca promieniem,
Lato dopieka bez miary;
Takie ty jedném spojrzaniem
Niecisz w ich sercach pożary!

A gdy zwyciężyć już trzeba,
Wiele w jesieni wód z nieba,
Tyle łez w jednej godzinie,
Z pięknych twych oczu popłynię!

Lecz gdy dokażesz co żądasz,
Gdy już zakocha się który,
Wtedy na niego spoglądasz
Srogością zimy ponuręj!

Duma nad strumykiem.

Jakże podobny Lucynie
Ten mały strumyk co płynie,
To jój obraz rzeczywisty,
Bo i spokojny i czysty.

Ale te brzegi zielone
Biegiem jego rozdzielone,
Zawsze blisko, nigdy razem
Mego losu są obrazem!

Nie! Niepodobny Lucynie
Ten mały strumyk co płynie,
Bo on okrutny swym biegiem
Dzieli nazawsze brzeg z brzegiem!

Okres od 1800 do 1820 roku był poświęcony sielankowym wyobrażeniom, wiejskim pasterkom i „czułości aż do mgłności,” jak mówiono później, gdy się nieco społeczność nasza otrzeźwiła z tój ślamazarnej choroby, w której ani serce ani myśl zdrowa udziału nie brały.

Wydatne ślady tój chorobliwej przesady, naleciałej z Francyi, z uniesieniem przyjęte na dworze króla Stanisława Augusta, zostały tak w literaturze, jak we wspomnieniach ustroju społecznego. Musiały więc przechować się i w poezyi ówczesnej.

Przejrzyjmy z owego okresu piosnki najpopularniejsze, powszechnie śpiewane przy gitarze angielskiej.

Pasterka.

Kto doniesie sercu memu,
Co się z moim lubym dzieje?
Któż odemnie powie jemu,
Że tęskna lzy po nim leje?

Miły ptaszku! mijasz gaje,
Z dalekiej lecisz krainy;
Powiedz! gdzie mój Jaś zostaje?
Ach! powiedz pośle jedyny!

Weź te kwiatki, weź odemnie!
Splakaném okiem szukane,
Serce bije mu wzajemnie;
Dopóki żyć nie przestanę!

S e n.

Nie wiem z jakiego powodu,
Poszła Filis do ogrodu
I czekając na Filona,
Została snem uśpiona.

Matka do ogrodu wchodzi,
Czyli Filis sama chodzi;
Gdy ją śpiącą znajduje,
Ścisła, pieści, całuje!

Filis napół przebudzona,
Biorąc matkę za Filona:
„O Filonie! mnie zwodzisz,
Że tak późno przychodzisz!...”

Najulubiejszą dla naszych panien tego okresu była piosnka następna, którą nawet we wszystkich zaściankach szlacheckich śpiewano, nie tylko w murach Warszawy:

ZOSIA W OGRÓDKU.

Chciało się Zosi jagódek,
Kupić ich za co niemiała:
Jaś ich miał pełen ogródek,
Ale go prosić nieśmiała.

Wnet sobie sposób znalazła,
Rankiem się z chatki wykradła;
Cicho przez płotek przelazła,
Wiśnie Jankowi wyjadła.

Poznał się Janek na szkodzie;

„Wróble to, mówił, zrobiły!“

Postawił stracha w ogrodzie:

„Nie będą więcej gościły!“

Na tycze, jak się należy,

Kapelusz pięknie osadził,

Nawieszał starą odzież,

Stracha w ogródku osadził;

Zosia się stracha nie bała,

Szczęśliwie płótek przebyła;

Z nową się sztuki naśmiała

I znowu szkodę zrobiła.

Ale się Janek domyślił

Co to za ptaszek tak śmiały,

Nowe siodełka wymyślił,

I nieźle mu się udały.

Na miejscu tyczki przybranój,

Cicho przy drzewie sam staje,

Odział się w stare łachmany

I niby stracha udaje.

Podług swojego zwyczaju

Zosia gałązki nagina:

„A tuś mi mały hultaju!“

Złapana biedna dziewczyna.

I tak, jak słusność kazała,

Skarał złodzieja przy szkodzie:

Z początku Zosia płakała,

Śmiała się potem przy zgodzie.

Nie znano autora tej pieśni, co wszystkim do serca przypadła, a wiecie kto nim był? Jakób Jasiński, generał artylerji, współtowarzysz Kościuszki, co poległ w r. 1794 na szanach Pragi nieprzyjawnym pardonu. Dowiedzieliśmy się o tém, przeglądając starannie własnoręczne rękopisma po tym wojowniku.

Z poetów okresu Stanisława Augusta, jeden tylko Franciszek Karpiński dostąpił zaszczytu, że pieśni jego przeszły w usta narodu. Sławna jego sielanka: *Filon i Chloe*, z pełną prostoty rzewną melodią, we wszystkich miastach, dworach i wsiach nawet śpiewaną była. Ta to melodia tak potężnie wpływała na Mickiewicza, że gdy ją usłyszał, nabierał natchnienia do improwizacyi. Nietylko świeckie pieśni Karpińskiego znalazły takie przyjęcie, ale *nabożne*, dotąd nietylko po domach, ale w kościołach i przy uroczystościach religijnych są śpiewane.

Do późniejszych, ale zawsze należących do tego okresu, należy następny, równie ulubiony *mazurek*:

Dwie Marysie
 Kochały się
 W jednym Jasiu obie:
 „Albo ty mi Jasia odstąp,
 Albo ja go tobie.“
 Dwie Marysie
 Zdybały się,
 I gadały o tém:
 „Czém my będziemy Jasia wabić:
 Oczyma, czy złotem?...“
 Druga rzekła: „Ujrzym wkrótce
 Kto Jasia otrzyma:
 Ty go będziesz wabić złotem,
 Ja będę oczyma.“
 Dwie Marysie
 Spytały się
 Razem Jasia obie:
 Czy dla wdzięków, czy dla worka
 Weźmie żonkę sobie?...“
 Jasio wybrał, teraz szłocha,
 Narzekając na to,
 Że ma żonkę, co nie kocha,
 Chociaż jest bogatą.
 Kto pamięta,
 Że dziewczęta
 Zwodzić chłopców mogą,
 Ten témbardziej
 Nie pogardzi
 Tą Jasia przestroga.
 Niechaj baba, niechaj stary,
 Łączą się dla chleba,
 A dla szczęścia młodej pary,
 Kochać się potrzeba.

Myśl ta ostatnia głównym była kierownikiem w kojarzeniu małżeństw w młodem pokoleniu. Szczęśliwe to były czasy, gdy prawdziwe uczucia serca miały przewagę należną w społeczności zdrowej i szlachetnej.

Gitara hiszpańska, którą nasi wojacy wracający z wyprawy hiszpańskiej, rozpowszechnili w ostatnich latach bytu Księstwa Warszawskiego, była w użyciu niemal do 1830 r., ale wyjątkowo w ręku jedynie mężkiem.

Odpowiednio temu układano pieśni; kilka z czasów pomienionych tu przywiedziemy.



Niesłowność.

Żeglarz w burzliwej godzinie,
 Kiedy do lądu zawinie,
 Przysięga w pierwszym zapędzie,
 Że nigdy pływać nie będzie:
 Ale jak ujrzy pogodę,
 Znowu się puszcza na wodę.

Żołnierz ranny w krwawym boju,
 Przysięga już żyć w pokoju,
 I sławę i bój przeklina;
 Lecz jak przejdzie chwila bólu,
 To co cierpiał zapomina,
 I znów walczy w Marsa polu.

Tak się dzieje i w miłości:
 Gdy kto niema wzajemności,
 Przysięga w tę czarną chwilę,
 Że go kobiety nie zdradzą;
 Lecz jak która spojrzy mile,
 Znow ukleka przed ich władzą.

PROŚBA DO CZASU.

O! czasie nielitościwy!
 Coś gonił wiosny mój chwile!
 Czemu opóźniasz się tyle,
 Kiedy mam zostać szczęśliwy?

Leniwo godziny płyną
 Na mętym życia strumieniu;
 Nadzieja kryje się w cieniu:
 Kiedyż się złączę z Aliną?

Na czasu spoczęły skrzydła
 Spokojność i szczęście moje,
 Przyszłą rozkoszą się poję,
 Uwiązłszy w miłości sidle!

Już trzykroć na Flory skroni
 Wzrok słońca rozwinął róże,
 Ja sobie pomyślność wróże,
 A ona odemnie stroni.

Bóstwo, władzące wiekami,
 Przyspieszaj szczęsną godzinę;
 Kiedy wzajemną Alinę,
 Uścisnę z czułości łzami!

Skoro posiędę jój wdzięki,
 Wstrzymaj, błagam, bieg twój rączy,
 I niech się powoli sączy,
 Nektar rozkoszy z twój ręki.

Lecz jeśli wzgardzi me chęci,
 Serce kochanki okrutne
 Uciekaj! i dni me smutne,
 Pograż w morzu niepanięci!

W kótkach domowych obywateli warszawskich zbierano się liczniej, gdy wieść obiegła, że będzie śpiew przy gitarze hiszpańskiej; przybywającego śpiewaka najuprzejmiej witano oczekując chwili upragnionej. Śpiewakami temi byli głównie wojacy powracający z legionów włoskich albo z Hiszpanii, lub urzędnicy ale w dojrzałym już wieku, po trzydziestu latach. Pomiedzy niemi znajdował się wielu tak zwanych „zdobywców serc niewieścich,” na których z trwogą, ale wielką ciekawością spoglądały podlotki: starsze panny z większą powagą i surowością jakby chciały powiedzieć: „proszę zdala odemnie,” a zalotne mężatki, z wdzięcznym zawsze uśmiechem, i powabnym spojrzeniem.

Zdobywców tych ulubioną pieśnią, która jednała odrazu im współczucie wszystkich kobiet, była nosząca tytuł:

Szczęście w kochaniu.

Woda kręte brzegi pieści,
 Tchem Zefir róże rozwija;
 Wiatr liściami drzew szeleści,
 Ciebie murawie chłodnej sprzyja.
 Strumyk po kamykach mruczy,
 Zieloność pole okrywa
 I wszystko w naturze uczy,
 Że kochać, rozkosz prawdziwa!
 Serca miłością złączone,
 Szczęścia na świecie doznają;
 W niem uciechy niezliczone,
 Gdyż się wzajemnie kochają.
 Nieczułe tylko stworzenia,
 Sprzeczną duszy idąc drogą,
 Gardzą darem przyrodzenia,
 I szczęśliwe być nie mogą!

Trzeba było być świadkiem, jak silne wrażenie tą piosnką śpiewak wywoływał w całym zebraniu niewieściami, oblicza ich rozpogodzone krasny barwił rumieniec, spoglądały radośnie na siebie, mówiąc tylko oczyma: „że kochać rozkosz prawdziwa!” A gitarzysta otrzymywał podziękowanie z oklaskiem wszystkich. Gospodarz zwykle po ukończeniu śpiewu, kazał podać wytrawnego węgryna, wznosił zdrowie śpiewaka, i częstował go zarazem ażeby sobie „gardziółko odświeżył.” panie i panny z gospodynią na czele jednozgodnie o więcej pieśni prosiły, w czym nigdy odmowy nie doznały.

Zbiór pieśni jakie śpiewano przy obu gatunkach gitar, stanowiłyby grubą księgę. Wchodziły tu bowiem ulubione utwory Karpińskiego i Książnina, jak mnóstwo piosnek z teatru narodowego; najwięcej upowszechnione były śpiewy ze sztuk dramatycznych Bogusławskiego, Zółtkowskiego (redaktora *Momusa*) i Dmuszewskiego ¹⁾.

Zbiór ich najzupełniejszy szczęśliwym trafem miałem w rękę przed r. 1830. Panna Ewa Smólska, w sędziwym wieku przechowywała starannie sporą księżkę, w której kilkadziesiąt pieśni znalazłem wypisanych, a przy każdej data, zaczynając od r. 1794. Początek jój był kreślony pięknym charakterem, nadzwyczaj starannie. Była to ręka jój narzeczonego, który po zaręczynach, gdy przyrzekli sobie wieczną miłość, jako oficer armii Księstwa Warszawskiego, w szturmie do Saragossy, przy wdzieraniu się na rynek miasta, przy boku Chłopińskiego padł przeszyty kulami.

Przysłał jój towarzysz i przyjaciel poległego pierścionek, zegarek i szkaplerz skrwawiony; pamiątki te chowała jako relikwie, i od téj chwili, wierna przysiędze, uważała się jako wdowa.

Rzadkiej piękności panna Ewa dla swych wdzięków i nieszczupłego posagu, miała później wielu zalotników, ale w swém postanowieniu została niewzruszoną. Zjednała sobie tak powszechny szacunek, że przy poznamieniu z obcą osobą, przedstawiano ją zawsze jako wdowę po kapitanie poległym pod Saragossą.

Pan Wawrzyniec, tak nazywała swego narzeczonego, bo nazwiska nigdy nie wymieniła, zaczął spisywać te piosenki dla niej na pamiątkę: po jego śmierci, sama niewprawną ręką, dopełniała zbioru. Dając mi do odczytania, mówiła z głębokim wzruszeniem, a na jój białém i już pomarszczoném obliczu wybijał świeży rumieniec, i piękne zawsze czarne oczy, ogniem młodości zajaśniały:

— Mój panie Kazimierzu! życzę ażebyś miał chociaż połowę téj przyjemności i rozkoszy, jaką ja miałam wpisując do téj książki ulubione nasze pieśni, i mam je teraz, gdy odczytuję ręką mego Wawrzyńca napisane. Zdaje mi się że go widzę, że słyszę głos jego dzwięczny i melodyjny, kiedy mi z nich, niektóre przybywszy do kraju nucił. Oto jego ulubiona! I wskazała na pieśń pod napisem.

Prośba do czasu.

— Głos jego, mówiła z głębokim wzruszeniem, i ze łzami w oczach, już zamilkł na wieki, zwłoki spoczęły na obcej ziemi, a ja, nieszczęśliwa wdowa!

¹⁾ Największą ich ilość pomieścił Wacław z Oleska (Zaleski) w swoim zbiorze Pieśni ludu galicyjskiego, wydanym we Lwowie 1833 r. Co mu nadaje jeszcze więcej wartości, to że do słów dołączone melodye właściwe, ułożone przez słynnego skrzypka Karola Lipińskiego.

Patrzałem z uszanowaniem na jej wyniosłą postać, jak po tych słowach przechodziła do sypialni, tłumiąc w sobie rzewne łkanie.

Z tej książki wypisałem niektóre pieśni opuszczając znane podówczas z druku, i tu je podaję.

Nie brakło i historycznych śpiewów, szczególnież z początku piśnianych przez kapitana Wawrzyńca. Była tam modlitwa konfederatów Barskich, którą chorągwie ich śpiewywały w rannym pochodzie; pieśni o Kazimierzu Pułaskim i Drewiczu, jako też o obronie Częstochowy, i o bohatérskim zgonie Pułaskiego w Savannach, gdy na czele swój jazdy, szarżując na baterye angielskie, poległ.

Wkrótce zmieniły się czasy, inna atmosfera powiała, nowe wypadki zacierają dawne, nowe też pieśni tworzone, które zarówno gościnne znajdowały przyjęcie w kółkach rodzinnych. Tu zatrzymujemy tylko nasz pogląd na okresie sześcioletnim, w końcu bowiem listopada 1806 roku, pierwsze patrole francuzkie ukazały się w murach Warszawy, i sprawdziły się słowa Gugenmusa, bo w kilkanaście godzin, ani jednego Prusaka *na rosadę*, znaleźć nie można było. Wszyscy drżąc z przestachu uciekali na Pragę, a ztamtąd zmykali zajęczym biegiem do swego Vaterlandu.

W końcu tego okresu i nowo rozpoczynającego się z r. 1807, występuje literat mało znany a wielkich zasług Tomasz Szumski. Twardą on toczył walkę z losem. Syn oficera w wojsku Rzeczplitej, który zginął przy oblężeniu Warszawy przez Prusaków, walcząc mężnie pod wodzą Kościuszki 1794 r., sierota po śmierci ojca, bez żadnej pomocy od lat dziecinnych, szukał chleba powszedniego w rozmaitych kierunkach. Był służącym, aktorem, nauczycielem. Przebywał w głębi Rosyi, z kąd z państwem swoim wyjechał do Francyi, bawił w Niemczech. Bystrego pojęcia i zapału do wiedzy, nauczył się sam bez żadnego przewodnika trzech języków tych państw, w których przebywał. Dla polepszenia losu w Ameryce, przybył do Hamburga, zamówił sobie miejsce na okręcie, ale godzinę naznaczoną, gdy przebawił w mieście wesoło, okręt odpłynął, a Szumski ruszył do Berlina, i zostawał tam czas niejaki w domu książąt Radziwiłłów, którzy oceniwszy jego zdolności i wykształcenie naukowe, wyrobili mu miejsce nauczyciela w Akademii wojskowej berlińskiej. Jako profesor pomienionj Akademii wydał w r. 1807: *Krótki rys historyi i literatury polskiej*, od *najpóźniejszych (?) do terażniejszych czasów*, w Berlinie 1807 r. u I. F. Unger, (kosztem autora. Cena u wszystkich księgarzy i pocztmistrzów złp. 6. W 16-cc, str. 204, drobnym garmentem).

Jest to w naszym piśmiennictwie pierwszy zarys historyi literatury polskiej, który na lat kilkanaście wyprzedził podobne dzieło w daleko szerszych ramach F. Bentkowskiego.

Po wydaniu tej pracy, idąc za ogólnym wówczas prądem poryjającym młode umysły i serca, zaciągnął się do wojska Księstwa Warszawskiego; lecz wkrótce opuścił tę służbę, przyjął obowiązek nauczyciela w gimnazjum poznańskim. Wtedy założył księgarnię

polską w Poznaniu, i przez cały byt księstwa, szkoły i mieszkańców tego miasta, oraz departamentu poznańskiego w książki polskie drukowane w Warszawie, Krakowie i Wilnie zaopatrywał.

Od pierwszego wystąpienia 1806 r. przez wydanie książki do czytania z prawidłami, zachęcającej Niemców do uczenia się po polsku: pracując usilnie w tym kierunku, miał to zadowolenie, że uczniowie jego Niemcy, śmiało mogli przed księdzem Onufrym Kopczyńskim stanąć do egzaminu, i wyjść z niego zwycięzko. Autor wypisów i gramatyk polskich dla Niemców, jako księgarz i pisarz, ułatwiający naukę ojczystego języka pomiędzy cudzoziemcami, niemałe zasługi położył¹⁾. My tu nad przytoczonem powyżej dziełkiem, uwagę zatrzymać musimy.

Autor, jak w przedmowie wyraża, miał zamiar w obszerniejszych ramach pracę swoją wykonać, jakoż sam przedmiot i obfitość materiału dostarczały po temu wątku i osnowy, ale dalej, mówi, „nagle wydarzone odmiany w świecie politycznym, zawołały mię do pełnienia innych powinności ku mój ojczyźnie; nie mogłem przeto dokończyć pisma tego podług planu, który wprzód byłem ułożył, musiałem go zmniejszyć. Pochlebiam sobie że książeczka ta równie dla Niemców po polsku rozumiejących, jako i dla edukującej się polskiej młodzieży do łatwego i ogólnego poznania dziejów i literatury polskiej użyteczną będzie.“ I tą nadzieją mógł się pocieszać, bo książeczka ta była jedyną pracą w tym rodzaju, a jak dobrze staropolskie przysłowie mówi: „*Na bezrybiu i rak ryba.*“

Autor historią polską polityczną w połączeniu z historią literatury dzieli na IV okresy.

Epoka pierwsza zawiera królów z rodziny Lecha od 550—840 r.

Epoka druga zawiera królów z rodziny Piasta od 842—1382 r.

Epoka trzecia zawiera królów z rodziny Jagiellończyka od 1386—1572 r.

Epoka czwarta zawiera królów z różnych tak obcych jak i ojczyźnianych rodzin od 1574—1795 r.

T. Szumski w ten sposób, ujął całość swęj pracy, idąc za modą i zwyczajem literackim owoczesnym, zastosowania wykładów historii, wedle panujących dynastii, bez względu na inne przeważne kierunki. Tak wygodny plan ułatwił mu w tych epokach, mówić o dziejach politycznych, a wśród nich wspominać ludzi nauki i dzieła ważniejsze. Dwie epoki pierwsze nie mogły mu dać żadnego materiału

¹⁾ Szumski umarł w Krotoszynie 1840 r., w 54 roku życia, urodził się bowiem w r. 1778. Pisał i w języku niemieckim gramatyki polskie i wypisy ułatwiające poznanie naszego języka. Godne są tu wspomnienia dwie prace Szumskiego: *Myśli ogólne o polepszeniu handlu, przemysłu, rolnictwa i edukacji narodowej w Księstwie Warszawskiem.* (Poznań, 1811 r.). *Dobra rada dla matek względem najważniejszych punktów fizycznego wychowania dzieci,* przez Hufelanda, przekład z niemieckiego. (Wrocław 1819 r.).

literackiego, dopiero go dostarczyła trzecia, a biegnąca już od r. 1386; przypomina więc Długosza, Wojciecha Brudzewskiego, Mikołaja Kopernika, Tomickiego, Andrzeja Krzyckiego, Dantyszka: okres Jagielloński już otwiera całą działalność literatury i piśmiennictwa polskiego. Rej, Jan Kochanowski, Piotr tłumacz Tassa, Modrzewski i Stanisław Hozyusz i wielu innych zamykają ten okres.

Epoka czwarta od 1574—1795 r., daje bogaty zasób, tak co do grona piszących, jak i utworów literackich, ale autor w dalszych i drobnych ramach nie mógł swego zadania bynajmniej rozwinąć, tém bardziej, że połączył z wykładem swoim i wypisy piękniejszych ustępów. Z tego powodu jest to zaledwie słaby zarys i szkic lekki jakby od niechcenia rzucony.

W zupełnym braku podręcznika do historii literatury polskiej, książeczka T. Szumskiego znalazła dobre przyjęcie i rozpowszechnienie tak, że całe wydanie wkrótce wyczerpane zostało z obiegu handlu księgarskiego. Głuche o tej publikacji milczenie w współczesnych piśmiech, bo krytyków ani nawet sprawozdawców, którzyby śledzili objawy duchowe nie było. W toni więc zapomnienia zginęła praca, jakkolwiek niedokładna, ale z myślą zacną podjęta przez T. Szumskiego.

II.

Księstwo Warszawskie.—Organizacya jego.—Departamenta.—Kodeks Napoleona.—Objaśniające podręczniki nowych ustaw.—Stanisław Węgrzecki.—Życie duchowe.—Jan Paweł Woronicz.—Teatr narodowy.—Imieniny Napoleona.—Transparent rzeźnika warszawskiego.—Hugo Kollątaj i jego dzieło.—Feliks Łubieński.—Bał wydany.—Książka obejmująca mowy i wiersze ówczesne.—Tragiccy.—Komedyo-pisarze.—Franciszek Węzyk.—Kajetan Koźmian.—Rok 1812.—Wyprawa do Moskwy.—Kłęska.—Rozczarowanie.—Przybycie Napoleona do Warszawy i tajemny wyjazd.—Bitwa pod Lipskiem 1813 r.—Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego.—Zachwiane losy Księstwa Warszawskiego.—Cisza literacka.—Zabytki literackie.—Wyrobinie języka ojczystego.—Klasyczny kodeks.—Podział poezyi.—Gazeta Warszawska.—Listy, dodatek do niej.—Przegląd prac ważniejszych treścią.—Pamiętnik Warszawski, pod redakcyą L. Osieńskiego.—Ocena i wartość tego organu.—Nowi urzędnicy sądowi i administracyjni.—Tradycye stare i nowe: O królu Sobku i jego nadwornym trefnisiu.—Podania z XVIII stulecia.

Jeżeli słabym płomykiem życie duchowe gorzało w Warszawie, w czasach tak zwanych *pruskich*, to zajaśniało do razu więcej, gdy utworzonem zostało Księztwo Warszawskie w r. 1807.

Organizacya tego księztwka, na sposób francuzki, podział kraju na departamenta, wprowadzenie Kodeksu Napoleona I, w miejsce dawnego prawa polskiego, zmiana w całej administracyi krajowej, wywołały potrzebę objaśnień i wskazówek nowych, nieznanych tak urzędnikom, jak i obywatelom. W tej myśli zaczęła wychodzić coraz większa liczba dzieł, jako podręczników niezbędnych. Na czele tych pracowników gorliwych, należy postawić Stanisława Węgrzeckiego, późniejszego prezydenta miasta Warszawy ¹⁾.

Jakkolwiek okres istnienia Księztwa Warszawskiego trwał lat tylko ośm, pozostało w literaturze naszej mnóstwo broszur, mów, wierszy, wywoływanych chwilowemi okolicznościami, które żywo zajmując społeczność tej epoki, nie małą wiązanke stanowią.

Życie duchowe zagrało w całej pełni. Niebrakło też ludzi gruntownej nauki, poważnych statystów, głębszych myślicieli, utalentowanych mówców i poetów.

¹⁾ Stanisław Węgrzecki, znakomity prawnik, należał do pierwszych pisarzy w czasach Księztwa Warszawskiego i znakomite położył zasługi dla kraju. Urodzony w r. 1765, wykształcony w Krakowie i za granicą, za powrotem do kraju wszedł do służby publicznej; wybrany na prezydenta miasta Warszawy, kilkakrotnie w latach 1814—1815 i 1830 piastował tę godność. Jako członek Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk brał udział w jego pracach. Umarł w Warszawie 12 lutego 1845 r. Ogłosił drukiem wiele prac, które miały w swoim czasie doniosłe znaczenie. Przytoczymy ważniejsze: *Pismo o prawach dla Księztwa Warszawskiego*, 1809 r., *Rozprawa o profesyach oraz o systemacie administracyjnym* (1809 r.). *Uwagi nad powszechném moratorium z dołączeniem historii o zbiorze praw przez A. Zamoyskiego* (1810 r.). *Dzieje o znaczeniu władzy duchownej obok świeckiej w Polsce* (1818 r.) i wiele innych pomniejszych.

Na czele pierwszych stanęli: Stanisław Staszic, Stanisław hr. Potocki, Feliks Łubieński, Józef Kalasanty Szaniawski, Wawrzyniec Surowiecki i w. i.

Wymowa kaznodziejska miała godnego reprezentanta w osobie Jana Pawła Woronicza, który zarówno zachwycał wyższą inteligencją, potęgą myśli i wystąpieniem, jak umiał się zniżyć w prostocie ducha, a jasnością języka, do pojęcia ludu miejskiego i wiejskiego.

Teatr narodowy w tym okresie odegrał w życiu społecznym niepospolitą rolę. Umiał on chwycić zręcznie każde silniejsze poruszenie ogółu i w formie to artystycznej właściwej, to osłoniętej szatą starożytnych wieków Hellady czy Romy, uwydatniać je na scenie.

Gniotła wprawdzie klasycyzm, koloryt i wyraz szczerzej narodowości, ale widzowie umieli, z pod tej twardej łupiny, dobrać się zdrowego i smakowitego ziarna.

Zapał, który porywał ogół, objawiał się we wszystkich kierunkach. Imieniny Napoleona I wywoływały niesłychane manifestacje. Warszawa oblewała się łuną iluminacji, a liczne prezycza wymownie świadczyły o uczuciach dla tego zwyczajcy świata.

Pamiętam, na Krakowskim-Przedmieściu transparent, w wielkim oknie rzeźnika. Przedstawiony w nim był sam pan starszy rzeźniczy, który ogromnemu wołowi, wielkim, ostrym toporem, łeb odcinał. Strugi krwi tryskały w około, zalewając podnóże, przy którym jaśniał dwu wiersz taki:

„Kto nie będzie wierny Polsce i Napoleonowi,
To mu łeb utnę jak temu wołowi.”

Rozważniejsi niepodzielali tego zapału, w smutnej zadumie rozmyślając nad przyszłą dolą swojego kraju. Do takich mężów należał Hugo Kołłątaj, który wydał wówczas wielce ważne dzieło p. n.: *Uwagi nad teraźniejszym położeniem Księstwa Warszawskiego*; było to po zawartym pokoju w Tylży. W dziele wzmiankowanym wykazuje, że ta cząstka dawniej Rzeczypospolitej, w samym pomysle niedołączna, w zarodzie swoim już nosi śmiertelną chorobę, albowiem małe państwo nie poddało zadaniu, ażeby byt swój ustalić i przyszłość zapewnić na gruntowych podstawach.

To przekonanie dzieliło wielu poważnych statystów, ale nie mieli tej cywilnej odwagi, co Kołłątaj, występowania publicznie. Lękali się powszechnego uwielbienia Napoleona I, które w szal nieraz przechodziło, uważając go nawet za coś *wyższego nad człowieka*.

Tymczasem nowa organizacja burzyła wszystko, co było godne poszanowania, co mogło być użytecznie odżywione i odpowiadało zwyczajom narodowym i potrzebom krajowym.

Na miejsce dawnych województw podzielono Księstwo na departamenta; odrzucono dawne prawodawstwo, nad którym wieki pracowały i wprowadzono nowy Kodeks Napoleona.

Trudno zaprzeczyć, że w tój rzeczy zmiana była na lepsze. Tak też współcześni ją przyjęli i gorąco się zabrali do przyswojenia sobie nowego prawa i rozwinięcia władz sądowniczych. Minister sprawiedliwości, Feliks Łubieński położył tu ogromne zasługi. Dla przygłuszenia cichych sarkau ludzi starój daty, co zapamiętali dawne statuta, w dniu 1 maja 1808 r. wyprawil suty bal w swoim pałacu, podczas którego śpiewano pieśni, ułożone z tego powodu. W nich oczywiście należało pierwsze miejsce cesarzowi Francyi, to też pieśni te zowią go *największym czasów mężem*.

Ustanowiono trybunały, sąd apelacyjny, sąd najwyższy, a przy otwarciu każdego odbywały się świetne uroczystości, z odpowiedniami mowami i wierszami, które przepisywano na wyścigi. Łubieński znalazł w społeczności prędko dzielnych pomocników, którzy wykonywali jego polecenia i patrzymy dziś z podziwem i uwielbieniem, w jak krótkim czasie przeprowadzono organizacyą sądów, wprowadzono Kodeks, podług którego wymiar sprawiedliwości szedł nalezycie i z pożytkiem dla ogółu.

Formacya nowój armii Księstwa, dawała też obszernie pole do wlewania uczuć: w mowach, pieśniach i wierszach. Pisał je po większej części, znany z talentu Ludwik Osiński i o nie się też skwapliwie ubiegano.

Wyszła wtedy osobna książka p. n.: *Krótki zbiór wierszy, pieśni i mów patriotycznych*, która obejmuje te wszystkie objawy, odzwierciedla też zarazem wybornie owe gorące czasy.

Na scenie narodowój w Warszawie, obok tłumaczeń Kornela, Raszyna, Woltera, wystąpili oryginalni tragicy: Franciszek Wężyk, Ludwik Kropiński, Antoni Iloffman. Dwaj aktorzy ulubieni: Aloizy Żółkowski i L. A. Dmuszewski, w komedyjkach i wodewilach chwyтали gorętsze chwile z życia publicznego i przedstawiali na scenie, ku ucieście serdecznój, licznych zawsze widzów i słuchaczy. Poeci współcześni odami, kreślonymi z zapałem w natchnieniu prawdziwém, jak Wężyk i Kajetan Koźmian, podnosili jeszcze nastrój ogółu. Powtarzano sobie strofkę z ody Wężyka:

Czyliż dotąd nie słyszycie,
Jak Pan niebios gromy miota?
Dziś lub nigdy, śmierć lub życie:
Chwała lub wieczna sromota!

Rok 1812 i wyprawa Napoleona do Moskwy, w której cała jego potęga zdruzgotaną została, zapał ten powoli studzić zaczęły: w miejsce jego przyszło u jednych zwątpienie, u drugich wywołana rozpacz bez granic!

Niedowierzenie pierwszym nadbiegłym wieściom o poniesionój klęsce, zastąpiła straszna pewność, gdy sam Napoleon saneczkami przybył do Warszawy, i przenocowawszy w hotelu Angielskim, nazajutrz cicho i tajemnie opuścił mury naszego miasta. Wkrótce wymowniej-

sze dowody stanęły przed oczyma, gdy oddziały zwyciężkiego wojska ukazywać się zaczęły w granicach Księstwa, a niedługo wkroczyły i w same mury Warszawy.

Przepowiednia Kołłątaja sprawdzać się zaczęła. Niedobitki armii francuskiej i polskiej wywołały smutek powszechny. Wszystko to po krótkim spoczynku pociągnęło ku Saksonii.

Książę Józef Poniatowski wyruszył z pułkami zagranicę, które zebrać potrafił.

Głosy dawne tryumfu umilkły, wraz z objawami życia duchowego w Warszawie. Przyszłość nie ukazywała się z uśmiechniętym obliczem!

Marzono, że „największy mąż czasu“ jeszcze się podniesie z tryumfem, i losy przeciwne zwycięży. Daremna otucha!

Trzydniowa bitwa pod Lipskiem 1813 r. okazała mylność tej rachuby. Armia Napoleona po krwawym boju cofać się zmuszona, a ofiarą tej bitwy został w nurtach Elstery książę Józef Poniatowski.

Napoleon dobiegał do ostatniego kresu swego zawodu. Bitwa pod Waterloo i klęska poniesiona, postanowiły o jego losach: zmuszony abdykować, na samotnej, skalistej wyspie dokończył żywota.

Losy Księstwa Warszawskiego zachwiały się bez nadziei. Literatura w niem obumarła.

Wiele prac i zacnych pomysłów czekało spokoju, ażeby mogły być spożytkowane. Tak projekt Onufrego Wyczechowskiego o Towarzystwie Kredytowem Ziemijskiem należycie opracowany, dopiero później, w lat jedenaście po upadku Księstwa, przez księcia Lubbeckiego podniesiony i prawem sejmowem 1825 roku w życie wprowadzonym został.

Przeglądając zabytki literackie z okresu Księstwa Warszawskiego, widzimy, że ani w poezyi, ani w wymowie nie posunięto się dalej nad wiek XVIII. Jednej zasługi wszelako zaniedbać nie można: że język ojczysty zyskał ogromnie na wyrobieniu swoim. Nabrał on harmonii, melodyi, oczyszczony został z obcych naleciałości, lubo go kaziła jeszcze nieraz składnia francuzka, zwroty i wyrazy nawet francuzkie, czego ślady najwyraźniejsze mamy w utworach literackich tego okresu.

Ale potoczystość harmonijną polskiemu wierszowi dał Ludwik Osiński, jedrność i siłę dawną odnowił Franciszek Wężyk, jasność i dobitność wyrażeń Kajetan Koźmian i Jan Paweł Woronicz w pismach swoich prozą i wierszem.

Przepisy *Kodeksu klasycznego* nie dozwalały żadnego wybryku w formach raz przyjętych, stąd dzielono poezyą polską na: liryczną (pieśni, ody, anakreontyki, dytyramby i wiersze uczuciowe); poezyą dramatyczną; bajki i powieści; poezyą heroiczną (w dział ten liczono Homera, Wergiliusza, Ossyana, Tassa, Walter-Skotta, *Wojnę Chocimską* Krasińskiego); epigramata: satyrę podciągniono do działu dydaktycznego.

Tego podziału trzymano się ściśle aż do czasów Mickiewicza.

Wymowa również na właściwe sobie działy podzieloną została.

I była cisza i spokój w świecie literackim: nikt nie śmiał się wyrwać z jakąś nowostką. Stali bowiem na pilnej straży owych przepisów męzowie zasługi, talentu i wielkiej powagi, których imiona brzmiały chlubnym rozgłosem po całym kraju.

Prasa peryodyczna słabym oddechem zaledwo dawała oznaki życia. *Gazeta Warszawska* jako pismo polityczne, z początkiem roku 1807, bo w pierwszej połowie maja zaczęła dołączać Listy co tydzień, co dwa, poświęcone kwestyom najważniejszym społecznym i sprawom narodowym; w objętości pół arkusza lub arkusza ścisłego druku, nosiły adres do kogo pisane, i więcéj żadnego nie miały tytułu. Najwięcéj jednakże jest adresowanych do Józefa Kalasantego Szaniawskiego, członka Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, i autora wielu dzieł treści filozoficznej. Jakiéj wówczas pisarz ten używał opinii w całym kraju, najlepiej odmaluje nam ustęp z listu pułkownika Neymana do Piotra Maleszewskiego, b. kontrolera wojsk francuzkich, zamieszkałego w Paryżu. Neyman pisze do niego, tak się wyrażając o J. K. Szaniawskim:

„Znasz tego męża wprawne pióro i zajęte miłością ojczyzny serce, znasz jego talenta, geniusz, nieskazitelne i staro-rzymskie cnoty i obyczaje: są one cenionemi i uwielbiane przez świątłych a zawsze wiernych narodowi Polaków.“

Listy te pisały znakomitsze postacie, które w sprawach publicznych przeważny brały udział.

Rozpoczyna Horodyski konsyliarz w Administracyi publicznej Departamentu Warszawskiego, A. Gliszczynski, poseł na sejm konstytucyjny i Józef Neyman, pułkownik głośnego imienia z 1794 roku. Sam J. K. Szaniawski, Aleksy Dembowski, Jan Nepomucen Małachowski referendarz koronny, Ignacy Stawiarski prawnik, Józef Lipiński tłumacz Tassa *Jerozolimy Wyzwolonéj*, Wawrzyniec Surowiecki mąż wielkiej nauki, wykładający wówczas w Szkole Prawa statystykę Księstwa Warszawskiego: drukował obszerny List o potrzebach krajowych, opartych na gruncie podstaw narodowych. Józef Łęski, profesor matematyki i fizyki w Liceum Warszawskiem, dotykając nauk ścisłych, ztąd prace swoje nazywał Listy fizyczne. Łęski będąc rytownikiem dobrym na miedzi i stali, do Listu swego (w porządku ogólnego zbioru XXV-go) przyłączył kompozycyą Regnault'a, przedstawiającą: Wjazd tryumfalny Napoleona do świątyni nieśmiertelności.

Jestto wyborny rysunek w konturach, a szychowany przez Łęskiego. Przedstawia na wozie wspaniałym siedzącego Napoleona. Wsparty lewą ręką na księdze praw, prawą ma wspartą na mieczu, który trzyma bożek wojenny, umieszczony na tymże wozie. Minerwa uzbrojona dzidą i egidą, siedzi po lewej stronie mocarza, którego czoło zdobi wieniec laurowy. Cztery dzielne rumaki ciągną ten wóz wspaniały do świątyni nieśmiertelności. Nad siedzącym Napoleonem wznosi się

orzeł cesarski i Chwała trzymając wieniec. Na przodzie poprzód rumakami w galopie ulatują postacie niewieście, uosabiające Sprawiedliwość i Religia. Obok postępującego wozu i koni, widzimy Pokój trzymający gałązkę oliwną, prowadzi Obfitość i Bogactwo, ucharakteryzowane dwoma Geniuszami, z których jeden niesie róg napełniony kwiatami i owocami, a drugi skrzynkę ze złotem i drogimi kamieniami. Przy tej grupie idzie Lew jako znamię Mocy, na którym siedzi Geniusz Legii Honorowej.

Pochód ten poprzedza Zwycięztwo rozdające palmy i wieńce, bieży wyprzedzając orszak, który się kończy grupą wojowników, obciążonych zwycięzkimi łupami. Wokoło Szczęśliwość i Wesołość rozrzucają kwiaty, a młode dziewice palą wonne kadzidła.

Na drugim planie, wprost tryumfatora wznosi się Świątynia Nieśmiertelności, przy której frontonie unoszą się w obłokach Francya i jój Geniusz: pierwsza wskazuje bohaterowi tron, który na niego czeka; drugi przedstawia mu koronę i berło dawnych monarchów francuzkich.

Z przeciwnej strony poza wozem tryumfalnym, Herkules uzbrojony w maczugę, gromi ciemnotę, zabobon, niezgodę, anarchią i wściekłego lamparta. Przed tą grupą Czas, który zawsze utrwala pamięć i sławę prawdziwych bohaterów, ujmuje tablicę spiżową, na której Klio ryje historią Bonapartego.

Oryginał tego obrazu około 30 stóp szeroki a 16 wysoki, uznany był za najlepsze dzieło pędzla Regnault'a, gdyż wedle wyrażenia J. Łęskiego: „ostateczną swą świetność otrzymuje ze świetności karnacyi, żywości draperyi i wdzięku pędzla.“

List ten redakcyja *Gazety Warszawskiej* musiała odbijać w podwójnej liczbie egzemplarzy, a i te nie wystarczyły tłumowi ciekawych, aby ujrzeć apoteozę ulubieńca wszystkich.

Listy te budziły niesłychane zajęcie w kole czytelników polskich. Treścią ich bowiem były: poważne poglądy na stan ówczesny kraju, badanie położenia politycznego, zarazem wskazówki potrzeb naglących i ofiar, poświęcenia, któremi je zaspokoić można. Jeżeli z tej strony wydatnie wyniosły duch obywatelski co do spraw krajowych, nie spuszczały te listy z uwagi i rozwoju literatury ojczyźstęj, oraz ważniejszych dzieł jak np. *Statystyka Polski*. Zawadzi tu i wiersz przydłuższy. Tak cały List XVIII z daty 3 lipca 1807 r., pisany przez Alojzego Orchowskiego do pułkownika Neymana, obejmuje długi, ale pełen zapału i uczucia jedyny wiersz Orchowskiego p. n.: „Na popis batalionów II i III Legii Polskiej, na żołdzie Rzeczypospolitej Włoskiej zostających, w dniu 27 września 1802 r. przy mieście Pawii pod wodzą generała dywizyi i inspektora Dąbrowskiego odbyty.“

Spojrząwszy na datę, widzimy, że Orchowski pisał ten wiersz w Medyolanie, kiedy jeszcze myśli nie miał Napoleon o Księztwie Warszawskim: nasz poeta-obywatel uniesiony widokiem legionistów, cześć im oddając za ich wytrwałość i bohaterstwo, jakby w wieszczém prze-

czuciu, przepowiada blisko szczęśliwszą dla nich przyszłość, gdy spoczną na rodzinnjéj ziemi. Sprawdziło się to rzeczywiście, ale w pięć lat później.

List XXIX z tego powodu wielce jest zajmujący, że odstania nam nieznane stosunki Surowieckiego z Woroniczem, wówczas kanonikiem warszawskim, nad czém pracowali i co głównie mieli na myśli.

Surowiecki tak ów list zaczyna:

„Do autora *Lechiady*, do miłośnika starożytności narodowych, do tak szanownego przyjaciela, nigdy się nie przemawia innym językiem, tylko tym, który mu jest najprzyjemniejszy.

„Kiedy świat gorzał w pożogach wojny, a ludzie trapiłi się nawzajem mozolnemi wróżbami o przyszłych wypadkach: my w samotném ustroniu spokojni, zwiedzali naprzemian przedwieczne ludy Indu, Kaukazu, Tanaizy i Erydanu. Przegarniając ich szczątki, rozniecione od tysiąca burzących czasów, szukaliśmy w nich najdrobniejszych śladów początku, obyczajów, religii wielkiego narodu Słowian. Ta zabawa zawsze nam była najmilszą, zawsze ukazywała nowe coraz pełny nienasyconjéj naszjéj ciekawości. Czasem, gdy szczęk oręża rozszerzył trwogę aż do samych progów naszjéj samotności, gdy spokojne umysły już przerażał smutkiem, jedno wspomnienie o sławnych wyroczniach Światowita, o wspaniałych świątyniach potężnego Trójgłowa, o srogich karach mściwego Prowa, zacierało w momencie cały ten obraz nieprzyjemny. Doczekawszy się nareszcie lepszych czasów, pomówmy jeszcze przed świątłymi rodakami o tém, co nam tak wiele sprawiało ukontentowania na osobności.“

I dalej podaje program, a jak sam nazywa „Obraz dzieła o początkach, obyczajach, religii dawnych Słowian.“

Wczytując się w ten obszerny zarys, dostrzegamy, że kreśliła go ręka prawdziwie uczonego męża, znającego ten przedmiot do gruntu, oznajomionego dokładnie z najważniejszymi źródłami do takiej pracy, szukającego pomocy i objaśnień w podaniach, zwyczajach i obrzędach ludowych. To nam wskazuje, że Surowiecki pierwéj niż Zoryan Dołęga Chodakowski (Adam Czarnocki), oceniał ważność badań etnograficznych, tylko sam ich jak tamten niemiał sposobności zbierać.

Obejmując myślą ogrom dzieła, zwątpiwszy czyby sam podolał tak mozolnemu zadaniu, nie zrażał się trudnościami, ale skrętnie materiał cenny zgromadzał do budowy, którą czy samby dźwignął, czy silniejszym dłoniom powierzył. Ze skromnością téż właściwą mężowi prawdziwéj nauki, pisze w tym liście:

„Te trudności nie były mi tajne, nie dałem się im jednak odstraszyć; znalazłem sposoby, które, chociażbym nie ukończył w tak rozmaitych przedmiotach połączoną pracę, zapewniają jéj jednak zupełną wartość.

„Ułożony porządkiem materji summaryusz wyjątków z najrzadszych dzieł, wraz z uwagami do 300 arkuszy druku wynoszący, będzie obfitem źródłem, z którego uczeni, bez mozolnego szperania, bez rzad-

kich lub mało znanych autorów, w pięciu lub sześciu językach, śmiało będą mogli czerpać. Za jednym rzutem oka, znajdą osobno wszelkie podania z wielu przypiskami o bóstwach, obrządkach, uroczystościach, o obyczajach, o prawach, o charakterze, początkach, o orężu, stroju i t. d. narodów słowiańskich. Obok zaś tych, dla stosunku historycznego pod podobnymi względami Greków, Celtów, Skitów, Persów, Indów, Egipcyan, Gotów, Germanów, Laponów, Normanów i t. d. Za pomocą takiego dzieła nietrudno będzie ciekawym objaśnić się w każdym przedmiocie, a uczonym wypracować i rozszerzyć, a niekiedy sprośtować w nawale rzucone moje uwagi. W każdym razie spodziewam się mocno, że ta praca z wielu miar oświeci dzieje narodów europejskich, i obali niejedno błędne zdanie, o którym dotąd nikt nie śmiał powątpiewać.“

Zgromadzeniu tak obfitego materiału poświęcał Surowiecki kilkanaście lat pracy, o której nikt nie wiedział, tylko najbliższy jego przyjaciel J. P. Woronicz. Z listu, o którym mówimy, spostrzegamy, że autor jego w rozświetleniu pierwotnych dziejów Polski, stanął do razu na tém stanowisku, do którego daleko później dobiegało się dopiero grono badaczy naszych. Spójrzmy na plan pomyślanego dzieła W. Surowieckiego, jaki sam na początku pomienionego listu podaje:

„Wywód początków wielkiego narodu Słowiańskiego.

„Obyczaje, prawa, postać i charakter tego ludu.

„Religia, bóstwa jego pogańskie, obrządki, uroczystości stosowane z obcemi.

„Zaprowadzenie osad w różne strony świata i los tych do panowania Władysława Jagiełły.

„Przemysł, handel, rękodzieła tego ludu.

„Nakoniec, obyczaje, prawa, przemysł, rękodzieła, charakter, stan topograficzny, polityczny i statystyczny Polski w szczególności, aż do wieku XV.“

Cóż spowodowało Surowieckiego do pomysłu tak ogromnego dzieła, gdy po kilkunastu latach zbierania doń zasobów, przyszedł do wątpliwości, ażali go potrafi sam wykonać?

Spowiedź jego piękną, szlachetną, jako przedwstęp do programu swego pomieścić. Surowiecki przeżył najsmutniejsze chwile w dziejach naszych, bo trzy rozbiory Polski. Z ostatnim ujrzał, że kraj jego stracił nie tylko byt swój polityczny, ale jego imię wymazanem zostało z rządu państw europejskich. Zaprzagnął więc pocziwają jego pamięć przechować w historii, i dlatego z młodzieńczym zapałem rzucił się do badań dziejów pierwotnych, ażeby następnie zejść do Jagiellońskiej epoki. Do biografii Surowieckiego, który stoi w rzędzie pierwszych literatów polskich w r. 1830, list ten drogocennym jest przyczynkiem.

Głośnego imienia w czasach Księstwa Warszawskiego Rajmund Rembickiński prefekt departamentu, a następnie prezes departamentu Białostockiego, w liście (XXX) do J. K. Szaniawskiego, w wymownym obrazie maluje ostatnie lata XVIII-go wieku, upadek moralny wielu

warstw społecznych, wskazując zarazem naglące potrzeby wymagające zaspokojenia.

To ciągłe odwoływanie się i adresowanie listów do J. K. Szaniawskiego, stawia dowód, jak stał wysoko w znaczeniu i opinii publicznej, którą, o ile się nam zdaje, starał się podtrzymywać. Ślad tego widzimy w drukowanym w tym zbiorze liście Józefa Bogusławskiego ucznia klasy V Liceum Warszawskiego, który w całości pomieszczamy:

Szanowny Mężu!

„Od wieku dzieciństwa mego jesteś na mnie łaskaw, że mnie i książkami i dowodami gruntownymi prowadzisz do światła. Bądź tym samym dla współuczniów moich, których niedostatek majątku czyni ich niesposobnymi brania edukacji. Masz więcej wpływu do rządu niżeli kto inny, a témbardziej ja, który dopiero żyć zaczynam, wnieść projekt do rządu, aby dla młodzieży otwarte zostało pole nauk, aby biedny bez opłaty jaka teraz panuje, mógł się uczyć wszytkiego. Niech majątny płaci, kiedy mu szczęście dozwoliło mieć się lepiej, a biedny prawdziwie niech będzie od tego wolnym. Im więcej będzie światła w narodzie, tém potężniejszymi uważać nas będą. Szanowny Mężu! robiłeś wiele, czynisz; zrób i to: a kiedy to ułatwisz, wszystko ukończyłeś.“

Wdzięczne echo list ten studenta znalazł w społeczności krajowej: znaczenie J. K. Szaniawskiego urosło więcej. Utrzymać go i opinii pochlebnej nie potrafił w następnym okresie, ale to już do późniejszych czasów należy: w epoce Księztwa stawiano go jako wzór cnoty obywatelskiej, uczonego pierwszego rządu i rozumnego rzeczownika, pożytecznych prac dla kraju.

Ogólny zbiór tych Listów przy *Gazecie Warszawskiej* wynosi 44, i zamyka go w dniu 19 grudnia 1807 roku list J. B. Rakowieckiego (późniejszego autora *Prawdy Russkiej*), stanowiący odczwę: „O potrzebie dzieła elementarnego o rolnictwie i ekonomii.“ J. B. Rakowiecki adresuje swój list do pp.: „J. B. R. Stowarzyszonych w celu roztrząsania Materjów, obraz kraju i narodu rozjaśniających.“ To namiętnie nasuwa myśl, że i publikacja tych Listów wyszła z tego łona Stowarzyszonych, którzy w chęci ich spopularyzowania, przyłączyli do *Gazety Warszawskiej* jako *Dodatek bezpłatny*, sami ponosząc koszt wydawnictwa. I zaprawdę, tym celom odpowiada dobrze treść Listów, gdyż we wszystkich kierunkach społecznych objawia się działalność ich autorów. Jedni badają stan ekonomiczny kraju, drudzy stan ówczesny polityczny Księztwa: jego ustrój społeczny. Badają przeszłość narodu, wykazując jasne strony i błędy.

W. Surowiecki maluje trafnie *charakter historyczny Polaków* i wypowiada tę wielką prawdę: „że Polak XIV i XVI wieku nie różni się co do istotnych przymiotów od Polaka XVIII wieku. To, co go dziś wyszczególnia przed innemi, już wówczas było główną jego własnością.“

W Listach znajdujemy niemało zwracanej uwagi na lud wiejski usamowolniony osobiście. W tej treści zajmującym jest list (XXXIII) pułkownika Neymana do J. N. Małachowskiego, referendarza koronnego, w którym przedstawia nam rozmowę chłopów naszych, jak pojmovali konstytucją nadaną przez Napoleona. Jestto scena wybornie pochwyciona, w której występują do dyalogu: stary Józwa okupuik, wieśniacy, gmina i szlachcic, łącząc się w bratnim uścisku.

Alojzy Orchowski w pięknym Liście (VI) do Hierodyskiego, oddaje cześć należną powabnym Polkom jako żonom i matkom, co umiały wychować młode a dzielne pokolenie. Pragnąłby im postawić oktarze za ich poświęcenie i miłość do ojczystej ziemi. Ciekawy nam zarazem daje obrazek, malujący cząstkę współczesnego świata:

„Klasa nieroztropnych trzpiotów (pisze), modnisiów, wprowadziła lekkość i roztargnienie w zabawy i nasze towarzystwa. Gadactwo połamaną cudzoziemczyzną, popsutym narodowym językiem, jakimi was bawią trefnisie, szeptania pod uchem niewinnem, szydzącego ze skromności adonisa, mamily wasze umysły, ale wrodzonego wam przywiązania do ojczyzny nie starły. Nie jeden Polak był zdrajcą: Polka jeżeli zbłądziła, było to nierozsądku lecz nie zbrodni rozmyślnej poędem.“

Po roku istnienia, publikacya ta, zajmująca się tak gorliwie najżywotniejszymi kwestyami społecznymi, przerwana została, i już ani w ciągu istnienia Księstwa, wskrzeszoną nie została, chociaż forma, jaką od początku przybrała, dawała swobodne pole do przeprowadzania najrozmaitszych przedmiotów.

Listy zebrane razem wyszły później w oddzielnej książce p. n.: Korrespondencya o materyach, obraz kraju i narodu polskiego rozjaśniających. W Warszawie, 1807. W drukarni Gazety Warszawskiej (w 8-ce str. 302).

Pamiętnik Warszawski jako pismo naukowe pod redakcją Ludwika Osnińskiego, to z *Gazetą Warszawską* były dwa tylko organa ówczesnej prasy.

Pamiętnik ten wychodził z przerwami, nieregularnie, z powodu zawichrzeń wojennych, szczególnie napadu armii austriackiej 1809 r. pod dowództwem księcia Ferdynanda d'Este i zajęcia Warszawy po krwawej bitwie pod Raszynem, w której poległ bohaterką ściercią Cypryan Godebski, żołnierz-poeta. Co do swęj wartości wewnętrznej, przewyższał on poprzedni *Pamiętnik Warszawski* Franciszka Dmochowskiego (tłomacza *Iliady*), nietyle bogactwem treści, ile doborem artykułów. Dział poetyczny świetniej się w nim przedstawiał; na szczególną zaś wzmiankę zasługuje umieszczony w nim (beziemiennie) program do napisania *Historji Polskiej* od najdawniejszych czasów do powstania Księstwa Warszawskiego. Znac w nim znakomitego znawcę dziejów ojczystych, głębszego myśliciela, z wyższym poglądem badacza.

Księstwo Warszawskie w krótkim okresie swego istnienia, było jakby szkołą przygotowawczą dla Królestwa Polskiego przez wprowadzenie Kodeksu Napoleona i organizacją licznych sądów, przygotowała się niemała liczba zdolnych i sumiennych prawników, którzy stanowiąc czoło inteligencji polskiej, łączyli naukową teorię z praktyką sądową. W linii administracyjnej przygotowali się również urzędnicy w ministeryach, którzy postęp z nowymi ideami wprowadzali w życie. Nieznane nauki: ekonomii politycznej, gospodarstwa narodowego i finansowości, przy ich pomocy stały się przystępnymi, oznajamiając ogół z nowymi potrzebami społecznymi. Rolnictwo samo przestało się zasklepiać w tradycyjalnej *trzechpolówce*, i z czynszowaniem włościan, płodozmiany zaczęły kiełkować. Słowem, w każdym kierunku, na każdym polu widzimy pracę sumienną, usiłowania wielkie, ażeby dążnościom wieku nastarczyć.

Resztki dawniej Rzeczypospolitej w czasie Księstwa dogorywały: to co pamięć z jej okresu przynosiła, już nie wystarczało potrzebom chwili obecnej.

Jak podwójnym krokiem zwycięzka armia Napoleona przechodziła Europę od Zachodu ku Północy, tak równie szybko na końcach baguetów przenosiła nowe myśli, nowe idee, z pragnieniem postępu każdej społeczności. Jak słońce, co obliczem swoim oświeca i ogrzewa ziemię, tak Orzeł Francji z piorunami w szponach, gdzie zabijał, przynosił wszędzie radość i swobodę. Siła pięści zwycięzcy gniotąc wroga, zarazem sypała cenne dary duchowe.

Do księgi wspomnień i tradycji narodowych, Księstwo Warszawskie dołożyło kart niemało; szczególnież też od czasu wstąpienia armii francuskiej w granice Polski, a głównie też z powodu napadu Austryaków na Księstwo Warszawskie w r. 1809. Pomiedzy literackimi zabawkami był jeden osobliwy ze swój treści i układu; dostać go można było za sześć groszy polskich po wszystkich straganach przy-kościelnych, na których wśród szkaplerzy, paciorków, krzyżyków poświęconych, obrazków świętych i ksiązek nabożnych, przewijały się broszurki światowe. Jedna z nich właśnie wierszem pisana, zawierała opowiadanie huzara węgierskiego, łamanym językiem słowacko-madziarsko-polskim, przygody jego i jego towarzyszków w kampanii 1809 r., gdy byli bici i wypędzani z granic Księstwa, nietylko przez regularne wojska ale przez oddziały powstańców i pojedynczych ochotników.

Jakkolwiek w dowcipnem tém opowiadaniu było niemało przesady, rzeczą jest historyczną, że po bitwie pod Raszynem, pomimo opanowania Warszawy, padł taki popłoch na armią grasującą w Księstwie, że przed patrolami jazdy, pułki całe, brygady i dywizye z trwogą uciekały ¹⁾.

¹⁾ Bawiąc w Węgrzech w latach 1829 i 1830, gdy przyszło wspomnieć te czasy, Węgrzyni zawsze się wypierali, że należeli do armii księcia Fer-

Zbiór tradycyi z dawnych wieków przechowywano starannie w pamięci. Przypominano sobie wojnę chocimską z Turkami 1621 roku za Zygmunta III, i bohatera głównego Jana Karola Chodkiewicza, któ-

dynanda d'Este, która napadła niespodzianie Księstwo. Tak się ten szlachetny naród wetydził udziału, jaki wziąć musiał w tój wyprawie najezdniczej.

O strachu panicznym w wojsku austryackim mogą poświadczyć żyjący jeszcze świadkowie. Przytoczę tu wypadek, który mi opowiadał b. kapitan z pułku Rzeczypospolitej, ś. p. Józef Raciborski, dziedzic wsi Załucza nad Prutem, gdyśmy razem przejeżdżali miasto Stanisławów w Galicyi. Miasto leży w nizinie, od strony Lwowa są wyniosłe pagórki, a na jednym z nich wiatrak.

— Spójrzj na wiatrak—mówił do mnie Raciborski—to ten sam, z którego padł postrach na sześciotysięczną dywizję piechoty austryackiej. W jednym z oddziałów jazdy polskiej, który wpadł do Galicyi, był podoficer i zarazem doskonały trębacz Jaszczold, szalonej odwagi, ale wielki zwolennik kieliszka. Ten po sutěj uczcie i wysuszeniu nie mało wina i śliwowicy, wraz ze swym towarzyszem trębaczem przyjechali pod ten wiatrak o północy, ale zmęczeni drogą i rozmarzeni kieliszkami, przywiązawszy konie do wiatraka, legli na trawie i smaczno zasnęli. Noc była ciepła ale rosista, słońce jak latem, wczesnie weszło i ciepłemi promieniami najpierw ogrzało to wzgórze, na którém dwaj ułani spali. Pierwszy zbudził się Jaszczold: przetarł oczy, przeciągnął się i spojrział w około. Z miasta usłyszał gwar głuchy: po gęstych wedetach zmiarkował, że wojska jest w niem nie mało. Zbudził więc swego trębacza i radził siadać co rychlej na konia, żeby się niedostać do niewoli. Kiedy już dosiedli siodła, przypadek zdarzył, że ze wsi pobliskiej owczarz pędził gromadę owiec po drodze piaszczystej, która pobudziła ogromną kurzawę. W tój chwili właśnie piechur austryacki stojący na czatach, ujrzawszy dwóch ułanów polskich, wystrzelił i wydał okrzyk trwogi. To zatrzymało Jaszczolda. Niedługo gwar w mieście powstał wielki, i ujrzał z podziwem, że prawie kłusem dywizya austryacka uchodzi do Stanisławowa. Nienamyślając się więc długo, łyknął wódki z manierki, poczęstował towarzysza a kazawszy mu trąbić do ataku, najprzód kłusem, a potem galopem rzucili się ku miastu. Odgłos trąbki kawaleryi dającej hasło do ataku, wielki okrzyk Jaszczolda, a poza niem ciemna kurzawa zwiastująca jakby gęste szyki idącej jazdy, rzucały popłoch straszny. Mieszkańcy Stanisławowa z podziwieniem spoglądali na uciekających cotchu Austryaków, a niedługo na rynku zabrzmiała trąbka i ujrzano dwóch polskich ułanów. Tłumem rzucili się więc ku nim, witając serdecznie: Jeden z bliżej stojących szepnął Jaszczoldowi, że pięciu huzarów węgierskich stoi w murowanej pobliskiej austeryi i chce uciekać. Jaszczold zwraca więc do niój, wzywa mieszczan do pomocy, i spóźnionych huzarów zabiera do niewoli.

Pojedziemy gościńcem do Chocimierza—mówił mi dalej Raciborski—to ci pokażę drogę, którą bataliony piechoty zmykały przed Jaszczoldem. Niedaleko za Stanisławowem był lasek.

rego potomek po kądzieli mieszkał w Warszawie, miał swój pałac na Miodowej ulicy, i słynął z nauki ¹⁾.

Zachowywanie i powtarzanie tych tradycyi było nietylko najmilszą rozrywką dla społeczności tego okresu, ale stało się niejako potrzebą jęj życia duchowego. Byłe zebranie bliżej znajomych w kółku przyjacielskiem, przy lampce węgryzna lub czarce starego miodku rozpoczynała się gawęda o obecnych czasach, przeplatana wspomnieniami dawniejszych wieków.

Najczęściej na czoło występowały wspomnienia o królu Janie III. Że to był Polak z rodu, naród go szczególnie ukochał i pieszczotliwie nazywał *królem Sobkiem*. Warszawianie żywą o nim pamięć przechowywali długo.

Król Sobieski przebywał często w zamku warszawskim, a pod Warszawą, nad łachą wiślaną, po zwycięstwie pod Wiedniem w 1683 r. rękoma brańców tureckich zbudował sobie wspaniały pałac w Willanowie, założył obszerny ogród, w którym sadił własną ręką ulubione lipy, dotąd jeszcze przechowane, a grubością pni, wzrostem i olbrzymiemi konarami świadczące o swęj starości. Niemało czasu przemieszkował w Willanowie wraz ze „śliczną swoją Marysieńką“ i licznym dworem.

Blizkość Warszawy ułatwiała stosunki niemal codziennie z dworzanami królewskimi; to tęż każde zdarzenie na nim, każdy najdrobniejszy wypadek, z niestychaném zajęciem chwytano i opowiadano sobie w kółkach mieszczkańskich. Jeden wypadek szczególnie, który się wydarzył w zamku willanowskim, stał się ulubioną gawędką, którą częstowano upragnionych gości jak marcepanem. Opowiedział go uroczeń słowem Wincenty Pol. Powtarzamy go tu dla odświeżenia dykteryjki, będącej rozkoszą zebrań mieszkańców Warszawy.

Na dworze króla Jana Sobieskiego Winnicki był trefnisiem czyli błaznem nadwornym. Król lubił jego żarty i nazywał go „kochanym Winnisiem.“ Kiedy go dzień jaki nie widział, wyraźnie tęsknił za nim; Winnicki tęż nie odstępował nigdy króla. Jeszcze z hetmanem był na potrzebie chocimskiej 1673 r. i we wszystkich następnych wyprawach, nieodstępując od boku pana swego. Królowa wszakże miała niechęć do Winnickiego, bo jęj często Francuzów kąsał. Pomimo to, jakby na przekorę, chwalił się Winnicki przed całym światem, iż się zaszczyca osobistemi względami królowej, tak dalece, że rzecz ta królewskich nawet uszu doszła. Gdy go król zapytał czemu tak kłamię?

Tutaj—rzekł—po przemarszu uciekinierów, mieszkańcy z Chocimierza i Stanisławowa, znajdowali kapelusze stosowane, obszywane szerokimi galonami: oznaki godności wyższych oficerów, które uchodząc pogubili.

¹⁾ Aleksander hr. Chodkiewicz, literat i chemik, mąż uczony, który pierwszy u nas wprowadził litografię, nie żałując szkatuły własnej na liczne próby i udoskonalenie tego wynalazku.

— Ja nie kłaniam, Miłościwy Panie—odpowiada—lecz gdzie panu radzi, tam też i jego czeladzi. Królowa Pani musi mnie mieć w łasce swojej, kiedy na Francuzów jest tyle łaskawą, bo ja wypijam codziennie to piwo, które oni nawarzą. Odpraw mnie, Miłościwy Panie, a zaraz jutro podziękują wszystkie francuziki za służbę, albo rokosz będzie w kraju. Jeżeli nieprawdę mówię, bogdajżem z fałszem (z łatą) nosił żupan całe życie.

— Nie odprawię cię, Winnisiu, nie odprawię—rzekł król — ale staraj się tylko zasługiwać królowej.

Winnicki przyrzekł tak miarkować swe sprawy, iżby sobie zasłużył na względy królowej i to w krótkim czasie. Wszystkich przytomnych zdziwiła ta obietnica, Winnicki bowiem zwykł był danego dotrzymywać słowa, a tutaj potrzeba było poprzestać płatać psikusy Francuzom, których pełno było na dworze, a tym samym wypaść z łaski dworu całego, samego króla, który z niechęcią patrzył na Francuzów i fawory jakich podówczas doznawali na dworze królewskim. Wszyscy tedy byli w największem oczekiwaniu, jak się Winnicki tą razą wyrabie. Wyrabiał się jak trefniś, conceptem. Zamknął się w oficynach i niepokazywał się na dworze. A działo się to w ulubionym królowi Sobieskiemu Willanowie.

— Gdzie Winnicki?—pytał król codziennie.

— Słaby—odpowiadano.

Król Jan posyłał do niego księdza plebana i lekarza swojego, ale Winnicki nie chciał nikogo przypuścić do siebie. Tak minął tydzień i drugi, nie było komu bawić pana przy stole: jak na toż nastąpiła ślota i dwór cały zesmutniał. Król począł cierpieć na niestrawność, był codziennie gorszej fantazy i odmówił królowej prośb kilka. Dwa starostwa właśnie do rozdania były: rozszafował je król nie według jej myśli. Dąsała się tedy pani, król stawał się codziennie nudniejszym, i nie pojmował sam nawet przyczyny, która mu tyle humor kwasila. Winnicki tymczasem jak siedzi tak siedzi.

Zniecierpliwna w końcu królowa, kazała przywołać jednego z towarzyszy swoich i rzekła mu w gniewie:

— *Je sais que ce fou Winnicki n'est pas malade! Coûte qui coûte! faites le venir au Roi.*

Francuz, który znał królowę, pomiarkował, że to nie przelewki i jeżeli mu szczęście nie dopisze, to się potrzeba będzie rozstać i z dworem. Udał się tedy do blazna. Długo prosił, długo błagał i pukał podedrzwiami; w końcu, po godzinie prośby i groźby, otworzył mu drzwi pacholek i poprowadził do drugieji komnaty, gdzie na środku, na niskim siedzeniu, dokoła ostoniony, siedział Winnicki.

Winnicki kilkoma językami mówił *expedite*, tym więcej bali się go Francuzi, że częstokroć własną ich bronią pobijał, drwiąc z nich po francuzku, a jak dziś tak i wówczas, nie obawiał się Francuz niczego więcej, jak stać się śmiesznym po francuzku.

— Cóż ci takiego? kochany przyjacielu!—zapytał go Francuz.

— Cicho! cicho! dla Boga!— zasyczał Winnicki, i ilekroć Francuz się odezwał: „cyt!” znowu Winnicki i niewiele brakowało, że się Francuz nie porwał do szpady. Widząc, że go już do ostatniej przywiódł niecierpliwości, powiada w końcu Winnicki:

— Powiedz mi jegomość, czy dobry z niego naturalista?

— Co za pytanie!— odrzekł Francuz rozgniewany— wszak jestem Francuzem i byłem na akademii w Paryżu.

— Powiedz mi jegomość— pytał dalej Winnicki— z kąd się kurczęta na świecie biorą?

— Zamyślasz więc drwić sobie ze mnie!— rzekł Francuz— *mais eh bien, ce votre metier*— dodał, miarkując swój gniew. Kurczęta tedy, jak wszystkie na świecie, rodzą się.

— Więc, zdaniem akademii paryzkiej, powiadasz jegomość, że się kurczęta rodzą? a u nas w Polsce inaczej tę rzecz chcą mieć baby i powiadają, że potrzeba kury nasadzać na jaja i że dopiero z jaj kurczęta wyłazą.

— I do czego ma nas doprowadzić ten uczony traktat?— zapytał Francuz złośliwie.

— Do kurcząt!— rzekł Winnicki— które królowa, a pani nasza najmiłociwsza, tyle lubi. To zapewne wiadomo będzie przydwornym królowej, bo zawsze mnie mówiono, że z Paryzkiej akademii bieglejsi jeszcze dworacy, niż naturaliści wychodzą. Czy wiesz *monsieur* o tém, że teraz zima?

Francuz jadł się od złości, rzucił się w szerokie krzesło i milczał, a gdy się ta chwila milczenia przewlekła, zmrużył Winnicki oczy i udał że chrapi.

— Panie Winnicki!— zawołał Francuz w końcu żartobliwie— nie dręcz mię, tu o los mój chodzi; król nudzi się bez ciebie, a królowa pani powiedziała mi, żebym jój się na oczy nie pokazał, jeżeli WPana nie sprowadzę do króla.

— I przyrzekłeś?— zapytał Winnicki.

— Nie byłem pytany, ale rozkaz rozkazem!— odrzekł Francuz.

— Zły z waszności dworak, mój panie!— mówił Winnicki— a potrzeba ci znać o tém, że ze mnie dobry myśliwy; idziesz mi na połać, znam słabą stronę! któż ci zaręczy, że cię w miękuszu nie ugodzę?

— Jako?— zapytał Francuz.

— Miesiąc jeszcze posiedzę tutaj zamknięty— mówi Winnicki,— a jednego Francuza niestanie na królewskim dworze. Sama pani da wam odprawę. Ale nie obawiaj się tego, ja nie jestem tyle złośliwym. Zaczny kawalerze, podaj mi rękę do zgody! Cieszy mię to tylko, żeście przecie w końcu poznali, iż dwór, na którym Francuzi goszczą i bez błażna obyć się nie może. A teraz mów, czego żadasz odemnie?

— Na Boga!— suplikował Francuz— zaklinam Waćpana, pokaż się u dworu i rozwesel nam pana!

— To być nie może!—odrzekł twardo Winnicki, licząc zcicha na palcach, powiada—za siedm, ośm dni uczynię dopiero według waszej woli.

— Zgubisz mnie!—zawołał Francuz.

— Mój panie!—rzekł Winnicki—my mamy przysłowie, że wojna będzie bez jednego żołnierza. Waćpan dowiodłeś sam tego, nie idąc na potrzebę Chocimską; a jużci więcej znaczy rycerz niż błazen, a kiedy się wojna bez jednego rycerza odbyła, to też i dwór bez jednego błazna nie przepadnie.

— O kim mówisz?—zawołał Francuz—biorąc się do szpady.

— Powoli! powoli! jużciż mówię o sobie—rzekł Winnicki.— Złóż gniew i szpadę, bo i cóżby zresztą świat na to powiedział, że na gołe łby poszedł z błaznem rycerz nawaryjski? Złóż gniew i szpadę, a pomówmy szczerze.

— Czy wiesz o tém *monsieur*, że królowa kurczęta lubi?

— Wiem.

— Czy wiesz o tém, że królowa pani błazna nie lubi?

— Wiem! i cóż ztąd?

— Czy wiesz o tém, że teraz zima?

— No! wiem!

— Czy wiesz o tém, że nawet królowa pani śród zimy kurczęta mieć nie może?

— Wiem! ale dalej cóż ztąd?

— Ztąd wypływa—rzekł Winnicki—iż przez to, co królowa Jéjmość lubi, chce się wkraść do łaski ten, którego nie lubi: przez kurczęta—błazen.

— Nie rozumiem!—zawołał Francuz, i rzucił się znowu na krzesło.

— A przecie za dowcipnych was mają. Słuchaj tedy: żadna kura w całej Polsce nie chce na jajach siedzieć, a więc błazen musi. Tutaj rozkrył kołdrę i pokazał mu gniazdo, pełne jaj kurzych, na którym siedział okryty.—Patrz tu! zacny kawalerze!—mówił dalej—ile sobie cenię względy najmłodszej pani naszej, kiedy tutaj tak od dwóch niedziel siedzę? *Mais figurez vous* przynoszą kurczęta na dwóch pański; królowa zdziwiona pyta: „Zkąd kurczęta w tym czasie?” Wszyscy zgadują, aż tu się pokazuje w końcu, że Winnicki wywiódł kurczęta. Co za tryumf! co za zaszczyt! zrobić to, czego nikt dotąd nie potrafił.

— To są żarty, panie Winnicki!—rzekł Francuz niedowierzając.

— Jak Bóg żywy, nieżarty!—zawołał Winnicki—i klął na to duszę i ciało. Wyczytałem tę tajemnicę w uczonej księdze i najmniej dni siedm jeszcze siedzieć muszę, bo kurczęta wyłożą dopiero dwudziestego pierwszego dnia.

— Więc, choć na godzinę, pokaż się królowi; dam ci kiesę złota i protekcją moję u królowej.

— Za złoto dziękuję!—odrzekł Winnicki—bo filozofom i błaznom złoto niepotrzebne; lecz jeżeli szczerze protekcyą swoją u królowej pani przyrzekasz zacny kawalerze, to...

— To cóż—zapytał nagle Francuz.

— Tobym się zdecydował pójść do króla, ale tylko pod jednym warunkiem.

— Pod jakim?

— Jeżeli tutaj *monsieur* zajmiesz moje miejsce i pod słowem honoru będziesz siedział póty, póki ja nie powrócę; inaczej zazięłoby gniazdo i cała moja mozoła byłaby za nic; tyko ostrzegam, jak będziesz siadał, więc zlekka wspieraj się na rękach: tylko zlekka!

Pasując się z sobą, chodził Francuz długo po pokoju: tu śmieszność, której się więcej bał niż kuli; tam niełaska królowej, gorsza od śmierci.

— Ha! daję ci słowo honoru!—rzekł w końcu—tylko śpiesz się, bo dzwonią do stołu.

Dał tedy rękę, złożył szpadę i tupet, rozebrał się, siadł na gnieździe i okrył się kołdrą.

Posadziwszy Francuza, szepnął coś Winnicki pachotkowi do ucha, przebrał się i uderzając błazeńską buławą Francuza po plecach, rzekł doń z powagą uroczyscie:

— Jak wtóry Karol Wielki, pasując na rycerza i daję za herb kurze jaja.

— A, bałamucie niegodziwy! a gdzieżeś się zadział?—zawołał król Jan ujrawszy Winnickiego, a była to prawie pora, kiedy król zasiadał do stołu.

Jak mógł wyłgał się Winnicki i bawił króla jak nigdy. Król kazał sobie nalać wina; śmiał się, jadł dobrze i był dobrej myśli, a Winnicki nadskakiwał Francuzom i pochlebiał królowej.

— *Ce fou est bien aimable, quand le vont rarement!*—rzekła królowa łaskawie.

— *Le dessert fini le repas!*—powiedział Winnicki wpół głośno. Po stole pytał go król:

— Przyznaj się teraz, gdzieś siedział tyle czasu? bo żeś nie podupadł na zdrowiu, to już cię widzę, kiedy tak broisz!

— Siedziałem w oficynach willanowskich!—odrzekł Winnicki—gdzie z łaski Miłościwego Pana mam pomieszkanie.

— To nie sekret, żeś w oficynach siedział; ale i cóż tam jeden robił? Przychodzi mi się domyślać, żeś rekolekcyi nie odprawiał, kiedy nawet nasz ksiądz kapelan niemiał przystępu.

— Com robił? O! tego opowiedzieć niepodobna, a nawet nanie się nie przyda, bo nikt mnie nie uwierzy; ale niestworzone i po wszystkie czasy niewidziane rzeczy mam w swoim pokoju.

— Cóż takiego?—pytali wszyscy ciekawie.

— Nikt nie da wiary, kto na własne nie zobaczy oczy!—odrzekł Winnicki.

— Dajże mi czapkę!—rzekł król—wszakże Winnicki *wety* nam obiecał.

— I owszem, osobliwości, o jakich w tych królestwach niesłyszano. Królowa, która tego dnia chciała już we wszystkim królowi dogodzić, kazała przywołać fraucymer i cały dwór francuzki. Król kazał prosić panów polskich, którzy pod tę dobę na dworze bawili i wszyscy razem się zebrawszy, szli dużym dziedzińcem, ku oficynie na górkę. Największą cichość zalecał Winnicki. Na znak jego otworzył pacholek w największej cichości drzwi. Weszli wszyscy do pierwszej komnaty, kędy wchód do drugiej ujrzeni oponą zawieszony; na tej oponie była karta, a na niej wielkimi literami był napis: *Osobliwości niewidziane!*

— Król gościem u błazna!—zawołał Winnicki—a zdzierając oponę dodał: *I Francuz na kurzych jajach.*

Z wygoloną, jak kolano, głową, bez peruki, siedział zdętwiały od trwogi i wstydu Francuz, na gnieździe. Porwał się nagle i chciał w kołdrze uciekać, ale uciekać nie było kędy: w oknie krata, a w drzwiach królestwo! Tu dopiero parsknęli wszyscy od śmiechu, bo Francuz powstawszy, odkrył całe gniazdo.

— *Ce mechant fou!*—zawołała królowa udając gniew, a nie mogąc się wstrzymać od śmiechu uciekła, a za nią fraucymer panien. Ale król z panami polskimi nie mogli się nacieszyć, a naradować tak dziwnym konceptem. Francuz do komina uciekł.

— A gdzie słowo honoru?—wołał na niego Winnicki—wyłaż panie kawalerze z komina, bo zaziębisz mi gniazdo!

Król śmiał się serdecznie, panowie toż samo, ale Francuzów jak wymiótł. Winnicki opowiedział królowi cały proceder rzeczy i rzekł kończąc: „A że się udało w pole wywieść Tatara, o tém wié niejeden; ale że można Francuza na kurzych jajach osadzić, to widzieliście mościwi państwo dzisiaj, poraz pierwszy na własne oczy.

Cały dzień jeszcze śmiano się z Francuza, panowie rozpisali listy po całej Polsce o pociesznej sprawie, a nocą jeszcze opuścił dwór królewski ów Francuz skonfundowany i wielu innych. Królowa chciała się niby gniewać, ale nie wypadło. Król darował bogaty sygnet Winnickiemu, panowie obdarzyli go także sówicę za pocieszną krotchwilę, którą im wyprawił. Tegoż samego dnia wieczorem, już cała Warszawa gwarzyła radosna o przygodzie Francuza; powtarzano sobie ochotnie wszystkie szczegóły z upodobaniem, gdyż nie cierpiąc dworskich Francuzów, lubili i kochali Winnickiego, jako swojaka, dowcipniejszego od Paryżanów.

Krażyły téż podania liczne z XVIII wieku, z okresu panowania Sasów i Stanisława Augusta o Panu Kochanku Radziwille, o dzikim Mikołaju Potockim, staroście kaniowskim i o innych magnatach, jak powtarzano dowcipy i anegdoty ze *Czwartkowych uczonek obiadów* u króla na Zamku warszawskim, niezawsze przyzwoite, ani godne pa-mięci. Zacierała je powoli szlachetniejsza tradycja, gdy powstały

legiony polskie we Włoszech, gdy pułki Księstwa Warszawskiego walczyły w Hiszpanii. Krwawy dramat szturmów i zdobycia Saragossy, wszystkich umysły zajmował.

Te wszystkie podania, w żywém słowie, przechowane w Księstwie, długo jeszcze w czasach istnienia Królestwa Polskiego, były przedmiotem rozmów i zajęcia społeczności warszawskiej.

III.

Królestwo Polskie.—Zmniejszone granice.—Józef Zawadzki zamierza wydawać pismo naukowe w Warszawie.—Jego odezwa do miłośników literatury.—Warunki podane.—Pamiętnik Warszawski.—Pierwsi współzawodnicy i redaktor Feliks Bentkowski.—Fortece Serock i Modlin.—Antoni Górecki.—Kantorbery Tymowski.—Jego utwory poetyczne.—Rozwój Pamiętnika Warszawskiego i ważniejsze w nim prace.—Kazimierz Brodziński.—Historya Polska.—Józef Mroziński.—Oblężenie Saragossy.—Wawrzyniec Surowiecki.—Pierwsze objawy Romantyzmu.—Fryderyk Szopen.—Pierwszy utwór ośmioletniego kompozytora, polonez przypisany hrabiance Wiktorii Skarbek.—Adam Mickiewicz jako krytyk.—*Jagiellonida*, poemat bohaterski Dyzmy Bończy Tomaszewskiego.—
Odpowiedź Mickiewiczowi na jego krytykę *Jagiellonidy*.

Z końcem 1814 roku zamyka się okres dziejów Księstwa Warszawskiego, które z karty europejskiej wyznaczone zostało, a w jego miejsce powstaje z kongresu Wiedeńskiego (rozpoczęty 1-go listopada 1814 r. w Wiedniu) Królestwo Polskie, w szerszych jednak granicach. Prusy z Księstwa Warszawskiego zabierają 538 mil kwadratowych, odcinając zeń departament Poznański o 327 a Bydgoski o 211 milach kwadratowych, wytwarzając z tego zaboru Wielkie księstwo Poznańskie.

Po wieloletnich krwawych walkach i ciężkich zapasach, zawitał wreszcie pożądany pokój, a społeczność polska, oddychając nieco swobodniej, zaczęła rozmyślać o zaspokojeniu swoich potrzeb dochodowych.

Od r. 1810 nie było w języku polskim pisma peryodycznego poświęconego naukom, po upadku *Pamiętnika Warszawskiego* pod redakcją Ludwika Osipińskiego, mężowie czuwający nad dobrem kraju, i podniesieniu literatury ojczystej zapragnęli organu naukowego. Pozostało grono, chociaż szczupłe z doby *Wielkiego Sejmu*, szersze daleko koło z okresu Księstwa Warszawskiego, biorące udział przeważny w sprawie organizacji tej części dawniej Rzeczypospolitej. Wszyscy razem oddychali jedną myślą, wszystkich ogrzewało jedno gorące uczucie, gotowości do ofiary i poświęcenia swęj pracy dla ogólnego dobra.

W takim usposobieniu Józef Zawadzki typograf uniwersytetu Wileńskiego i księgarz Warszawski będąc latem 1814 r. w Warszawie, słyssał w ich poważnym gronie, ogólne życzenie, ażeby mogło powstać w Królestwie nowém, pismo peryodyczne naukowe. Zachęty były ze wszystkich stron, w szczególe zaś od Aleksandra hr. Chodkiewicza, który przyrzekł dostarczenie potrzebnych rękopismów. W skutek tego Zawadzki pod datą 5 września 1814 r. wydrukował odezwę: „Do miłośników krajowej literatury, w Warszawie przebywających.”

W niej na czele położwszy nacisk o potrzebie pisma peryodycznego w Warszawie, zażądał, ażeby jak wyraził: „z talentów i uczonej swęj pracy, na raz jeden raczyli zrobić ofiarę, i dać rękopismów *gratis*

stosownych dla pisma, każdy na dwa arkusze druku. Prace te mają być dostawione na dzień 1 listopada tegoż roku, prosząc zarazem, o rękopisma czysto i wyraźnie napisane."

W dalszym ciągu pozostawił do wyboru tytuł sam; odnowiony *Pamiętnik Warszawski*, albo *Pandora, pismo peryodyczne*, albo wreszcie *Miesięcznik Warszawski*.

Każdy z literatów aprobujący ten projekt, na jednym egzemplarzu raczy napisać: „Przyrzekam i na to się podpisuję.” Wydawca tym sposobem otrzymał bezpłatnie zasobu na kilkadziesiąt arkuszy druku, skromnie się wyrażając o honorarium literackiem.

Sam wziął na siebie koszta druku i papieru, i przyrzekł, że od 1 stycznia 1815 r. już pismo naukowe wychodzić zacznie w Warszawie, zeszytami miesięcznymi po pięć arkuszy druku. Roczna prenumerata oznaczoną została złp. 40, licząc XII zeszytów, a trzy tomy rocznie. I z tak wydrukowanym programem udał się do znanych pisarzy i do razu pozyskał przyrzeczenia rękopismów *gratis*, od Łotockiego hr. Stanisława senatora wojewody, dyrektora edukacji publicznej; Prażmowskiego Adama prałata katedry warszawskiej i członka dyrekcji edukacyjnej; Osińskiego Ludwika słynnego tłumacza Kornela, pisarza przy sądzie kassacyjnym; Niemcewicza J. Ursyna sekretarza senatu; Molskiego Marcina pułkownika, popularnego wierszopisarza; Chodkiewicza hr. Aleksandra pułkownika; Lipińskiego Józefa członka dyrekcji edukacyjnej; Kruszyńskiego Jana sekretarza generalnego w ministerstwie skarbu; Bandtkiego Jana Wincentego profesora w szkole prawa i notaryusza Księstwa Warszawskiego; Surowieckiego Wawrzyńca autora dzieł ważnych: *O upadku miast w Polsce* i *O rzekach i splawach*, w Księstwie Warszawskim; Szaniawskiego Józefa Kalasantego filozofa, i b. prokuratora królewskiego przy sądzie kassacyjnym; Szweykowskiego Wojciecha kanonika katedralnego płockiego, profesora wymowy w Liceum Warszawskim (późniejszego zanego rektora uniwersytetu Warszawskiego); Szaniawskiego Ksawerego kanonika katedralnego warszawskiego i profesora w szkole prawa; Woronicza Jana Pawła prałata katedry warszawskiej, rady stanu.

J. Zawadzki zebrał dorazu czterestu, którzy przyrzekli mu swą pomoc. W ich ślady idąc powiększył to grono orszak młodszej generacji w liczbie siedmnastu: tak, że wydawca miał zapewnione poparcie od trzydziestu jeden osób.

Pomiędzy temi, którzy w drugim rządzie stanęli, byli: Górecki Antoni, Brodziński Kazimierz, Kantorbery Tymowski, poeci, a historycy Joachim Lelewel i Majewski Walenty Skorochód notaryusz Księstwa. Nie odmówił też swęj pomocy Stanisław Węgrzecki zasłużony pisarz z czasów Księstwa Warszawskiego i prezydent miasta Warszawy późniejszy, kilkakrotnie wybierany na tę godność.

Zawadzki mając już zapewnione grono poważnych pracowników zaczął się troszczyć o wybór redaktora głównego, któryby tém wydawnictwem kierował. Szczęśliwie zwrócił uwagę na Feliksa Bentkow-

skiego, profesora Liceum Warszawskiego i autora przed rokiem wydanego wielce szanownego dzieła p. n. *Historja literatury polskiej w spisie dzieł drukowanych wystawiona*, w dwu dużych tomach. (Warszawa 1814 r.).

Bentkowski przyjął chętnie obowiązki redaktora, którym mógł godnie odpowiedzieć. Nakładca ofiarował mu rocznie za pracę redakcyjną, przeglądanie rękopismów, ich poprawę i dobór, oraz korekty, rocznie dukatów sto, z warunkiem nadto, że się postara o rękopisma *gratisowe* dla zapełnienia XII zeszytów.

Przyjął i ten ostatni, chociaż najtwardszy warunek Bentkowski, licząc na gotową ofiarność literatów polskich, z których żaden wówczas nie zamarzył nawet, ażeby z pióra swego mógł jakikolwiek zarobek osiągnąć. Znał on dobrze swą społeczność, i w zaufaniu swém zawodu nie znalazł.

Zaledwie ogłosił prospekt na *Pamiętnik Warszawski*, stanęli przy jego boku do pomocy: Kazimierz Brodziński, Antoni Górecki, Kantorbery Tymowski. Pierwszy, profesor języka polskiego i literatury w szkołach księży Pijarów, dał się poznać z poetycznego talentu i wykładów swoich. Górecki Litwin, zaciągnąwszy się do armii Księstwa Warszawskiego, z nudów zaczął pisać poezye. Kiedy Napoleon I-szy utworzył Księstwo Warszawskie, wyszukiwał pozycyi strategicznych dla wzniesienia silnej fortecy, któraby mogła dlań stanowić zabezpieczoną miejscowość na skład amunicyi, żywności, przyborów wojskowych, a niepotrzebowała licznej załogi: Serock, przy ujściu Buga do Narwi, ze wzgórzami swemi, wybranym przez niego najprzód został na taką fortecę; wydał też rozkazy, ażeby roboty ziemne bezwzględnie rozpocząć.

Stało się woli jego zadosyć: ale gdy wkrótce ujrzał pozycye Modlina pod Zakroczymiem, przy ujściu Narwi do Wisły, polecił zarzucić Serock, a całe siły tu zwrócić, aby co rychlej Modlin został ufortyfikowany. Do robót ziemnych, kopania fos, a sypania wałów, przeznaczoną została kompania piechoty, w której był porucznikiem Górecki.

Mając dozór nad swoimi grenadyerami, ażeby robota szła zwa-wo, całą wiosnę i lato, aż do mrozów i śniegu, spełniał te obowiązki. Nudniejszego życia nigdy nie miał, szczególnie w gorące lato: to też gdy mógł dopaść cienistego chłodu, z roskoszą w nim zasiadał, brał ołówki i na kartkach pugilaresu zaczął pisać wierszyki pod chwilą natchnienia. Były to bajeczki, pełne myśli nowych jak i zwrotów, albo też wiersze liryczne lub wywołane okolicznością. Każdy z tych pierwiastków odznaczał się prześlicznym językiem i wykwintną formą artystyczną. Koledzy nieraz schwytawszy na gorącym uczynku z ołówkiem w rękę Góreckiego, zmusili go że im odczytywał co napisał, a radość i uniesienie ich nie miało granic.

Ze wzgórz piaszczystych Modlina, wprędce sława młodego oficera, a znakomitego poety doleciała do Warszawy; nie dziw więc, że Bentkowski postarał się o pomoc dla *Pamiętnika*, już wówczas kapi-

tana Góreckiego, i w drugim zeszytcie I tomu *Pamiętnika Warszawskiego*, pierwszą bajkę jego wydrukował p. n. *Miejska Wrona*.

Raz miejska wrona wpadłszy między wiejskie ptaki,
By dać poznać słuchaczom, godności jest jakiej,
Poczęła rozpowiadać, jak ona w Warszawie,
Po wszystkich pierwszych domach codzien lata prawie;
Jak po Saskim ogrodzie przechadzki używa,
Jak często pod zamkowym dachem przesiadywa:
Jak nieraz w Willanowie.... Wtém kruk co tam siedział,
Znudzony jój rozmową, tak do niój powiedział:
„Przestań! jakżeś z pochwały swemi naprzykrzona!
Cóż ztąd że wszędzie bywasz? kiedyś zawsze wrona!

Górecki lubił czasem docinki: tak gdy raz podporucznik młody robił mu uwagi, nad sypanemi wałami przez jego grenadyerów, a on widział w tych zarzutach dzieciństwo, zaimprovizował zaraz bajeczkę:

„Co ty mnie gniesz daremnie!
Nie będzie tak kurczę ze mnie;”
Wołało jajko pod kurą,
A ta mu rzekła ponuro:
„Milez! jeszcze tego nie było,
By jajko kurę uczyło!”

Młody podporucznik, jakkolwiek otrzymał gorzką nauczkę, roześmiał się wesoło z bajeczki, a jój autora serdecznie uściskał.

Kantorbery Tymowski, również żołnierz z armii Księstwa Warszawskiego, bił się w Hiszpanii, a po odbyciu kampanii 1812 r. do Moskwy, za powrotem do kraju, mianowany referendarzem stanu, stale zamieszkał w Warszawie. Lubo pisał poezycie niepośledniej wartości i tłómaczył ody Horacego, ale nic nie drukował i dopiero poraz pierwszy w *Pamiętniku* Bentkowskiego wystąpił z przepysznym wierszem p. n.: *Dumania żołnierza polskiego w starożytnym zamku Maurów nad Tagiem*; napisane w r. 1810, które wywołało powszechny zapamiętanie i oklask.

Stanisław hr. Potocki, mając wiele prac przygotowanych, wspierał dzielnie usiłowania Bentkowskiego: liczył on też na pomoc innych uczonych, zasiadających w gronie Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, oczekując z upragnieniem otwarcia już zapowiadanego uniwersytetu Warszawskiego, spodziewając się, że po jego zorganizowaniu i obsadzeniu katedr, nowe siły *Pamiętnikowi* przybędą. Te nadzieje sprawdziły się rzeczywiście.

Bentkowski napisał *Przedmowę* do *Pamiętnika* i położył na niój datę 23 grudnia 1814 r., a zeszyt pierwszy ukazał się już 1 stycznia 1815 r. Pismo więc to z ostatniém tchnieniem słabego Księstwa Warszawskiego, a pierwszym oddechem Królestwa kongresowego powstało i rozpoczęło swe życie.

Pierwszy zeszyt dobrze się przedstawiał czytelnikom i zwolennikom literatury ojczyściej, tak doborem artykułów jak i ich opracowaniem. Na czele redaktor położył rozprawę p. n. *Z filozofii: O przyczynach wielu uprzedzeń i sarkau przeciwko prawuictwu*. Drugim artykułem była: *Wiadomość historyczna o życiu s. p. księcia Józefa Poniatowskiego, naczelnego wodza wojska polskiego, ministra wojny Księstwa Warszawskiego, marszałka państwa Francuzkiego, przez Józefa Lipińskiego*.

Wiadomość ta, o życiu ulubionego bohatera, którego zwłoki Warszawa rok przedtém gorącemi łzami oblała, żywe obudziła zajęcie; wrywano sobie z ręki do ręki ten zeszyt *Pamiętnika*, tém bardziej, że w nim, obok tego, znajdowano owo *Dumanie* K. Tymowskiego, które przepisywano na gwałt i uczono się na pamięć.

Przypomnijmy chociaż początek tego wiersza, jędrnym językiem skreślonego.

„Umilkły bębny, gasną tlejące ogniska,
Księżyc z srebrnego wozu blady promień ciska;
Drżą w bystrych nurtach Tagu niebotyczne bramy
Zamku, gdzie panowały kiedyś *Abderamy* ¹⁾.
Wiatr uparte bałwany roztrąca o wieże,
Których spiż polskiej broni, a odwaga strzeże.
Stokroć odgłos: „Kto idzie?” wiekami nieznany,
Objia się o czarne sklepienia i ściany.
Bezpieczni tarczą hasła: *zginę lub zwyciężę!*
Oparci na żeluzie spoczywają męże;
Noc, spokojność rozlewa na całą naturę,
Mnie tylko sen przerywa wspomnienie ponure!”

Bo przyszła mu na myśl ojczysta ziemia, od której tak daleko się oddalił i musi walczyć przeciw swobodzie hiszpańskiego ludu. Wspomina walecznych towarzyszków broni, którzy w krawych walkach tu zginęli. Wspomina obok walecznego pułkownika Sobolewskiego, prostego żołnierza Suryna; obaj polegli, pokazawszy nadzwyczajne męztwo. Nie zapomina o zdobyciu sławnych wąwazów Somo-Sierra, przez szwoleżerów polskich, pod dowództwem Kozieltulskiego.

Zakończy *Dumanie* wyrażeniem gorącego pragnienia swego w klasycznej formie:

„Marsie! coś z walki w walkę wiodąc krok mój śmiały,
W utrudach dla ojczyzny, szukać kazał chwały
I stawił w rotach mężów na Ibru podbicie,
Nie oszczędzaj krwi mojej, lecz ochraniaj życie!...
Pozwól jeszcze widoku ulubionych brzegów,
Szczęściem mojem śmierć będzie, wśród bratnich szeregów!”

1) Nazwisko kilku kalifów, którzy panowali w Hiszpanii.

Głowę moję na roli ojczystej położę,
A dłoń Wandy zaszczepli na mym grobie różę!"

Wcześci poeta-żołnierz doczekał się spełnienia swych życzeń; wrócił do kraju, ale w 21 lat później, opuściwszy go, na obcej ziemi, 1854 r., w Bordeaux znalazł mogiłę dla swoich kości strudzonych.

Tymowski niezawsze swą lutnię nastrojał na taki ton poważny i rzewny, nieraz lubiał przygrywki i humorystyczne, jak np. w tej *Odzie do brzucha*, którą czytamy w III tomie *Pamiętnika*.

„Sprężyno życia, wielowładny brzuchu,
Co ziemię całą utrzymujesz w ruchu;
Także, któremu hołdują i trony:

Brzmią moje stróny.

Skroń się odchmurza Olimpijskiego pana,
Gdy piękna Hebe, ugiąwszy kolana,
Boską prawicą leje ci nektary

Z Wulkana czary!

W obliczu twojem równemi są ludzie:
Ubogi wieśniak w pochylonój budzie,
Mocarz, przed którym sto narodów klęka,
Ciebie się lęka!

Na twe rozkazy uniża się pycha,
Tyś jednym z celów dobrego jest mnicha;
Nieraz on wspomni, nawet przy ołtarzu
O refektarzu.

Ojczy przemysłu! ojczy twórczój pracy!
Daremnie z tobą walczyć chcą próżniacy;
Leniwa ręka, skoro głód dokuczy
Robić się uczy.

Kiedy poecie żołądek się zcieśni,
Stygnie w nim zapał, przerywa swe pieśni
I z uniesieniem za kawał pieczeni
Dramę zamieni.

Ciąglém o tobie staraniem zajęty,
Poci się rolnik, pracuje z bydłętą;
Tobie wybite silnym cepem ziarna,
Trą ostre żarna.

Z twego natchnienia młoty iskry sypią,
Chrupią nożyce i podeszwy skrzypią;
Warczy kołowrót, sprzeczne śruby piszczą
I heble świszczą.

Wiatrak się kręci, prędkie szumią młyny,
Wrą kotły, płoną rozległe kominy;
Gorcją piece, kołacz się rumieni,
Garnek szepłeni.

Wśród zgiełku miasta i w ustroniu wioski,
Kiedy ty łakniesz, głuche rządzą troski;
Gdyś syt: swoboda i wesolość pusta

Otwiera usta.

Tobiem poświęcił język mój i zęby,
Służyć ci mojej rozkoszy jest gęby;
Miło jój, czyli parzy się, czy dmucha,
Byle dla brzucha!"

Syn poważnego kupca warszawskiego, mieszkającego w Bramie Krakowskiej, w tych czasach, Józef Dyonizy Minasowicz, studyjąc naukę prawa w uniwersytetach niemieckich, pierwszy zapoznał nas z utworami poetycznymi Szyllera i przez to rozszerzył sferę naszej wiedzy, że nietylko w literaturze francuzkiej znajdują się piękności, są one może wyższe i w innych. Po nim Kazimierz Brodziński zabrał się także do przekładów Szyllera. Minasowicz w r. 1816 dał się poznać świetnie z talentu, następnym wierszem oryginalnym p. n.: *Człowiek*, który wszystkich znawców zwrócił wówczas uwagę,

„Nieścisły czas sprężyny ujarzmiac słabemi,
W krótkich znakach, na martwym głos kreślić papierze;
Drogi blask koron z łona twardej krzesać ziemi,
Na piędzi płótna, życie naturze dać świeże:
Ziejące śmiercią w spiżu zawrzec błyskawice,
Dźwięk wabiący, w uczonym znaleźć strun przycisku!
Postrach ludzkiej natury, srogie kiełznać lwice,
Żar słoneczny w krągłego szkła więzić ognisku.
Cienką rozbrajać igłą niebios zgubne groty,
Krążyć w z nikomiej kuli, pod niebem dalekiem;
Dzikie korzyć bałwany, liczyć gwiazd obroty:
Jestto być cząstką Twórcy, jestto być człowiekiem!

Ale zdradzać niewinność zjadliwą słodyczą,
Deptać ubogą cnotę, zbrodnię wieńczyć mozną;
Tracić żonę i dzieci na kartę zwodniczą,
Palić stosy niewinnych z wściekłością pobożną,
Zmysły topić i rozum w powolnej truciznie,
Mrzeć głód na worach złota, które zbytki strwonią;
Dla podłych zysków, własnej być wrogiem ojczyźnie,
Rwać krótki życia wątek świętokradzką dłonią!
Wdzierać się w dzieje świata, przez mordy, pożogi,
Zabijać się o fryny, co twe łoże splamią,
W niedołącznych szemraniach wieczne sądzić bogi,
Lub bełkotać przysięgi, co na ustach klamią!
Grzeszyć z młodemi laty, gnuśnić z późnym wiekiem:
Oto są dzieła twoje, co się zwiesz człowiekiem!
Ty! coś zwalczył żywioły, zmierzyłeś świat cały,
Gdy tak wielkim być możesz! czemuż tak mały?"

Wiersz ten czytano z zajęciem, uczono się go na pamięć, tysiące rąk go przepisywało. Był on zapowiedzią wzorowego tłumacza „Precyzozy” dramatu muzycznego, który zachwycił naszą publiczność ze sceny teatru narodowego; pierwszy raz bowiem, po większych przekładach tragedyi Kornela, obił się o uszy słuchaczy wiersz poety, mistrzowską mową ojczyzną oddany, w którym jędrność języka XVI wieku umiał z powabem i melodyą wymaganą później powabnie połączyć.

Resztę tego zeszytu pierwszego *Pamiętnika Warszawskiego* wypełniły prawie same tłumaczenia, jak: z dzieła pani Stáel-Holstein, wprawdzie głośnego w owe czasy, ustęp: *O obyczajach i charakterze Niemców*; z poematu Jakóba Delilla, w modzie będącego poety: *O imaginacyi*, pieśń piątą, w przekładzie Tadeusza Matuszewicza. Recenzya dzieła J. W. Bandtkego: *O potrzebie nauki prawa*; Aleksandra hr. Chodkiewicza z chemii: *O nowój istocie, odkrytój w roślinie zwanój wareck*, a wiadomo, że dostojny autor z zapałem oddawał się chemii i téj nauce, nietylko najpiękniejsze lata poświęcał, ale i część znaczną majątku: terminologii zaś, w téj nauce, oddał znakomite usługi. Zamyka ten zeszyt powiastka, na dwóch kartach, pod napisem: *Spis Przyjaciół*.

Rzecz godna uwagi, że powieść w *Pamiętniku* żadnej roli nie gra. W ciągu lat 7, istnienia tego pisma, znajdujemy 10 powiastek króciutkich, więcej mających na celu myśl moralną i zdrową, niż dramat, lub romans, a żadna z nich nie przeciąga się na dwa zeszyty, bo obejmuje od 2 do 8 lub 12 karetek.

Pamiętnik Warszawski dobrze się zaleciwszy szczerpłemu kółku czytelników polskich książek, rozwijał się dosyć szczęśliwie; współpracowników ciągle przybywało: na stałego współredaktora Bentkowski przyzwał Kazimierza Brodzińskiego, który najpiękniejsze utwory poetyczne w nim umieszczał. Tu poraz pierwszy ukazała się jego sielanka krakowska: *Wiesław*, oraz doborowe przekłady z Szyllera; później dopiero drukował w *Pamiętniku* głośne swoje rozprawy estetyczne: *O klasyczności i romantyczności*, jakby zapowiedź, zbliżającego się króla poetów polskich, Adama Mickiewicza.

Dział poezyi poczesne zajmuje w tym organie miejsce i warto zapisać więcej oryginalnych utworów, niż przekładów.

W rzędzie popierających ten dział w *Pamiętniku Warszawskim*, stoi na wydatniejszym miejscu J. Dyonizy Minasowicz. Woronicz pojawia się poraz pierwszy, jako wzniosły narodowy wieszcz, dając ułomek z poematu swego: *Sejm Wislicki*, albowiem głośny poemat *Sy-billa* w cztery lata dopiero, przyjaciel mu wykradł z teki i wydrukował oddzielnie.

Wstępuje tu Bruno hr. Kiciński z wyjątkami z *Przemian Owi-dyusza*; Fryderyk hr. Skarbek, który wkrótce, z podziwieniem wielu z arystokracji, objął katedrę ekonomii politycznej w uniwersytecie Warszawskim, a teść jego dumny szlachcic, namawiał z tego powodu córkę, ażeby się z nim rozwiodła, gdyż podług jego wyobrażenia, zhańbił

herb swój szlachecki i mitrę hrabiowską, robiąc się *bakalarzem*. Córka, rozsądna niewiasta, głuchą była na te namowy ojcowe. Skarbek, powtarzamy, dał tu satyrę wierszem p. n.: *Konkurent*. Koźmian, Rajmund Korsak, Józef Lipiński (tłumacz Tassa *Jerozolimy Wyzwolonéj*), Jan Gorczyzewski, Franciszek Morawski, Ludwik Kropiński, Jan hr. Mieroszewski, Władysław hr. Ostrowski, słowem, wszyscy głośniejsi poeci tamtego okresu, zasilali *Pamiętnik*: już oryginalnemi pracami, już tłumaczeniami. *Walter-Skotta* przekładał K. Brodziński, *Odyssę* Homera Fr. Dmochowski (tłumacz *Iliady*), *Ossyana* Władysław hr. Ostrowski i K. Brodziński. Walenty Skorochód Majewski zapoznał nas z „Rękopismem krółodworskim,” dając prozą przekłady z niego, starożytnych pieśni czeskich: *Zaboj*, *Stawoj* i *Ludiek* (tom XVII), które później, w lat trzydzieści zgórą, po mistrzowsku przełożył wierszem Lucyan Siemieński.

Jakkolwiek Ludwik Kamiński dawał tłumaczenia z angielskiego, przez cały ciąg istnienia *Pamiętnika*, nie znajdujemy, tylko jeden przekład wiersza z Byrona: *Rozstanie się z żoną*, chociaż już używał poeta Albionu wielkiej sławy w Europie. Znać pod tę dobę niemiał jeszcze wielbicieli w gronie naszych poetów, kiedy niedotknięto większych jego poematów, gdy tłumaczono Ossyana i Walter-Skotta. Dodajmy do tego, że raz przytoczono jedynie (w t. XIX *Pam. Warsz.*) zdanie Francuzów o Lordzie Byronie i jego poezjach, bo nikt się w kraju nie znalazł, któryby umiał samodzielnie ocenić wielkiego poety angielskiego.

Historja Polska najświetniej się przedstawia w *Pamiętniku Warszawskim*. Bogate materiały dostarczał, z biblioteki zasobnej Willanowskiej, jój bibliotekarz Hipolit Kownacki i pierwszy opracował obszerną monografię: *Dzieje w Księstwie Mazowieckim*, które się ciągnęły w 4 zeszytach *Pamiętnika*, a w dwóch tomach XVI i XVII. Tomasz Święcki, który już miał przygotowany *Opis Starożytnéj Polski*, w rok później wydany; dał do tomu I *Pamiętnika*: *Opis Podlasia*. Książd Ks. Szaniawski drukował zajmujący ustęp, z księgi oryginalnej wzięty, a pisanéj w Babinie z biblioteki puławskiej: *O Rzeczypospolitéj Babińskiej*, który odczytywano z równém zajęciem, jak *Dzieje Mazowsza* H. Kownackiego. Joachim Lelewel wsparł *Pamiętnik*: *Dziejami panowania Stanisława Augusta* i rozbiorami dzieł historycznych.

Ze wszystkich jednakże prac, w tym dziale pomieszczonych, najwięcej ogół zajęło: *Obleżenie i obrona Saragossy 1808 i 1809 r. podług dzieł pp. Rogniarda i Cavalleros, ze względuem szczególnym na czynności korpusu polskiego*, przez Józefa Mrozińskiego, pułkownika. Przypomnieć tu muszę zajmujący szczegół. Mroziński, urodzony w Galicyi i wychowany w szkołach austryackich, nie posiadał dobrze ojczyztego języka. Od r. 1807 wszedłszy do armii Księstwa Warszawskiego, w przemarszach po Europie niemiał czasu i sposobności wyuczyć się go lepij. Gdy przyniósł pracę swoję Bentkowskiemu, ten, po odczytaniu, zwrócił autorowi rękopism, dla niegodziwego języ-

ka, a chwając przedmiot, poradził mu, ażeby popracował nad ojczyzną mową i napisaną po polsku tę monografię przyniósł, a on, jako rzecz dobrą i zajmującą, chętnie wydrukuje.

Mroziński usłuchał dobrej rady: zaczął się uczyć pilnie, poprawił pracę tamtę i po trzech latach mozolnych studiów, ogłosił drukiem: *Pierwsze zasady gramatyki języka polskiego* (Warszawa, 1822 r.). Dzieło to postawiło go w rzędzie pierwszych gramatyków polskich. Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk mianowało autora członkiem swoim. Krytyka ówczesnie błędnie osądziła głębokie pomysły Mrozińskiego, który w dziełku: *Odpowiedź na recenzję* (1824 r.) wiele ważnych pytań, należących do filozofii gramatyki polskiej, rozstrzygnął, a krytykom zarazem dał tak stanowczą odprawę, że więcej głosu podnieść nie śmieli. Odtąd poczęto układać gramatykę języka polskiego na zasadach Mrozińskiego. Gdy Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk wyznaczyło z grona swego deputacyą, dla ustalenia pisowni polskiej, Mroziński z całą usilnością w niej pracował. Pomnikiem prac deputacyi zostało dzieło p. u.: *Rozprawy i wnioski ortografii polskiej* (Warszawa, 1830 r.), w którym są zamieszczone i jego rozprawy.

Mroziński poprawiwszy *Obleżenie Saragossy*, przepisał na czysto, które bezwzględnie w tomie VIII Bentkowski wydrukował (1819 r.).

Zaledwie zeszyt się ukazał, w którym był początek tego obleżenia, cała inteligencya miejska niesłychanie się tém zajęła.

— Czytałeś obleżenie Saragossy? czytajże, to się zachwycisz!

Takie głosy brzmiały po mieście przez kilka miesięcy, dopóki druk się tej monografii nie ukończył i później jeszcze dobijano się o te zeszyty.

Rzeczywiście, opis jest malowniczy, a nieraz porywający. Poprzestaną tu na jednym tylko ustępie, gdy po krwawych walkach i szturmach postanowiono wziąć na przebój ulicę Cosso, w środku Saragossy będącą. Owoż, jak tę walkę opisuje Mroziński.

„Nakoniec pułk pierwszy polski i batalion 70, czyli raczej ich oddziały dostały się na Cosso, ulicę bardzo szeroką, ogromnemi domami zabudowaną, do której ulice od bramy Engracia i od mostu prostopadle wychodzą. Wszystkie wychody na Cosso, miały przerwy i tamy, w większej części działami uzbrojone. Baterya, wysypana w środku Cosso, miała kierunek przeciw ulicy Engracia, którą kolumna zwycięzka nadciągała. Na wychód tej ulicy patrzali Hiszpanie z kilkuset okien obszernego Cosso, z bronią na przykładzie. Polacy rzucili się na baterya i odegnali od niej nieprzyjaciela, lecz Hiszpanie ze wszystkich stron niszczyli garstkę tych mężnych. Ranni kapitanowie: Godlewski, Egersdorf; porucznicy: Borowski, Chajęcki, Narwoy; podporucznik: Borakowski Fabian.

Pułkownik Henriot z pułkiem 16, który za 1-szym polskim, już zajęta (oprócz wieży ś. Franciszka) ulicą Santa Engracia, postępował, pokazał się wtenczas w kolumnie w całej sile na ulicy Cosso.

Zjawienie się tój masy, zdawało zatrzącać nieco obrońców. Kiedy wtém wyszedł naprzeciw nich ksiądz z krzyżem w ręku, wznoszonym ku niebu i wśród głośno wymawianej modlitwy, prowadzący przy sobie panienkę, ledwo 12 lat mającą, ubraną podług wizerunku *Virgen del Pilar*. Wśród ognia i mordów, widok ten dziecka i kapłana modlącego się, zajął wszystkich; cichość wstąpiła na chwilę. Żołnierze z zdziwieniem poglądali na to zjawisko, lecz nakoniec zniecierpliwieni dali ognia do kapłana; ten spokojnie i bez szwanku ustąpił z Cosso, a wtym momencie ze wszystkich dachów, okien i piwnic grad kul sypnął się wśród okropnego ognia i nowy ten atak bezskutecznym uczynił.

Pułkownik Chłopicki zebrał jednak jeszcze ludzi pierwszego pułku i koniecznie z niemi na drugą stronę ulicy Cosso przejść postanowił. Jakoż, lubo nieliczny już wtenczas był ten oddział, przeszedł jednak nakoniec, tę tak trudną do przebycia ulicę, opanował uliczkę Arco de Cineja, przeciwległą ulicy Engracia, zdobył kilka w niej domów; lecz, będąc rannym, zaledwie z tój uliczki przez żołnierzy wyniesionym został, a pułkownik Fondzielski z trudnością uprowadził resztę oddziału."

Scen podobnie zajmujących, nie braknie w opisie Mrozińskiego, a tak żywe opowiadanie musiało zachwycać współczesnych, gdzie, wśród walczących znajdowali imiona swoich ojców, synów, mężów, braci i krewnych, którzy brali przeważny udział w tój *walce na noże*, jak się wyraził dewódzca Saragossy.

Obfitość historycznego materiału, z jakim poraz pierwszy zapoznaliśmy się z *Pamiętnika Warszawskiego*, nadawała mu znaczenie i powagę, a dla młodych badaczy dziejów, otwierała się bogata skarbnica wiedzy. Nietylko z biblioteki Willanowskiej i Puławskiej nowe zdobywaliśmy wiadomości, ale znajdowaliśmy i z dalekich archiwów wydobyte, jak: *List Jana Długosza do Zbigniewa Oleśnickiego*, zaświadczenie z r. 1469, iż Mikołaj Kopernik, obywatel toruński z żoną i dziećmi swojemi przyjęci do uczestnictwa dobrodziejstw duchownych, od prowincyi polskiej zakonu kaznodziejskiego, Kazimierza Jagiellończyka układ w przyjęciu ludzi, w dyalekcie czesko-polskim; wyciągi zajmujące, z rękopismów księdza Stanisława Górskiego i wiele innych.

Adam Czarnocki, pod pseudonimem Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, w *Cwiczeniach Naukowych* wystąpił z rozprawą pełną młodzieńczego zapału, p. n.: *O Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej*, która wywołała piorunujące wrażenie na młode umysły i stała się powodem, że zaraz znaleźli się ochotnicy do zbierania podań, pieśni i obrzędów ludowych. Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk pobudziło nawet do ogłoszenia konkursu do badań etnograficznych. Praca ta, prozą napisana, czytała się jak poemat: wrywano ją sobie. Dobry znawca w tym przedmiocie Wawrzyniec Surowiecki, pomieścił zdanie swoje o niej, wykazując gruntownie i ze znajomością rzeczy, dodatnie i ujemne strony tój rozprawy. Jeżeli surowym, a sprawie-

dliwym poglądem ostudził zbyteczny, młodzieńczy zapał, nie zniechęcał przecież do badań w tym kierunku i utwierdził raczej gotowych ochotników do wędrówki po kraju.

To bogactwo historycznego materiału nadało i nadaje wysoką wartość zbiorowi tego organu w XXI tomach; ztąd i dziś, pomimo przeszło półwiekowego przedziału czasu, pożądanym jest *Pamiętnik Warszawski* dla każdej staranniejszej biblioteki prywatnej.

W pośród klasycznego spokoju i ślepego naśladownictwa francuzczyzny, która, z powodu bliższych stosunków, trzymała przewagę w wychowaniu domowém i w literaturze; w samym *Pamiętniku* dostrzegamy już objawy romantyzmu, lubo nie pod tym tytułem.

Pieśni Ossyana, nie dziwimy się, że znalazły w ogóle przyjęcie, gdyż wiadano, że utwory kaledońskiego barda są ulubione przez Napoleona. Ale ukazały się przekłady Szyllera: *Fieśni litewskie, serbskie, czeskie* z „Rękopisu krółodworskiego;” ukazał się nawet jeden sonet W. Reklewskiego, rzecz niestychana w literaturze naszej, od czasów Sępa Szarzyńskiego. Romantyczne dramata Grillparzera, Szyllera, poemata Walter-Skotta, jak: poemat „Ostatniego barda w VI pieśniach. Największy tu udział, w tych nowościach, bierze Kazimierz Brodziński, który je tłómaczy, a Bentkowski drukuje.

W *Pamiętniku Warszawskim* pojawiają się dwa imiona, zwłaszcza największych geniuszów polskich w muzyce i poezyi: Fryderyka Szopena i Adama Mickiewicza. O pierwszym wyczytujemy w r. 1818 (tom X), następną wiadomość. „Lubo kompozytorów muzyki nie liczymy do pisarzy literackich (niemniej jednak są i ci autorami), przemilczéć jednakże przed publicznością niemożemy, kompozycyi następującej, przez przyjacielskie ręce szychem upowszechnionój: *Polonoise pour Piano-forte, dedie a son Excellence M^{le}. la Comtesse Victoire Skarbek par Fréderic Chopin age de 8 ans.* Kompozytor tego tańca polskiego, młodzieniec ośm dopiero lat skończonych mający, jest synem Mikołaja Chopin profesora języka i literatury francuzkiej w *Liccum Warszawskim*, prawdziwy geniusz muzyczny; nietylko bowiem z łatwością największą i smakiem nadzwyczajnym, wygrywa sztuki najtrudniejsze na fortepianie, ale nadto jest już kompozytorem kilku tańców i waryacyi, nad któremi znawcy muzyki dziwić się nieprzestają, a nadewszystko zważając na wiek dziecinny autora. Gdyby młodzieniec ten urodził się w Niemczech lub we Francyi, ściągnąłby już zapewne uwagę na siebie wszystkich społeczeństw; niechże wzmianka niniejsza służy za skazówkę, że i na naszej ziemi powstają geniusze, tylko że brak głośnych wiadomości ukrywa je przed publicznością.”

Uznanie Fryderyka Szopena za geniusz muzyczny, nie było czezą przechwałką, późniejsze lata uznały tego muzyka w całej Europie za prawdziwy geniusz.

Adam Mickiewicz występuje w *Pamiętniku Warszawskim*, nie jako poeta, ale jako krytyk. W r. 1818 w Berdyczewie wyszła z druku epopeja p. n. *Jagiellonida Dyzmasa Bończy Tomaszewskiego.* Wy-

jątki z niej autor na rok przedtém pomieścił w *Dzienniku Wileńskim*. Mickiewicz temu utworowi poświęca obszerny rozbiór.

„Nim bieglejszy krytyk (mówi na początku) dokładniej oceni piękności i wytknie uchybienia poematu o którym mowa, przedsięwziętym tymczasem, krótkie tak co do rzeczy, jako i co do stylu poczynić nad nim uwagi? Następnie podawszy pogląd swój na całość utworu, przechodzi szczegółowo każdą pieśń” (a jest ich XII).

Wspomina o piękniejszych ustępach jako też i o ujemnych. Z całą ścisłością klasycznego krytyka, nie przepomina usterków języka, jak i wierszy niegładkich, nieharmonijnych. W ogóle w tym przeglądzie wykazuje Mickiewicz niepospolitą znajomość starożytnych literatur, jak i późniejszych: włoskiej, angielskiej, francuskiej.

Tomaszewski urodził się w okresie Sasów, wychowany w szkołach Jezuickich, niemających zdolności, pracował w kancelaryi króla Stanisława Augusta, zkąd idąc za popędem wrodzonym przystąpił do konfederacyi Barskiej, i mianowany w jój wojsku rotmistrzem, raniony pod Landskroną dostał się do niewoli. Za wstawieniem się króla Stanisława Augusta z niej uwolniony, wrócił do poprzednich obowiązków przy jego boku. Otrzymane ze spadku po ojcu pieniądze, pożyczył Szczęsnemu Potockiemu, wziął od niego w dzierżawę wieś Popówkę i przeniósł się na stałe mieszkanie do Tulczyna. Stawszy się zażyłym ze Szczęsnym i dzieląc jego przekonania polityczne, chętnie przyjął powołanie na sekretarza konfederacyi Targowickiej. Jako autor już drukował swoje utwory w wieku ubiegłym, komedye gładkim wierszem (*Małżeństwo w rozwodzie*, w trzech aktach, 1781 r. *Pierwsza miłość*, w trzech aktach, 1805 r.). Na początku naszego stulecia w Krakowie wydał poemat: *Rolnictwo* (1802 r.), a w r. 1818 *Jagiellonidę czyli połączenie Litwy z Polską*. Poemat ten miał wielkie powodzenie. Drukowano go po dwakroć w Berdyczowie, oraz w Połocku. Drobniejsze jego prace wyszły w dwu tomach w Warszawie p. n. *Pisma wierszem i prozą*, 1822 r. Umarł na Ukrainie r. 1825.

D. B. Tomaszewski w przedmowie daje do zrozumienia, że utwór swój uważa za *poemat rycerski* i pisze dalej, nazywając Jagiellonidę: „za pierwszą na ziemi Polskiej urodzoną dziecinę, która ani z dzieł narodowych, jakiego wzoru, ani z pisarzy krajowych, żadnego nauczyciela nie miała.”

Słusznie więc Mickiewicz mu odpowiada w końcu swój krytyki: „autor, widocznie Jagiellonidę chciał uważać za *epopeę*; historycznych albowiem poematów w polskim języku, liczne mamy wzory, pod tym względem Jagiellonida, *pierwszą dzieciną* nazywaćby się nie powinna. Dalej czytamy: „W kolebce będąca (dziecina) słabemi się tylko tłómacząc wyrazami, nie jest zdolną rozwinąć swój myśli, i niemi zachwycić czytelników.”

„Chce więc autor (dodaje Mickiewicz) tym sposobem wymawiać niedokładność dzieła swojego, bardzo, jak się zdaje niestusznie: co do rzeczy albowiem i co do układu, można w niedostatku polskich, z równą

korzyścią zagranicznych wzorowych radzić się pisarzy. Co do języka, chyba go autor uważał za niewyrobiony i niezdolny do wydania górnych epopei myśli. Co iż tak nie jest, dowiodły nam, (że nie wspomnę wojny Chocimskiej, która pomimo swoich niedokładności, jest od Jagiellonidy wyższą), piękne tłumaczenia *Jerozolimy wyzwolonej*, *Iliady* i poezye Trembeckiego, do których gdyby się autor przybliżył, nadałby daleko wyższą wartość dziełu; dziś jednak jako pamiątka czynów narodu naszego, z przyjemnością od ziomków czytana będzie."

Zamknięcie w tych słowach krytyki Mickiewicza, daje nam miarę małej wartości Jagiellonidy, gdy wyżej nad nią stawia wojnę Chocimską, jeden z najstarszych utworów I. Krasieckiego, który jak wiadomo napisał na usilne żądanie króla Stanisława Augusta. Ten bowiem uważał za ubliżenie, że gdy francuzi cieszą się *Henryadą* Woltera, a nasza literatura nie podobnego niema, Krasiecki postuszny woli monarchy, przemógł własne natchnienie, i dał podobiznę *Henryady*, równie bładą i słabą.

Autor Jagiellonidy, pisarz kancelaryi królewskiej, konfederat Barski, w końcu Targowiczanin, wielbiony przez współczesnych jako znakomity poeta; dotknięty żywo krytyką Mickiewicza, chociaż już w latach sędziwych, mieszkając na Ukrainie porwał za pióro, ażeby recenzentowi swemu odpowiedzieć. Że jednak nie uważał za stosowne samemu występować, uprosił jednego z przyjaciół swoich, który zaraz w następnym tomie Pamiętnika Warszawskiego (tom XIV), złożył redaktorowi pomienionego pisma: „Odpowiedź na uwagi nad Jagiellonidą, umieszczoną w pierwszym numerze Pamiętnika Warszawskiego 1819 r.”

Z niej się dowiadujemy, że Tomaszewski używał takiej sławy pod owe czasy, że go zwano *Delilem polskim* i jego poemat dydaktyczny *Rolnictwo*, przetłóżony na język niemiecki, wydany został w Wiedniu 1802 r.

Bezimienny obrońca, stając po stronie autora Jagiellonidy, odpierając przywiedzione przez Mickiewicza prawidła, jakich się powinna trzymać epopeja i co ją stanowi: osłania się tarczą powagi Woltera, przywodząc we wstępie do *Henryady* wyrzeczone przez tegoż słowa: „Osobliwie téż w poezyi, krytycy i rozbieracze napełnili prawidłami całe tomy, nad kilku wierszami, które wyobraźnia poetów igrając z nimi, utworzyła. Są to tyrani, którzy chcieli ujarzmić prawami swemi naród wolny, charakteru jego nieznając. Dlatego téż częstokroć, mniemani ci prawodawcy pomieszali wszystko w tym narodzie, którym zarządzać usiłowali.”

Pomijamy dalszą obronę, co do szczegółów wypadków i postaci wprowadzonych do działania jak i słabych wierszy i ustępów wykazanych przez Mickiewicza, ale przywiedziemy jeszcze zakończenie tej odpowiedzi.

„Że wojna Chocimska Krasieckiego jest od Jagiellonidy wyższą, zapewne na to autor się, powodowany zawsze swą skromnością, zgodzi. Nie chciał on iść o spór z tym wielkim naszym poetą: napisał Jagiello-

nideń nie żeby zostać autorem, ani aby zazdrościć komu nabytój chwale, ale pisał w chwilach wolnych nachylonego wieku, dla swych przyjaciół i ziomek, którzy mieć ją potem wydaną pragnęli. Nie drukował jój w Wilnie ani w Warszawie, dla pędzszego się jój rozejścia, ale w ustronném ukraińskiem miasteczku. Doszło jednakże wprędce to dzieło do zbioru sławnych mężów akademii Wileńskiej, uznali go na posiedzeniu swoim dnia 15 października 1818 r., godnym swego przeznaczenia i oddawszy autorowi zasłużone pochwały, w liście pisanym do niego przez J.W. Malewskiego rektora, mianowali go tegoż uniwersytetu członkiem honorowym, odsyłając mu do jego domu dyploma. Drukował to dzieło własnym kosztem, nie zbierając za nie prenumeraty, i dla tego za zawód wyłudzonych częstokroć na wiarę autora składek, odpowiadać publiczności nie winien. Życzyłbym krajowi, żeby wszyscy literaci, podobnie życie swoje przepędzając, tak go kończyli. Łatwiej jest krytykować i ganić niż pisać: zbyt ostrą krytyką literatura krajowa się nie wzmoże. Komu los nie dał złota lub srebra, choćby się znał doskonale na ich cenie i próbie, ani sam nie będzie bogatym, ani drugich takimi nie uczyni. Potrzebna jest zapewne na dzieła wychodzące, na światło publiczne, uczona krytyka, byle była sprawiedliwą: tą smak się kształci; ona geniuszowi narodowemu, często wyższy polot nadaje, lecz choć mała szczypta *grzeźności* do niéj przymieszana, nietylko jój nie osłabi, ale ją przyjemniejszą i sposobniejszą do użytkowania z niéj uczyni."

Tak pan A. C. kończy swoje *odpowiedź*. Dyplom nadestany autorowi Jagiellonidy, nie podnosi bynajmniej wartości tego utworu; dostojni profesorowie uniwersytetu pragnęli poetę wynagrodzić za myśl i treść poematu, ale nie za jego wykonanie. Wiodło ich obywatelskie uczucie, a nie zachwyty z samego utworu. Zatrzymaliśmy dłużej uwagę czytelnika nad tym drobnym napozór sporem; ale wedle naszego zdania zajmującym, raz że występuje w nim po raz pierwszy i ostatni w Warszawie Mickiewicz, a powtóre, że daje nam sposobność bliższego poznania pojęć ówczesnych literackich. We trzy lata później Tomaszewski doczekał się wystąpienia Mickiewicza jako genialnego poety, i nim zakończył dni swoje, imię twórcy *Dziadów* i *Grażyny* zabrzmiało już sławą po całej Polsce.

IV.

Najcenniejsi współpracownicy *Pamiętnika Warszawskiego*.—K. Brodziński, Hipolit Kownacki, Stanisław Kostka hr. Potocki.—*Świstek* krytyczny.—Chłuszcząca satyra.—Niechęć i zemsta.—Śmierć St. hr. Potockiego.—Stan literatury polskiej.—Przemowa *Świstka* do szanownej publiczności.—Posiedzenia wielkiej kapituły orderu Niedźwiadka.—Odnowienie akademii Smorgońskiej.—Order smorgoński, jego rysunek i patent.—Traktat pokoju.—Upadek *Pamiętnika Warszawskiego*. Powstanie nowego, pod redakcją: K. Brodzińskiego, Fryd. hr. Skarbka i J. K. Skrodzkiego, trzech profesorów Uniwersytetu i członków Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk.

Do najcenniejszych współpracowników *Pamiętnika Warszawskiego*, policzyć należy Kazimierza Brodzińskiego, o którym już mówiliśmy, Stanisława hr. Potockiego, ministra wyznań religijnych i oświecenia i Hipolita Kownackiego b. szambelana króla Stanisława Augusta. Pierwszy wspierał dział estetyki i poezji; drugi literacki, satyryczno-krytyczny; ostatni dział historyczny już w opracowaniach monograficznych, już w wyborowych materyałach z nieznanymi rękopismów, a wielce zajmujących. Kownacki, będąc szambelanem, w młodym wieku z krajczycem koronnym Janem Potockim, zwiedził Grecyą i Egipt. Wykształcony naukowo, z zamiłowaniem oddawał się badaniu dziejów polskich; pomimo tego, na dworze króla należał do najwykwintniejszych elegantów zamkowych. Strojem gustownym i bogatym podnosił urodę swoją. Peruka jego najdelikatniejszym pudrem posypana, woniała pachnidłkami i najpiękniej ufryzowaną bywała. Śnieżnej białości mankiety i żaboty, słyngły na dworze; najcudniejszemi zawsze zlane pachnidłkami paryzkiemi, musiał je udzielać damom, które często zamek królewski odwiedzały, a w ich względach nie był ostatnim. Owych fraków aksamitnych, atlasowych, miał sto par przeszło, w ubiór bowiem wykwiłtny, całe mienie po rodzicach był włożył. Zdarzyło się, że w przeprawie promem na Wiśle, bryka jego z kuframi zatęnęła w rzece. Strata tak wielka zasmuciła Kownackiego, stracił dawną wesołość i humor. Odtąd, na *uczonych czwartkowych obiadach* u króla, za przykładem samego Stanisława Augusta, stał się celem żartów i dowcipów Naruszewicza i Węgierskiego. Już nigdy nie przyszedł do tak zamożnej garderoby. Był domownikiem, przyjacielem i sekretarzem księcia prymasa Poniatowskiego, brata królewskiego.

Kiedy, po wyjeździe króla z Warszawy, dwór się jego rozbiegł po szerokim świecie, Stanisław Potocki, ceniąc w Kownackim naukę i znajomość języków, wezwał go na bibliotekarza do zamożnego swego księgozbioru w Willanowie pod Warszawą. Od téj chwili zaczyna się okres prac jego literackich. Tłómaczył kroniki: Galla, Baszka, ustępy z Długosza, wiele z akt Górskiego umieścił w *Pamiętniku War-*

szawskim; w nim też pomieścił najciekawszy rękopism: o ścięciu na zamku krakowskim, z wyroku Jana Zamoyskiego, sławnego warchoła, w czasach Batorego, Samuela Zborowskiego. Krwawy ten dramat, przez naocznego świadka skreślony, żywo i chciwie chwytają ówczesna publiczność i z niezmiernym zajęciem odczytywała.

Wszystkie przekłady kronik drukował własnym nakładem, bo na tak poważne przedmioty, nakładcy wówczas znaleźć nie mógł. Wierzył w to, że w Długoszu są źródła pisarzy takich, co choć przyjęli wiarę chrześcijańską, w gruncie sami byli poganami. Brał więc z tego historyka ustępy, które zdawało się, że są pióra owych właśnie pisarzy, ale swego twierdzenia, krytycznie dowiedzieć nie potrafił. Wiele pozostawił rękopismów, wszystkie treści historycznej; są to przekłady najdawniejszych kronikarzy łacińskich, rozrzucone po różnych prywatnych księgozbiorach, a dowodzą żelaznej pracy Kownackiego. Umarł w sędziwych latach 1854 r., przeżywszy lat 90 wieku. Zwłoki jego pochowano na cmentarzu Willanowskim, bez żadnego nagrobka.

Starzec ten był najgorliwszym współpracownikiem *Pamiętnika*. Surowego materiału, z rękopismów wielkiej ceny, dostarczył niemało, i w dziale historii najszerze zajmuje miejsce.

Wielkie poparcie *Pamiętnikowi* dał przez swój udział, Stanisław Kostka hr. Potocki, mąż znakomity zasługami, położonemi dla kraju, za panowania Stanisława Augusta. W tych czasach pozyskał głośne imię, jako znakomity mówca na różnych sejmach, a głównie w czasie *czteroletniego* sejmu. Był jednym z twórców Towarzystwa Przyjaciół Nauk i po rozbiórce kraju oddał się wyłącznie pracom literackim. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego, mianowany senatorem, wojewodą 1807 r., w lat kilka został prezesem rady stanu i ministrem. Przy tych dostojeństwach najwyższych w kraju, powierzono Potockiemu wydział, który najwięcej kochał, gdyż mianowano go dyrektorem izby edukacyjnej i komendantem korpusu kadetów. Tu oddał najwięcej usługi, krzewiąc postępową oświatę i nauki. Wznowił Towarzystwo elementarne, założył z Łubieńskim Szkołę prawa, jako też Szkołę lekarską. Po ustanowieniu Królestwa 1815 r., mianowany ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego, usilnym staraniem przyspieszył otwarcie uniwersytetu Warszawskiego. W r. 1818 został prezesem senatu. Przed wzięciem udziału w współpracownictwie *Pamiętnika*, wydał już poprzednio rozgłosne dzieła, jak: *O sztuce u dawnych* czyli *Winkelman polski*, w 3-ch tomach; *O wymowie i stylu*, w 4-ch tomach; *Pochwały, mowy i rozprawy*. To ostatnie dzieło i rozgłosna sława wymowy, pozyskana w dawniejszych sejmach, zjednały mu chlubny tytuł u współczesnych: „księcia mówców.” Tak mieliśmy w literaturze dwu książąt: Jana Kochanowskiego księcia poetów, Potockiego wymowy. Lubo pisywał do *Pamiętnika* pod swoim imieniem, przybrał nadto pseudonim „Świstka krytycznego” i pod nim umieszczał lżejsze utwory pióra, treści satyryczno-społecznej.

Nie bez zajęcia dla czytelników, będzie pierwsze zagajenie, jakie wypisał, występując ako Świstek krytyczny w r. 1816 (*Pamiętnik*, t. V).

„Kiedy szanowni towarzysze moi (pisze w nim) przybierają sobie nazwiska sławnych dzienników paryzkich, ja na skromném krytycznego *Swistka* przestaję. Ochrzcic się muszę, bo nakoniec imię jakieś na tym świecie nosić każdemu należy; lecz nie chcę, by mnie czasem *poprawcza policya*, jak awanturnika jakiego, ogołociwszy z przybranego imienia, na właściwe skazała. Nic łatwiejszego, jak wziąć wielkie nazwisko, lecz nic trudniejszego, jak go usprawiedliwić. I tak np., gdybym sobie nadał tak zawołane „Karła żółtego” imię, słusznieby po mnie oczekiwała publiczność, choć cząstki jego dowcipu. Otóż sęk, otóż trudność, oto bięda. Wiele przyrzekłszy publiczności, a dotrzymać mało w stanie, przeskakiwałbym z wstępu na wstęp i jeszcze nowym wstępem starałbym się wykręcić; gadałbym wiele o sobie, mało o rzeczach, obiecawszy krytykować, inszych krytykować uczyłbym; nakoniec znudzony czytelnik przedwieczném gadulstwem mojem, rzekłby: „Niezgrabny karle, cóż masz wspólnego z tym przyjemnym karzetkiem, który tak długo bawił Paryż cały, prócz imienia, któreś sobie bezczelnie przywłaszczył?” Wolę tedy być „Świstkiem” i nazawsze „Świstkiem,” niż kiedykolwiek popaść podobnej wymowce.

„Lecz przystąpmy do rzeczy, choć i to, com powiedział, nie zdaje mi się od rzeczy. Znajduje się rodzaj złodziei, których nie ścigają prawa, a co przecieź kradną nam to, co najdroższego mamy, t. j. czas. Warszawa, jak wszystkie wielkie miasta, jest pełną tych łotrów, których się ja mniej obawiam od innych, bo mam więcej do stracenia czasu, niż pieniędzy. Z tych tedy ichmościów, jeden kradnie kwadrans, drugi godzinę, trzeci część dnia zabiera tak dalece, iż porachowawszy się na końcu roku, znaleźlibyśmy, iż nam brak kilku miesięcy, których sami złodzieje wrócićby nam nie mogli, a które czas niemiłosierny zapisuje na rachunek życia naszego. Pierwszy, co mi zaprzeczy tój prawdy, niech będzie pewnym, że mu nazajutrz naśle JP. Chwałskiego, który odemnie tój chwili odchodzi. Trzy śmiertelne ukradł mi godziny, przecieź rozmowa jego tak ciekawą zdaje mi się, że nią niniejszy *Swistek* napełnić zamysłam.

„Wchodząc znienaćka do mnie, rzekł JP. Chwałski:

— Widzę, żeś bardzo zatrudniony, dlatego, przyjacielu, godzinke tylko z tobą pobawię.

Cóż znaczą te dzienniki, te gazety, te sztuki teatralne, rozrzucone na biurze twojem? Ach! domyślam się, oddawna miałem cię w podejrzeniu, że jesteś jeden z Iksów ¹⁾; teraz już o tém nie wątpię, wszelako bądź pewnym, że ci sekretu dochowam.

1) W owym czasie pojawiło się tak zwane *Towarzystwo Iksów*, które rozbiorami krytycznemi, głównie o teatrze narodowym, pożykało sobie chluby w kraju rozgłos. Poważne i wytrawne ich krytyki drukowała *Gazeta Warszawska* z podpisem *Iks*.

— Zbyt wiele—odpowiedziałem—czynisz mi WPan zaszczytu.

— Przeciwnie—rzecze—żałuję cię, żeś się wdał w te wszystkie krytyki! Żebyś wiedział, jak was tam za kulisami nie lubią, jak łają, jak wam złorzeczą, wyrzekłbyś się tego rzemiosła. Co do mnie, chceszli wiedzieć, dlaczego tam i wszędy tak jestem kochany, dlaczego tak wszystkich bawię, dlaczego tak mi wszyscy radzi? Oto dlatego, że wszystko i wszędy chwale: tym nawet sposobem spodziewam się w pewnym biurze, wnet jedno z pierwszych miejsc otrzymać, na którym chwalić nie przestanę, a tym sposobem, może się zczasem i ministerstwa dochrapię.

— Wyśmienicie!—odrzekłem—jestto środek; pewniejsza może dojścia wszystkiego jest inna droga, a do tego nieco podła.

— Widzę—odrzekł—przyjacielu, żeś się w sekcję liberalistów zapisał; pożegnaj się więc z fortuną, z zaszczytami, z całym twoim rozumem: zostaniesz nazawsze Iksem. Wreszcie są rzeczy godne pochwały, chcę ci ich kilka nastęrczyć, które zręcznie nakręciwszy, pod pozorem krytyki chwalić będziesz.

— Obaczmy!—odpowiem—ciekawy ich jestem.

— Oto najprzód chwał, ustanowić się mające ochędóstwo w Warszawie, bo roztropnemu trzeba być najprzód dobrze z policją. Powtóre, dowódź krytykowi, co się odezwał w ostatnim *Pamiętniku Warszawskim*, że gazety nasze są nieoszacowanym polszczyzny skarbem, bo gazety są trąbą, która ci pochwały w setnasób odda i wstawione imię twoje po całej Polsce rozniesie. Nakoniec wystąp na harc za naszymi artystami dramatycznymi, mianowicie za ich naczelnikiem: i to nielada opieka. Dość tego będzie na pierwszy twój artykuł; mam pochwał pełne kieszenie, zacznij przecie od tych, a o innych, mianowicie o osobistych później się rozmówimy.

— Ale—odrzekłem—jakżeż mam chwalić ochędóstwo Warszawy, patrząc na buty twoje? Mój panie, w błocie żyjemy!

— Jak twardą—odpowie mi—na krytyka masz głowę: długie zaniedbanie ochędóstwa ulic warszawskich, jest złem chwilowém, ale mamy teraz nową policją: położenie miasta jest jedyném do wprowadzenia czystości. Patrz! na jak wysokiém pobrzeżu wznosi się nad Wisłą Warszawa; dość tedy będzie wziąć pod uwagę wszystkie nasze ulice, na nowo je wybrukować, przesklepić kilka kanałów aż do Wisły, do którychby wszystkie błota spływały: tym sposobem, po lada deszczu, wokamgnieniu zmytą i czystą będzie Warszawa.

— Może to być—odpowiedziałem—skoro nam Bóg da z pół wieku pokoju; tymczasem, jeśli się do mioteł i kar nie weźmiemy, żyć będziemy w błocie obok nadziei.

— Niekoniecznie—dodał—chwali się to co jest, można chwalić to, co być ma.

— Jestto piękna—odrzekłem—retoryczna figura, ale ja tak chwalić nie umiem."

W tym sposobie zagaiwszy hr. Potocki swój wstęp, jako stały współpracownik do *Pamiętnika Warszawskiego*, w następnych artykułach uderza na zły język gazet ówczesnych, na zarozumiałość aktorów, na płytkość krytyki teatralnej, wyjąwszy krytycznych poglądów, sławnego w owe czasy Towarzystwa Iksów, którzy, ukrywając się w tajemnicy, tém większe obudzali zajęcie. Oczywiście, że *Swistek* wywołał zaraz przeciw sobie niechętnych; owoż odpowiada krytykom swoim, zarzucając im brak smaku, chociaż się chwalili, że wykształcali się w akademii Krakowskiej. „Nie wszystkim jest dano, odpisuje im Potocki, jak obu Śniadeckim, w równym stopniu wyszłym także z akademii Krakowskiej, w równym stopniu smak dobry i naukę posiadac i być wzorowemi obojga przykładami.”

Sam *Swistek* czuły jest bardzo na krytyki przeciw sobie ogłaszane, ostro a dowcipnie na nie odpowiada. Szczególniej ubódł go zarzut że źle pisze po polsku.

Artykuły *Swistka*, wywoływana przez niego polemika, zajmowały nadzwyczaj ówczesnych czytelników: była to najżywotniejsza część *Pamiętnika Warszawskiego*.

Potocki wierzył w swój humor i dowcip, bo sam pisze: „żeśmy zabawni, nieprzyjacieli nam nawet wymówić tego niezdola; aleśmy niekiedy użyteczni, zawsze prawie uczciwi, a często goli.” W dalszym ciągu daje nam obraz właściwy stanu ówczesnego rozwoju literatury naszej. Ciekawy ten ustęp, jako odpowiedni treści naszego przedmiotu, w całości przywieść musimy.

Owóż, jak się odzywa do publiczności:

— „Chceszli, ażebyśmy zabawnymi i dowcipnymi się stali, trzeba żebyś nas zachęcała, byś nas wspierała i że tak powiem, byś nam przewodniczyła ku temu, a nadewszystko raczyła być dla nas nieco chojniejszą. Każdy pisarz potrzebuje dwu rzeczy: pieniędzy i chwały. Najprzód mówię, pieniędzy, bo wprzód musi kupić sławę w drukarni, nim ją może publiczności przestać. Ztąd wypada, że gdzie mało czytają, mało kupują książek, tam mało ich piszą a mniej jeszcze drukują. W wielkiej liczbie przecież tylko pisarzy, jeden i drugi lepszy zjawia się. Widzimy to w Niemczech, gdzie wszystkie nowo wychodzące dzieła rozsprzedają się, wszystkie są czytane, wszystkie są sądzone, a głos publiczny o każdym stanowi. Wnet jedne pod stół idą, drugie w księgozbiorach i ludzkiej zostają pamięci. Tak i u nas bywało, za dobrych Orzechowskiego czasów, co się skarży, że dnie były zbyt krótkie na czytanie tylolicznie wychodzących dzieł polskich. Wtedy to Brześć liczył więcej drukarni niż nasza Warszawa; Polska cała była ich pełną. Ale dzisiaj w kraju naszym, jakżeż mogą pisać, a nadewszystko drukować dzieła swoje liczni autorowie, kiedy je mało kto kupuje, a mniej jeszcze kto czyta? By się u nas temu poświęcić rzemiosłu, trzeba osobliwszego do tego powołania, bo na niem żadna sława, a pewne czeka bankructwo.

„Chcemyż mieć wyrównyującą narodowej zdolności literaturę, trzeba koniecznie ku temu, by się przekonała publiczność, o potrzebie niejakięj z jęj strony, dla nauk wspaniałości. Niech każdy kogo na to starczy, pisma jakie wychodzą, wreszcie dla samego zachęcenia kupuje; niech w tém czyn obywatelski widzi: bo tym jedynie sposobem, pi-sarzów, drukarń, nawet czytających liczba pomnożyć się może. Wszak często miejskiego próżniaka, a nawet użytecznego wsi mieszkańca, chęć bierze do czytania książki, dlatego że ją posiada; jak często przeglądamy kalendarzyk, jedynie dlatego że przed nami leży.

„Jeżeli tego chwycimy się środka, ręczę że się wnet zjawią u nas w znacznej liczbie dobrzy i zabawni pisarze. Naród nasz, równie jest dowcipny jak waleczny: dał jednego i drugiego dowody. Lecz jak po owém zwinięciu zwycięzkiego po Janie III wojska, upadł odgłos męż-twa polskiego, tak téż i nauk po Zygmuntowych czasach, kiedy smak dobry i rządność, złemu smakowi i nierządowi ustąpić musiały. Ale jako za pierwszą zrzęcnością wskrzeszona odwaga Polaka, z równą lub większą niż kiedy zajaśniała świetnością, tak i dowcip, tak i rozum jego, już zewsząd przebijający, wygórować potrafi, ieśli mu publiczność pomocną zechce podać rękę.

„Nieszczęściem, panowie moi, jest to niezaprzeczoną acz smutną prawdą, że się nic nie działa na tym świecie bez pieniędzy: są one równie duszą potęgi, jak narodowej oświaty. Trzeba tedy, byśmy przy tyłu innych, nowy, to jest rozumowy włożyli na siebie podatek, a raczej nie sami płacili go obcym. Podam takowy uiszczenia sposób. Dla modnych kawalerów naszych, mniej na rok jedna laseczka, mniej kilka dryndulek (dorożek), mniej nakoniec jedno, nie mówię u Chouvo-ta, ale na Wiejskiej-kawie śniadanie ¹⁾ a więcej jedna polska książka, bo wymagać okrutnej ofiary modnego kapelusza, butów, kamizelki lub fraka, serca nawet nięmam. Co do pięknych dam naszych, niech każ-da z nich jedno pióro, jeden bukiet, kilka łokci wstążki, lub ieśli tego wymagać można, jeden kornet rocznie odejmie toalecie swojej i na druki polskie obróci, a ja na tym dla nauk darze chętnie poprzestane, bo nie jestem dość nierozsądnym, dość srogim, bym od nich wymagał ofiary przedmiotów pierwszej potrzeby, jakimi są dla nich koronki i szale.

„Gdybym należał do rządu, przedstawiłbym konieczną ku zasilaniu u nas drukarń ustawę, to jest zabronienia wszelkiej pożyczki gazet, dzienników, pamiętników, nowo wychodzących pism, zgoła téj ich cyrkulacyi, która czyni, że czasem cały powiat jedną obryłkową obcho-dzi się gazetą, nie myśląc, że ta posyłanka więcej może na końcu ro-

¹⁾ Chouvot, głośny wówczas restaurator w Warszawie, mający swój zakład pod filarami na Miodowej ulicy, w domu Dyzmańskiego. *Wiejska-kawa* przy ulicy Wiejskiej, gdzie cały świat modny zbierał się na wyborną kawę z babkami i poncez doskonały, gdyż herbaty nieużywano wcale.

ku kosztuje, niżeliby własna każdego kosztowała gazeta. Niech mi tu wolno będzie przytoczyć ciekawe w tym rodzaju zdarzenie.

„Pewien obywatel niezbyt majątny, lecz uczciwie żyjący, trzymał obie *Gazety Warszawskie* ¹⁾. Na nieszczęście mieszkanie jego nie było od parafii dalekiem. Wnet rozeszła się w okolicy wieść, iż skarb rzadki gazet znajdował się w jego domu. Zatem w niedziele i święta, to ten to ów z sąsiadów odwiedzał go po mszy dla ich czytania zaczął. Gościnność polska nie dozwoliła gospodarzowi na sucho i bez obiadu gości odprawiać. Miał niezłego kucharza i ten liczbę ciekawych pomnożył, która tak z czasem wzrosła, że gospodarz wydołać nakładom gościnności nie mogąc, wyrzec się gazet musiał i o tém *okólnikiem* ostrzedz sąsiadów.

Żeby słowa moje nie zostały się *umarlemu kadzidłem*, chciéj się nad nimi zastanowić prześwietna publiczności.”

Jest to obraz prawdziwy stanu oświaty i literatury peryodycznej. Jeżeli gazety niebudzały wogóle należnego zajęcia, cóż mówić dopiero o rozprzedaży książek, których autorowie księgarzom darmo oddawali rękopisma, aby tylko ich prace drukowano, ciesząc się tylko pewną liczbą bezpłatnych egzemplarzy. Tak Tomasz Święcki dzieło swe *Opis starożytnéj Polski* w dwu tomach, któremu wiele lat życia poświęcił, oddał księgarzom Zawadzkiemu i Węckiemu za sto bezpłatnych egzemplarzy po wydrukowaniu.

Jeżeli oceniano krytyczne artykuły *Świsłki* i u rozsądniejszych znajdowały należne uznanie, od pierwszego ich wszelako pojawienia się, coraz większa mnożyła się liczba jego nieprzyjaciół, któremi pogardzać nie należało, bo we wszystkich sferach naszej społeczności, takowych nie brakło. Ale co ich do najwyższego gniewu i zaciętości przeciw Potockiemu oburzyło, to gdy przedstawił nocne posiedzenia wielkiej kapituły orderów *niedźwiadka* i postęp w dalszym rozwoju tego stowarzyszenia ciemnoty, wstecznicstwa i zgubnych dążeń zaczął opisywać. W tém szerokim malowidle nie brakło ustępów i wprowadzonych działaczy w podobieństwie do żyjących jednostek, z których autor brał wzory swoje; ztąd tém większa zawiść i chęć utajonej zemsty. Jako uczeń Konarskiego, zwolennik postępu, przewidujący przyszłość, śmiały w środkach mających na celu usunięcie średniowiecznych instytucji, które już oddawna czas swój przeżyły, Potocki wraz z arcybiskupem Malczewskim wyjednał w Rzymie pozwolenie na zniesienie zakonów w Królestwie, a chcąc krok ten przed opinią publiczną usprawiedliwić, ogłaszał w tym duchu pisma, w których myśl swą nieraz za dobitnie przedstawiał. Skorzystali z tego potężni jeszcze stronnicy dawnego stanu rzeczy i okazawszy pomienione pisma jako demagogiczne, postarali się usunąć go z ministerstwa oświecenia i wyznań religijnych. Jakoż w roku 1820 został od tych obowiązków uwolniony,

¹⁾ Wychodziła wówczas *Gazeta Warszawska* i *Korrespondent Warszawski*.

zachowując jednak stopień prezesa senatu, pensją i głos w rządzie, jako minister stanu, ale dotknięty przez to boleśnie, zaledwie dziewięć miesięcy przeżył los który go spotkał. Umarł ten znakomity mąż i pisarz w dobrach swoich Willanowie pod Warszawą, ulubionej niegdys siedzibie króla Jana Sobieskiego, dnia 14 września 1821 r.

Ale przyjrzyjmy się tej *kapitulie niedźwiadków*, która najwięcej oburzyła całe a liczne stronnictwo *wsteczników*.

Potocki malowniczo opisuje posiedzenia jój nocne, gdy się zagajały „wszystkie dudy *ciemnogradzkie* oznajmiały o nastąpić mającój uroczystości.”

Najciemniejszy pan, wśród urzędników dworu swego i wspaniałego orszaku niedźwiadków, przechodzi przy odgłosie fujar do podziemnych sklepień, gdzie wielka kapituła nań oczekiwała. Za przybyciem powitany został „radosnemi poklaskami, to jest powszechném niedźwiadków mrużeniem.”

Najciemniejszy pan dziękując gorliwym członkom za walkę zaciętą jaką prowadzili, by obalić stugłową hydrę oświaty; wzywa do połączenia sił razem i „z mistycznym kagańcem w jednym ręku, a z drągiem w drugiej” iść naprzeciw wszelkiego rodzaju oświacie; tych zaś, którym nie zdołamy ust zamknąć kagańcem niewiadomości, ubić świętym drągiem barbarzyństwa, którym nas uzbrowiła mądrość ustawy naszej. Piękny nam wzór zostawili Gotowie, Hunnowie, Wandallowie, sławnej pamięci naddziadowie nasi. Oni obalili kwitnące nauki i sztuki, a świat pograżyli w ciemności; my, za ich przykładem odnowmy tę szczęśliwą epokę i wzniesmy panowanie nocy na zupełném światła wygaszeniu.”

W dalszym ciągu swój przemowy, zapowiada odświeżenie i odnowienie *akademii smorgońskiej* i ustanawia order *smorgońskiego niedźwiadka*, mający zdobić doktorów tej akademii i najgorliwszych pracowników głównego zamiaru prześwietnej kapituły. Kanclerz odczytuje szczegóły obrzędu przyjmowania kawalerów orderu smorgońskiego niedźwiadka. Zarazem podaje herb zakonu, którym jest „niedźwiedz stojący na dwóch łapach, nad którego głową jaśnieje ciemna gwiazda; na drągu wsparty, na piersiach jego wisi tablica z napisem: *Sola nocte salus*. Za podporę herbowi służą dwa nietoperze.

Osnowa patentu zaszczycającego godność kawalera orderu niedźwiadka, brzmiała w następujących słowach:

„Mistrz wielki zakonu smorgońskiego z łaski geniuszu ciemności etc. Chcąc nagrodzić gorliwe i wierne usługi brata NN, zaświadczone nam od najwyższej kapituły, dobrze zapewnieni o nieograniczonym poszanowaniu tegoż ku zastarzałym uprzedzeniom i przesądom; względni na dzielną nienawiść jego ku wszelkiemu rodzajowi oświaty i wszelkiemu liberalnemu uczuciu; chcąc uzacnić w nim ten gruby nierozsądek, który udowodnił pismami lub czynami swojemi: mianujemy go niniejszém, kawalerem *ciemnego orderu niedźwiadka*, ustanowionego pierwszej nocy panowania naszego i chcemy by używał w całej roz-

ciągłości państw naszych prerogatyw, praw i zaszczytów, przywiązanych do tak wysokiej godności. Nadto zalecamy aby był przyjęty ze zwykłemi obrzędami na pierwszym zgromadzeniu kapitularném, które zwołać raczymy.

W Ciemnogrodzie, nocy.... panowania naszego...

(podpisano) *Mistrz Wielki.—Kancelarz.*"

Godne uwagi, że Potocki opisując kapitułę swoją, za bratnie i przyjacielskie stany uważa: *mistyczno-romantyczne*. Wyraz *romantyzm* znajdujemy pierwszy raz wypowiedziany w znaczeniu ujemném, gdy spór i walka klasyków i romantyków tak rozgłośna, w siedm lat później dopiero wybuchła. Wyrażenia przeto Potockiego dotyczące romantyczności, nie mają żadnego związku z późniejszymi sporami i znaczeniem, jakie wówczas wyraz ten poważny przybrał. Nie poprzestał Potocki na opisie kapituły i orderu, podaje jeszcze dotkliwszy *Traktat pokoju*, który z powodu ważności treści i wyjaśnienia głównej jego myśli, w całości podajemy.

Traktat pokoju.

„Najciemniejszy mistrz Wielki smorgońskiego Zakonu, pan udzielny Królestwa Kretów etc., swoim i swego Zakonu imieniem z jednej strony; z drugiej połączone stany Mistyczno-Romantyczne, zważając, że Rzeczpospolita w Polsce podnosić się coraz bardziej zaczyna, uważając że rzeczona Rzeczpospolita ustanowiła *blokus* piśmienny, mocą którego niedozwala wstępu do kraju wszystkim płodom mistycznym i gotyckim i że też pod surowemi zakazuje karami, a ich stronników w śmiech obraca; ku wsparciu więc heroicznój odwagi stronników swoich, w odpieraniu haniebnego jarzma klasycznych, przedsięwzięły wysokie, umawiające się strony, połączyć całą potęgę i czynność swoją, ku obaleniu takowój samowolności i zniszczenia poczwórnego panowania, które sobie w Polsce przyjaciele rozsądku i smaku przywłaszczają; kiedy za pomocą klasycznych przepisów, ciążą nad przyrodzoną wolnością tych, co w zupełnej pragną żyć ciemności, jako też i tych, co podają łatwe środki zmienienia niewiadomości w umiejętność, szaleństwa w geniusz, a to pod zastoną transcendentalnej niezrozumiałości swojej. Tak szlachetnemi powodowane przyczynami, powyżej wymienione wysokie strony, ku wzajemnemu wsparciu i korzyści, zamyśliły zawrzeć nierozzerwany związek i wieczne między sobą przymierze.

„Do ułożenia i podpisania takowego, układające się wysokie strony mianowały następujących pełnomocników: Najciemniejszy Pan Mistrz Wielki Smorgoński etc., mianował pana Maćka Ryłę Lizitapę, wielkiego urzędnika szanownego orderu Smorgońskiego niedźwiadka, i wielkiego kancelerza tegoż, tudzież pana Mysia Kyryła Bazgrajło, komandora rzeczonego orderu i ministra spraw zewnętrznych. Wysokie zjednoczone stany Mistyczno-Romantyczne, mianowały pana barona Transcendentalskiego, członka tajnej rady, prezesa najwyższej rady

niezrozumiałości, tudzież pana barona Indywidualewicza, członka rady stanu i prezesa w wydziale historycznego zawrotu, którzy zamieniwszy swoje pełnomocnictwa, zgodzili się na następujące artykuły:

§ 1. Wysokie umawiające się strony przybierają tytuł konfederacyi Gocko-Sarmackiej, w skutek której, każda strona zobowiązuje się do ómienia lub gaszenia wzrastającej oświaty i do wspólnej w tém sobie pomocy.

§ 2. Wysokie Mistyczno-Romantyczne stany przyrzekają nie-łożyć pióra, dopóki literatury polskiej do takiej nieprzyprawdzą za-wiłości, że się Polacy między sobą rozumieć nie będą. Zakon zaś smorgońskich niedźwiadków bierze na siebie obowiązek zmienić dzi-siejszą oświatę w gocki sposób myślenia.

§ 3. Za granice przyrodzone światła i literatury polskiego na-rodu, mają się rozumieć te, w których zostawał przed panowaniem Stanisława Augusta. By się do nich wrócić i w nich wiecznie zamknąć, zakazane być mają nietylko dzieła i pisma Krasickich, Naruszewiczów, Węgierskich, Trembeckich i t. p. szkodliwych *nowicielów*, którzy nasz język oczyścili z łacińsko-gotyckich konceptów, ale również dzieła i pisma Skargów, Górnickich i Kochanowskich, co zbyt jasną, zbyt czystą, zbyt rozumiałą pisali polszczyzną. Wszystkie te obłąkania w zapomnienie pójść powinny, a rzeczy być przywrócone *in statu quo*, szczególnież czasów rwanja sejmów i *liberum veto*.

§ 4. Wysokie połączone mocarstwa przyrzekają zaprzęgnąć tym wielkim przedmiotem, nietylko własne pióra, ale i stronników swoich i wszelkich użyć środków, jakie tylko będą miały ku dostąpieniu tego zamiaru.

§ 5. Zniszczenie nazawsze jasności języka polskiego, jakotóż logicznego sposobu myślenia, biorą na siebie zjednoczone Mistyczno-romantyczne stany. Co się zaś tyczy czystości jego, staranie o tém powierzonym będzie jak dotąd, pewnym co *trzechdniowym pisarzom*, co tak pomyślnie około tego oddawna pracują.

§ 6. Zakon niedźwiadków mianowicie, zatrudni się obaleniem dzisiejszego, a tak szkodliwego w Polsce młodzieży wychowania, z któ-rego najwięcej szerzy się powszechnéj oświaty zaraza. Do dopięcia tego zamiaru, obecnie Zakon obiecuje użyć wszelkich środków, jakie mu tylko ustawa jego ku temu wskazuje. W czém, jako we wspólnej sprawie, zjednoczone Mistyczno-Romantyczne stany najdzielniejszą przyrzekają pomoc.

§ 7. Nakoniec obie wysokie strony zobowiązują się święcie przykładać całemi siłami do wykonania wszystkich artykułów niniej-szego traktatu, a to imieniem rozumu, smaku, światła i honoru swego.

§ 8. Obecny traktat ma być zatwierdzony i wymieniony w prze-ciągu dni dziesięciu, lub prędzej, jeżeli być może.

Działo się w Ciemnogrodzie, nocy dziesiątej etc.”

Następują podpisy.

„Po przeczytaniu traktatu, kanclerz uczynił krótkie lecz ważne uwagi nad korzyściami jego; między innemi powiedział: „wszystko wróży że wojna między klasycznemi a mistyczno romantycznemi zacięta będzie. Zważając pierwszych potęgę i już odniesione przez nich korzyści, przewidział Najciemniejszy Pan, że zwykłą sobie przenikliwością, że ta wojna zupełném zniszczeniem romantycznym zagraża, jeśli im Zakon nasz pomocnej nie poda ręki; ztąd myśl wielka zawartego z nimi sojuszu, którego zatwierdzeniem przyozdobić dzisiejsze zgromadzenie nasze, Najciemniejszy Pan przedsięwziął w głębokiej swojej mądrości.”

„Potém kanclerz przybliżywszy się do tronu, podał klęczący gotową już ratyfikacyą do podpisu Najciemniejszemu Panu, po dopełnieniu której i wręczeniu jéj Mysiowi Bazgrajle, ministrowi spraw zewnętrznych, Najciemniejszy Pan, wielkim urzędnikiem orderu Smorgońskiego mianować go raczył, w nagrodę wyświadczonych przez niego przysług w układach niniejszego traktatu. Odbyło się natychmiast przyjęcie jego, podług przepisanych obrządków, poczem Wielki mistrz odroczywszy zgromadzenie, w téjże okazałości w której przybył, wśród oklasków mruczających niedźwiadków, wrócił do królewskiego mieszkania swego.”

Cały opis téj wielkiej kapituły kawalerów niedźwiadka, jéj posiedzenia, traktat pokoju w którym ostrą satyrą dociął niejednemu z ówczesnych nawet dygnitarzy; obraził zarazem współpracowników gazet pod imieniem *trzydniowych pisarzy* i samych ich redaktorów, gdyż wówczas trzy razy na tydzień gazety wychodziły. Zaledwie się rozszedł ten zeszyt *Pamiętnika* po rękę czytelników, żartownisie i złośliwsi, u wielu osób odszukiwali orderów *niedźwiadka*, nieraz ich poszukując pod frakiem, kamizelką lub klapą surduta, czy nie są przypadkiem ukryte. Ztąd gniewy większe, spory gorętsze, do grubijańskich spotkań przechodziło. Było i kilka pojedynków, które się skończyły na lekkich na szczęście ranach, ale śmiertelności nie powiększyły.

Z wielkiej liczby obrażonych, lub dotkniętych ciężko przez *Swistka*, jeżeli się sami czuli zaślębami, do wystąpienia przeciw autorowi zajmującemu w kraju tak znakomite stanowisko, podszuczowali wyższe osoby, dygnitarzy nawet zarówno świeckich jak duchownych, starając się *Swistka* przedstawiać ciągle w jak najciemniejszych kolorach. Tak podszepty, kłamstwa i oszczerstwa, doszły w ostatku do zamierzonego celu, bo *Swistek* padł ich ofiarą. Utraciwszy wydział tyle ukochany przez niego, *Oświecenia publicznego*, usunięty od przeważnego działania na tém polu, po utraceniu godności ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego, złamany smutkiem, spełnił kielich goryczy z rezygnacyą, ale go rychłym zgonem optacił. Co na pociechę, dla ludzi zacnych i szlachetnego sposobu myślenia pozostało: że wkrótce po śmierci Potockiego, cała społeczność nasza oddała należny hołd jego zasługom, i cześć pamięci znakomitego męża: portrety jego w stalorytach i litografowane rozchwytywano skwapliwie, zawieszano je na

głównych ścianach pomiędzy wizerunkami: T. Kościuszki, Henryka Dąbrowskiego, Krasickiego i Staszica. Ztąd widzimy, że pomimo treści poważnej, naukowej, nieraz suchej i wstrętniej dla ogółu czytelników, miał *Pamiętnik Warszawski* działy swoje, które żywo ogół zajmowały, a nawet poruszały ich namiętności. *Swiatek* to je wywoływał, jak znówu dział poetycki tego organu, wabił i przynęcał, bo zwolenników gorących do utworów poetycznych, niebrakło w owe czasy w naszej społeczności, którzy każdym udatniejszym co się zjawiał, pieścili się, odczytywali wielokrotnie, a przepisując uczono się na pamięć. Takiego przyjęcia doznawały prawie wszystkie poezye Kazimierza Brodzińskiego, Antoniego Góreckiego i niektóre Kantorbergo Tymowskiego.

Pamiętnik Warszawski przez ciąg siedmioletni swego istnienia, obejmował we wszystkich kierunkach nauki; zaczynając od matematyki, szły: historia naturalna, fizyka, chemia, technologia, gospodarstwo wiejskie, nauka lekarska, filozofia, moralność, psychologia, nauka prawa, prawo publiczne, prawo cywilne, ekonomia polityczna i administracya publiczna; instrukcyja i pedagogia, sztuki piękne, lingwistyka, dramaty, gramatyka polska, literatura i krytyka, powieści, synonimy, bibliografia, nowiny literackie, poezya liryczna, poezya dramatyczna, poezya dydaktyczna, bajki i powieści; poezya heroiczna, epigramata i poezye drobniejsze; podróże i etnografia, statystyka, numizmatyka, historia polska, żywoty Polaków, historia powszechna i rozmaitych narodów, dyplomacya i doniesienia.

Z tego wyliczenia widzimy, że *Pamiętnik* około czterdziestu działów naukowych liczył, które pragnął wypełniać, na co miał zawazkie ramy, bo tylko pięć arkuszy zeszyt miesięczny obejmował. Ztąd dostrzegamy jedne działy wydatniejsze jak *Historyą polską* i *poezye*, inne bardzo szczerupło reprezentowane, wiele zaledwie dotknięte. I nie mogło być inaczej, zważywszy zakres, tego jedyne go na owe czasy organu naukowego, który pomimo całej swęj wartości i starannęj redakcyi, coraz mniej licząc prenumeratorów, po siedmiu latach istnienia, przestał wychodzić. Wydawcy Józef Zawadzki i Węcki, jakkolwiek mieli rękopisma wszystkie bezpłatne, niemogli z prenumeraty wyciągnąć funduszu na opłacenie tylko redaktora, sto dukatów rocznie, i kosztów papieru i druku. Główny redaktor *Pamiętnika Warszawskiego* F. Bentkowski, kończąc swój zawód redaktorski, wraz z istnieniem swego organu, w tajemnicy zachowując główne tego powody, w XXI tomie *Pamiętnika* wydrukował tylko *Prospekt do nowego Pamiętnika Warszawskiego*, podpisany przez trzech redaktorów d. 1 listopada 1828 r., Członków Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk: Kazimierza Brodzińskiego, Fryderyka hr. Skarbka, J. Karola Skrodzkiego: byli oni oraz profesoram i uniwersytetu Warszawskiego. Ci, w tym prospekcie zapowiedzieli wychodzenie dalsze *Pamiętnika Warszawskiego*, zeszytami po sześć arkuszy co miesiąc, z tym samym celem co dawniejszy, z tą atoli różnicą, że w każdym numerze koniecznie będą umiesz-

czane przedmioty dotyczące się nauki sztuk pięknych, nauk filozoficznych, nauk przyrodzonych.

Ale ta zmiana i głośnie w kraju imiona redaktorów nowego Pamiętnika Warszawskiego, niewiele mu pomogły. Ma papier piękniejszy, druk staranniejszy, artykuły wyborowe, ale nie pozyskał większej liczby prenumeratorów. Cztery zeszyty tom składały, takich tomów wyszło tylko sześć, a główni kierownicy, widząc ogólną obojętność na ten organ naukowy, musieli go zamknąć; trudno bowiem pisać darmo, pracując około wydawnictwa darmo, z własnej kieszeni dokładać fundusze na zapłacenie druku, papieru i intrologatora. Od tej pory nazwa *Pamiętnika Warszawskiego* utrzymująca się od pierwszych lat naszego stulecia, pod redakcyami Fr. Dmochowskiego tłómacza *Iliady*, Ludwika Osińskiego, Feliksa Bentkowskiego, i trzech członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk, już więcej nie odżyła i należy tylko do wspomnień historycznych.

V.

Bruno hr. Kiciński.—*Tygodnik Wileński*.—*Pamiętnik Lwowski*.—*Batrachiomachia*.—*Przemiany Owidyusza*.—*Rinaldo-Rinaldini*.—*Tygodnik polski i zagraniczny*.—Antoni Górecki.—Przedmowa *Tygodnika*.—Oburzenie prasy Warszawskiej.—Treść *Tygodnika*.—*Przypadki wojenne przyjaciela pokoju*.—A. Góreckiego bajki i poezye.—Ferdynand Chotomski.—*Eneida trawestowana*.—*Poemat Pojedynek*.—*Parnas Polski*.—L. Osiński.—Józef Brykczyński.—Teodor Morawski.—Kiciński w r. 1821 zakłada *Kuryera Warszawskiego*.—Odstępuję go Dmuszewskiemu.—Opuszcza Warszawę.—*Tygodnik Wanda i Pamiętnik zagraniczny*.—Korrespondencya Br. Kicińskiego z Joachimem Lelewelem.—
Spotkanie, Sen i śmierć.

Po siedmiu latach istnienia swego, *Pamiętnik Warszawski* pod redakcją F. Bentkowskiego położył tę zasługę, że wśród grobowego milczenia literackiego, pobudzał do czytania, i grono miłośników literatury ojezystej znakomicie powiększył. Stało się nawet modą współczesną, że w towarzystwie osób więcej wykształconych mówiono chętnie o wydatniejszych i więcej zajmujących artykułach tego organu. Zwolna, grono to zwiększonem zostało niemnąą liczbą młodzieży ze szkół wojewódzkich, i uczniów świeżo założonego uniwersytetu: a wszyscy to byli gorący zwolennicy literatury krajowej, i piękniejszych jój objawów.

Jeżeli treść zbyt przeważna *Pamiętnika Warszawskiego*, nie przynależała mu potrzebnej liczby prenumeratorów dla utrzymania pisma; nie mało się do jego zgonu przyczynił Bruno hr. Kiciński, lubo z drugiej strony, stał się prawdziwym twórcą prasy polskiej literackiej i politycznej. Temu to mężowi musimy poświęcić oddzielny ustęp.

Bruno hr. Kiciński syn jedyny Piusa kasztelana połanieckiego, a słynnego na sejmie czteroletnim mówcy, i Franciszki Cieciszowskiej podkomorzanki łukowskiej; nauki pobierał w Teresianum w Wiedniu, następnie w konwikcie księży Pijarów w Warszawie. Ukończywszy szkoły, czas pewien spędził przy krewnym swoim Joachimie Lelewelu, z kąd niemałe w ukształceniu naukowem osiągnął korzyści. Podówczas wzrastała potrzeba pism peryodycznych. Jedyne pismo naukowe w Warszawie, *Pamiętnik*, tej potrzebie nie wystarczało. Obaj zajęci gorliwie przedmiotami naukowemi, czuli to dobrze, i zamierzyli nie szczędzić ku temu swych starań. Wkrótce podała się ku temu dobra sposobność. Lelewel powołany na profesora do Wilna, dał życie *Tygodnikowi Wileńskiemu*, Kiciński zajęty interesami domowemi we Lwowie, zaczął wydawać *Pamiętnik Lwowski*.

Jedynym Kicińskiego ulubionym przedmiotem zatrudnienia była literatura. Posiadając gruntownie języki grecki, łaciński, francuzki, niemiecki i angielski, zajmował się z nich przekładami. We Lwowie z druku jego wyszła *Batrachiomachia*, drukował też ustępy swego tłumaczenia z *Przemian* Owidiusza.

Z początkiem roku 1816 przybył do Warszawy, i zajął miejsce wówczasniej Komisji handlowej, niezaniebując bynajmniej prac literackich. Tak ukazał się w tłómaczeniu *Rinaldo-Rinaldini słowny bandyta włoski*. Romans ten, dziś cel uśmiechu, nietylko że miał niestychane powodzenie, bo kilkakrotne jego wydania rozchwywane chciwie zostały, ale ma i tę zasługę, że pobudził do czytania takich ludzi, którzy nigdy w życiu książki polskiej do ręki nie brali. Kiciński przez ten swój przekład nabrał przekonania, jakichto utworów dobrać potrzeba, ażeby ogół rozbudzić z odrętwienia, i uzyskać poważną cyfrę czytelników.

Niebawem kupiwszy dom przy ulicy Gęsiój, założył w nim drukarnią, a z początkiem 1818 roku rozpoczął wydawnictwo pisma p. t. *Tygodnik polski i zagraniczny*. Wychodził on zeszytami w 8-ce z arkusza lub półtora, na pięknym papierze, drukiem nowym i czystym, w okładzinach niebieskich. Jak się różnił zewnętrzną tak i wewnętrzną postacią i układem od *Pamiętnika Warszawskiego*. Gdy ten wyglądał jak stary, zatabaczony nieco i przygarbiony w okularach bakafarz, Tygodnik miał pozor kształtniej, powabnej i żywej Warszawianki.

Całe młode pokolenie piszących otoczyło naraz Kicińskiego radosnym wieńcem. Największą miał pomoc w Antonim Góreckim, stosunek ich zawiązał w Wilnie Joachim Lelewel dawniej. Kiciński odezwą swoją do braci innych pism peryodycznych, oraz zmianą pisowni, wywołał wrzawę w gronie ówczesnych literatów a zwolenników konserwatyzmu. Ztądto Górecki pisał do niego z Wiednia 12 marca 1818 r.:

Bruno Kiciński! przyjacielu luby!
Z którym mię łączą: wiek młody,
Miłość nauki, swobody,
I święte *Apolla* śluby.

Jeszcze u Tybru był brzegów,
Już wieść głosiła bystreimi poloty,
Zwycięstwo twoich szeregów,
Nad stronnikami ciemnoty.

Choć młode wojsko polskie, jednak się nie boi,
Niech i ci staną wrogowie,
Których już nasi złamali przodkowie,
I tak im kroku dostoi.

Tak i ty boju nie lękasz się chwili,
Choćby ci z grobów powstali bez liku,
Co jeszcze przeciw prawdy sztandarom walczyli
W Dmóchowskiego *Pamiętniku!*

Trwaj w męstwie, młodzieńcze drogi,
Wnet z tobą złączę ostrze mojej broni,
Bo jakie Bruno Kiciński ma wrogi,
Te i Górecki Antoni!

Dotrzymał też danego słowa, bo za powrotem do kraju wsparł dzielnie go pracami poetycznymi; nie było też prawie numeru *Tygodnika*, gdzieby nie mieściły się utwory Góreckiego, a wszystkie były chciwie poszukiwane i czytane przez coraz liczniejszych wielbicieli młodego żołnierza-poety.

Obok Góreckiego stanął wielkich zdolności młody Józef Brykczyński, piszący wybornie zarówno wierszem jak prozą. On w początkach ukazania się pierwszych numerów *Tygodnika* dał Kicińskiemu swój przekład poematu z włoskiego: *Wiadro porwane, Tassoniego*. Artykuły prozą podpisywał „Bywalski” pod wierszami kładł tylko cyfry swoje. Umarł w kwiecie wieku, z niemałym żalem Kicińskiego i jego towarzyszków, których umiał sobie zjednać zgasty pisarz przyjaźni i szacunek.

Jeżeli w prozie odznaczył się Brykczyński, i w wierszu był niepośledni. Przywiodeg tu jego bliskosłowne tłumaczenie *Hymnu* angielskiego: *God save the King*, śpiewanego dnia 25 października 1809 r. w Londynie, przy obchodzie 50 roku panowania Jerzego III.

„Boże! niech żyje nasz król!
Długo już włada nasz król
Berłem sprawiedliwém,
Pięćdziesiąt lat nami włada.
A monarsze swemu rada,
Pieśń chwały Anglia składa
W dniu tym szczęśliwém!

Narodu swego wolności,
Wielki Jerzy niezadrości
I czci ustaw księgę.
Sprawiedliwość mu rozkoszą,
Ludy w niebo go wynoszą,
Broń, handel i prawa głoszą
Jego potęgę.

Władzę swoją zdobiąc Jerzy,
Cnotę i naukę szerzy.
A na chwały szczycie
Wyniósł się nad króle inne;
My nucimy dzięki winne
Wielbiąc Bóstwo dobroczynne,
Za króla życie!

Boże! wspieraj trzy narody,
Późno do wiecznej nagrody
Niech idzie nasz król!
Niechaj słucha w szczęściu trwałém
Jak głosem i sercem całém
Powtarzać będziem z zapałem:
Niech żyje król!”

Tygodnik wychodził co sobota, trzynaście numerów stanowiło tom jeden, ozdobiony jedną ryciną kolorowaną i dwiema nutami. Kiściński oznaczył honorarium dla autorów, za arkusz pisma oryginalnego złp. 30, przekładu złp. 15; wypłacone zaraz po przyjęciu przez Redakcyę.

Pierwszy numer tego pisma, na które społeczeństwo oczekiwała niecierpliwie wyszedł 3 stycznia 1818 r. Na czele czytamy ciekawą i zajmującą odezwę *Tygodnika* do swoich starszych braci, innych pism peryodycznych, którą przywodziśmy, jako wybornie malującą chwilę występu nowego organu, w szranki literackie:

„Słaby jeszcze i wahający się, stoję przed wami, starsi bracia moi, może godny tak szanowanego grona, może zbyt śmiały, że się do niego natrętnie wdzieram. Wady i przymioty moje, byt mój nawet, gruba jeszcze przyszłości okrywa zasłona. Czyli jest przeznaczeniem mojem półki księgarni czy sklepów korzennych zajmować, czy z wielką częścią współczesnych kolegów, jak niegdyś Karol V, pogrzebowi memu i zycwem mam assistować, czy ze ś. p. *Pamiętnikami* Switkowskiego, Dmóchowskiego, Osińskiego i Zagranicznym, co cyprysy swoje laurem uweselili, miłą pamiątkę i żal współziomków poniosę do grobu, wszystko to na łonie Jutra, głęboko jest zakryte. Szanujmy tę noc niewiadomości, która skrzydły swemi kolebkę moję osłania: bo jest pogodna, bo gwiazda nadziei choć z daleka, choć słabo, ale mile błyska: a kto wie, czy jutrzienka, równie będzie przyjemną. Niejeden z was zazdrości mi pewnie stanu, w którym o losie swoim, jeszcze wątpić wolno. Ale cóż czynić? Trzeba się raz odważyć. Wić żołnierz, że na polu walki grady śmierci biją, przecież na nią idzie śmiało.

„Musielicie śtyścić, Panowie moi! o pewnym roztropnym człowieku, który wracając do domu, wystawił sobie zawsze, że go największe czekają nieszczęścia, aby się cieszyć nietylko z pomyślnych wypadków, ale i z klęsk niedoświadczonych: tak i ja idąc przed sąd publiczności, widzę gotującą się nawałność, widzę ostrzące się na mnie w surową krytykę brzemiennie recenzentów pióra. W tak drażliwem położeniu raczyło mi podszeptać doświadczenie:

„Patrz! jak inni ludzie wychodzą! protekcyja daje miejsce, protekcyja daje talenta!”

Uciekam się więc pod waszą protekcyę, starsi Bracia moi, szczególnie pod twoją, szanowna babko, wszystkich pism peryodycznych *Gazeta Warszawska*. Długoletnie utrzymywanie się na teatrze świata, dało ci wielką powagę, Wyrocznio Narodu! Ty, co jednem technieniem nadymasz tysiąc trąb sławy ¹⁾, przyjmij mię za swego klienta; znajdziesz wdzięcznego. Niech sarka zawiść, że nieodstępne wieku przywary i ciebie zaraziły, że zamiast nowin, starodawne przepatujesz dzieje; że się kochasz w dykteryjkach i anegdotach; niech upatrują w tém śmieszność, że zobrzydziwszy sobie stan wdowi, po-

¹⁾ Tylu *Gazeta Warszawska* miała prenumeratorów.

łączyłaś się z *Pustelnikiem* ¹⁾, którego plantacya nad-Sekwańskich kwiatów, poprostu w grunt nasz wsadzonych, nie najlepiej się przyjęła... wszakże i w słońcu znaleziono plamy. O wy! co wszystko odrazu doskonakém mieć chcecie, odczytajcie dewizę jednego z naszych pism periodycznych: „Nigdy ten nic nie robi, kto się zawsze boi źle zrobić.”

„I pod twoją możliwą opiekę udaję się, *Pamiętniku Warszawskiu* Ty! któremu zarzucają, że przy terażniejszej naukowej temperaturze, często zapadasz na chorobę czczości; pozwól im gdyrać: ja się wszędzie ujmę za tobą (w podobnym razie, podobną pomoc zamawiając sobie).

„A wy, inni bracia! nie bójcie się; nowy przybysz nie pozbawi was chleba: nie walczy on z wami w jednymże zawodzie: ci tylko na niego prenumerować będą, którzy się zechcą zabawić.”

Odezwa ta wywołała dorazu okrzyk niechęci, starych konserwatystów podjurzanych jeszcze przez redakcyę *Gazety Warszawskiej* i *Pamiętnika Warszawskiego*: dolewał téż oliwy do ognia i *Pustelnik z Krakowskiego-Przedmieścia*, który miał licznych swoich zwolenników, dotknięty boleśnie przycinkiem ostrym ale sprawiedliwym; wzmagalo się téż oburzenie na Kicińskiego za nową z jotą pisownię, i wprowadzenie nowej litery *o* z ogonkiem, w miejsce uprawnionego od wieków *a* z ogonkiem, lubo Kiciński miał za sobą słuszność idąc za brzmieniem samém tej litery. Wrzawa ta bynajmniej nie zaszkodziła, raczej dopomagała licznój prenumeracie. Kiciński żartował sobie z tej wrzawy, a na czele każdego numeru, dawszy klisz jak się psy gryzą, gdy z dachu chlówka kot na nie mruczy i parska, śmiało szedł naprzód. I ten klisz był powodem obrazu przeciwnego obozu. W załadłości kundli, dopatrywano się ludzi, których *Tygodnik* miał na myśli, w *kocie* widziano samego *Brunona*.

Ogół publiczności rzucił się chętnie do prenumeraty *Tygodnika*, wynoszącej złp. 50 rocznie, półrocznie 27, kwartalnie złp. 15. Pierwsze zapisy dały z górą 2,000 prenumeratorów: cyfrę niesłychaną na owe czasy, a ta liczba chociaż powoli, zawsze następnie wzrastała. Kiciński pierwsze zeszyty *Tygodnika*, w podwójnej edycyi drukować musiał, niespodziewając się tak znakomitej liczby prenumeratorów. Rosło grono zwolenników tego pisma, bo dotrzymywało naprawdę co przyrzekło w swoim prospekcie, że chce bawić swoich czytelników. Jakoż treść lekka, odpowiadała swemu zadaniu. Proza, w feilettonowym podawana sposobie, wabiła niemniej jak powieści, pojawiające się pierwszy raz w prasie polskiej w tak szerokich rozmiarach. Zaraz w pierwszym tomie dał *Kiciński* wyborną humorostyczną powieść, z niemieckiego tłómaczoną p. n. *Przypadki wojenne przyjaciela pokoju*,

¹⁾ *Pustelnik z Krakowskiego-Przedmieścia*. O nim cztelnik znajdzie poniżej obszerniejszą wiadomość.

którą wyrywano sobie z rąk do rąk, a sędziwe polonusy brali się za boki od serdecznego śmiechu.

Owóz treść w krótkości tój humoreski. Kandydat teologii, 39 letni *Ferdynand*, narzeczony pięknej *Fryderyki* od lat dziewięciu, w dniu swych urodzin zaczynających rok 40 życia, smutno dumiał w swojej izdebce na poddaszu w Berlinie, gdy otrzymał pocieszający list od swego opiekuna, że ten mu wyjednał posadę pastora, u jednego z hrabiów możnych pod Magdeburgiem, wzywając go zarazem ażeby co rychlój przybywał; biegnie przeto do swój Fryderyki, uwiadamia o niespodzianém szczęściu i nadziei blizkiego się z sobą połączenia, a dostawszy do chwilowego użytku wolancik i żwawego konika wyrusza w drogę. Przed wyjazdem jednakże, pewny że w tych czasach wojennych, był to rok 1806, wojska pruskie w puch rozbijają Francuzów, napisał kilka pieśni w tój myśli, wznosząc okrzyk zwycięstwa! Tymczasem w drodze smutne nadbiegły wieści. Bohaterskie pruskie wojska pobite zostały. Księżę Brunświcki poległ, Belendorf dostał się do niewoli: gdzie sam król, niewiadomo. Gdy stanął przed karczmą, gdzie się wojskowi i lud wiejski zbierali, wieści coraz smutniejsze dochodziły, a na dobitkę niedoli doktora filozofii i kandydata teologii, wolancik jego z koniem, huzary pruskie zabrały, dla przewiezienia do lazaretu ciężko rannego wachmistrza.

Termin nadchodził przedstawienia się hrabiemu w Magdeburgu i objęcia posady pastora; nie było czasu do namysłu: wzięwszy więc kij, ruszył drogą wskazaną. W drodze wszakże spotkał znajomego sobie z Berlina porucznika, który z półkompanią swoją po rozbiciu, cofał się spiesznie. Od niego powziąwszy wiadomość że Francuzi już zajęli Magdeburg, chętnie przystał na propozycyą porucznika, ażeby przy jego oddziale został kapelanem. Przybłąkało się tóż dwu dragonów z oficerem swoim i czterech trębaczy. Porucznik w radości że się oddział jego tak wzmacnia, zamyślał zrobić dywersyą armii francuzkiej. Z tego powodu kapelana zamianowawszy swoim adjutantem, dał mu stosowany kapelusz, granatowy mundur, pałasz i konia. Wśród tryumfalnego marszu otrzymano wiadomość że Francuzi już Berlin zajęli. Wódz przeto naczelny, pan porucznik armii pruskiej złożonej ze stu piechurów, kilkunastu jeźdźców z trębaczami i oficerem dragonów, postanowił przerznąć się przez bataliony, szwadrony i baterye francuzkie. W marszu p. porucznik mówił do oficera dragonów i adjutanta, gdy stanęli w ubocznej wioseczce:

— W samój rzeczy działam z tyłu na nieprzyjaciela.

To wyrzekłszy uśmiechnął się, jakby chciał dać poznać, iż prawdziwie wiele przez to rozumiał.

— Dałby to Bóg, odpowiedział naczelnik jazdy, gdyby on nie zechciał nam jutro działać z tyłu!

„Na to wspomnienie zimno mię wskroś przeszło, bo naturalnie pomyślałem o swoim.

Usłyszeliśmy nagle wystrzał:

Dobosz uderzył w bęben, czterech trębaczy grzmiało jakby o zakład. Naczelnik jazdy zbladł jak chusta. Ja dla pokrycia strachu, który mię całkiem opanował, krzychałem co sił w gospodzie: *Dalej bracia! dalej niezwyjęzeni Prusacy!* i szukałem drzwi, ale nie wiem jakim się to stało sposobem, porwała mię nagła ślepotą, nie mogłem znaleźć drzwi. Wpadłem do szafy gospodyni, i tam coraz głośniejszym wołałem: *Dzielni Prusacy! idźcie zmną, śmiało na nieprzyjaciela!*"

Uspokoilo się zamieszanie, a nasz pastor otrzymał rozkaz z 20 ludźmi ruszyć ku cmentarzowi.

Adjutant spełnił polecenie.

„Gdyśmy się zbliżali do cmentarza, nagle mi się coś w oczach zaćmiło: ujrzałem stary mur nichem obrosły, na którym jakieś chwasty powiewały. Wziąłem mur za Francuzów, a powiewające chwasty za bagnety. Odskokczyłem na bok i zawołałem głośno: *Ognia!*"

Dopiero po prochowej błyskawicy, poznaliśmy że walczymy z murem."

— *Pardon! pardon!* zawołało kilka głosów i siedmiu ludzi z francuzkiej piechoty wyłazi z pod muru, pod który się ukryli i złożyli broń przed *Magistrem bonarum artium*.

Zaledwie z wioski zajmowanej wyszli, ujrzeni wojsko francuzkie rozstawione w dolinie; porucznik armią swoją rozwinął w ordynku, na prawem skrzydle pod gruszką, stał nasz pastor adjutant: nagle zagrzmiały działa, kula jedna przeleciała.

„Wtém wpadła druga kula, mój *Bucefal* dziwił się już nad pierwszą, ale za drugą zaczął dzielić pomieszanie swego pana.

Teraz zaczął się ogień z ręcznej broni. Osobne oddziały jazdy zbliżyły się ku naszemu skrzydłu. Zawołałem: *Ognia!* Zasunąłem kapelusz na oczy i pomyślałem sobie: niech was Bóg ma w swojej opiece. Chciałem się wrócić w tył do wioski, ale nim potrafiłem zwrócić moją twarą w pysku szkape, dali ognia posłuszni mi żołnierze. Nie mniej odemnie, zląkł się tём mój rumak, wspiął się w górę i porwał mię na sobie. Trzech strzelców konnych francuzkich razem do mnie strzeliło, ale widząc że nie spadł, widząc jak z dobytym i podniesionym pałaszem, jak błyskawica wpadam na nich, zwrócili konie i drapnęli. Trzymałem ja wprawdzie pałasz w prawej ręce, ale trzymałem nią także i kapelusz bojąc się żeby mi z głowy nie zleciał, co może mi bohaterską postawę dawało.

„Mój pegaz mimo wędzidło i cugle, włożył głowę pomiędzy nogi, i jak szalony leciał na nieprzyjaciela. Kłąłem, płakałem, krzychałem *Stój! prul prul!* daremnie! Wnajtęższym galopie ruszał zmną. Strzelcy wpadli na krętą dróżynę koło zarośli, ja za nimi prawdziwie mimowolnie. Widząc że im już jestem na karku, przeleknieni nieprzyjaciele, raz wraz dawali ostrogi zmęczonym koniom, a mój Rossynant raz wraz podwajał swoje skoki. Zapewne musieli mię uciekający mieć

zą tęgiego zucha, poprzyśniętego wydrzeć im życie, bo co moment oglądali się na mnie, z oznakami przerażenia. Gdyby też mogli wiedzieć co się ze mną działo!

„Gdyśmy skręcali ku krzakom, wpadliśmy na równinę, gdzie stał obóz francuzki. Tu spadły mi z nóg oba strzemiona. Znikli uciekający przedemną, kilku żołnierzy wymierzyło i strzeliło do mnie. Mój rumak trafiony padł na bok, a ja wraz z nim jak długi!”

Tak więc bohater dostał się do niewoli, a jako oficer sztabowy, przyjęty gościnnie w obozie francuzkim, przeprowadzonym został wraz z innymi do głównej kwatery dowodzącego generała. Osadzony w domku jednym, szczęśliwie wydobywa się z niewoli, w ucieczce szczęśliwszym jeszcze sposobem pozyskuje koczki i grube pieniądze, odnajduje ukochaną Fryderykę i po doznanych przygodach, kupiwszy sobie wioskę, z drogą małżonką osiada na gospodarstwie, już w granicach Polski.

Powieść ta, zajmując kilka numerów *Tygodnika*, wielce się podobąca czytelnikom naszym. Główny bohater był Prusak, a bohaterstwo jego z tak ironicznym dowcipem przedstawic umiano, że bawiono się niemi szczerze. Jakkolwiek redaktor wydrukował, że tłumaczył z niemieckiego, ale znalazł wielu niedowiarków, którzy temu śmiało zaprzeczali. Pomysł całej powieści wyborny, opowiadanie pełne dowcipu i humoru, styl lekki, feiletonowy, wszystko wskazywało, że ten utwór musiał wyjść z pod pióra wesołego Francuza. Jakbądź, powieść ta dała szeroki rozgłos *Tygodnikowi* Kicińskiego.

Z upodobaniem czytano drobne utwory poetyczne Antoniego Góreckiego, pomieszczane w *Tygodniku*, szczególniej też jego *Bajki*. Różniły się one wielce od ulubionych *Bajek* Krasickiego, które każdy umiał na pamięć, gdyż uczył się ich w szkołach i dobrze zapamiętał. Góreckiego wabiły świeżością pomysłu i szczęśliwem zastosowaniem do jednostek naszej społeczności. Weźmy niektóre naprzykład.

Butelka z szampanem.

Raz w zimie podczas balu, butelka z szampanem,
Stojąc przed pewnym jaśnie oświeconym panem,

Robiła sobie ztąd drwinki,

Że dwie z wodą karafinki,

Jakby dla ochłody latem,

Stawiono przed literatem.

A gdy nie przestawała,

Tę odpowiedź otrzymała:

„Nie chlub się z tego, czego nie jesteś przyczyną:

Nie ciebie tu szanują, ale w tobie wino.

I zatrzymaj się trochę z humorem wesołym,

Bo jak wino wypiją, będziesz stać pod stołem!”

I ty Janie żeś bogaty,

Dlatego teraz pospołu

Siadasz z panami do stołu;
 Ale jednak nie gardź nami;
 Jak wydasz wszystkie dukaty,
 Będiesz stał u nich za drzwiami!

Kogut i kokoszka.

Raz na folwarku, w południowej dobie,
 Młody kogutek zaczął śpiewać sobie;
 Wtém stara kokosz, dobra jego żona,
 Wpadła nań z wraskiem zadarłszy ogona:

„A zgiń ty duszo z czułości wyzuta!
 I idź tam śpiewać, gdzie na świat osobny.
 Gdzieżes ty przekłety, krzykunie, podobny
 Do nieboszczyka mojego koguta!
 Co to bywało i bił się walecznie
 I z żoną swoją obchodził się grzecznie!
 Nieraz choć wieczór nadchodził,
 A gdym ja spała, on na palcach chodził;
 A ty mi wrzeszczysz tutaj nad uszami,
 Gdym ja zajęta ważnemi myślami!”

Tak go prosiła, on nic nie powiedział,
 Stulił skrzydełka i cichutko siedział,
 Kończąc piosnkę temi słowy:
 „Broń Boże, być mężem wdowy!”

Rum i woda.

Zawsze z wielką pogardą mówił rum o wodzie,
 Ta milczała; wtém pożar zajął się w gospodzie:
 „Ach! przyjaciółko! krzyknął rum w tę porę,
 Ratuj mnie, wodo, bo bez ciebie zgorę!”
 Woda, nie biorąc z tych ludzi przykładu,
 Co w mściwém sercu, pełni złości, jadu,
 Kiedy się z swoim sąsiadem pokłóca,
 Choć mu dom ginie pożaru zdarzeniem,
 Oczy i ręce od ognia odwróca,
 Ciesząc się przyszlém bliźniego zniszczeniem:

Ani z pośpiechu usługi
 Wzorują publiczne sługi,
 Co w pewnej znanj stolicy
 Wtenczas przywożą sikawki,
 Gdy ogień nie dla zabawki
 Porwie połowę ulicy.
 Nasza woda bez hałasu,
 Nie tracąc na krzykach czasu,
 Wpadła pomiędzy płomienie
 I zgasiła w oka mgnienie.

Tak rum ocalon przez wodę,
 Nauczył się tą pożogą,
 By nie pogardzać nikogo
 I wieczną zawarł z nią zgodę.
 Ten jego traktat wspaniały,
 Tak jest wiernie dochowany,
 Że teraz w Warszawie całej
 Znajdziesz rum z wodą zmieszany,
 Że rum to fraszka, lecz dłaczegóż w winie
 Wodę napotkać się zdarzy?
 Ja tego nie wiem: trzeba o przyczynie
 Zapytać panów winiarzy.

Oprócz tego rodzaju lekkich utworów, które wszystkim się podobały, a imię Góreckiego ulubioném zrobiły; poeta ten w większych rozmiarach dawał poezye, pomiędzy któremi odznaczały się śpiewy historyczne. Nie była to wprawdzie myśl nowa, bo pierwszy wzór ich dał J. U. Niemcewicz, w ostatnich latach zeszłego stulecia, ale Górecki podniósł ich wartość, natchnieniem poetyczném i formą artystyczną.

Do takich należą śpiewy historyczne: *Zdobycie wawozu pod Samosierra*, *Oblężenie Głogowa*. Do nich policzyć należy dumy z 1812 roku: *Pod Smoleńskiem* i *Bitwa pod Berezyną*, gdzie ostateczna klęska rozgromiła armię Napoleona I. Do niego takimi wyrazami zwraca się nasz poeta:

„Ale ty drugi Marsie! gdzie lecisz wybladły?
 Uciekasz, lzy niewinnych na głowę ci spadły;
 Nieszczęśliwy nasz naród ufał ci naprózno:
 Upada dzieło ręką stawione bezbożną.
 Na to ci mały czelcze Bóg miecza pożyczyl,
 Abyś ludy uwolnił, nie trony dziedziczył.
 Stań teraz, dobądź oręż tylekroć zwycięzki!”

Największe jednak wrażenie na ogół społeczności naszój, wywarł wiersz Góreckiego: *Śmierć zdrajcy ojczyzny*. Nie było domu, gdzieby go nie czytano; uczono go się nawet na pamięć skwapliwie. Wiersz ten, oprócz głównej myśli, porywał energiczną a niezwykłą formą, wśród utworów ściśle klasycznych. Godzi się go tu przypomnieć w całej jego osnowie, bo już poszedł w głąbokie zapomnienie.

Noc była ciemna, milczenie poure,
 Lało spokojność na całą naturę;
 Wtém księżyc zajaśniał mile,
 Bo już zbliżały się chwile,
 Kiedy duchy z nieba skrycie,
 Na promykach gwiazdy schodzą
 I gorzkie nędzarzy życie
 Snem łagodzą.

Nad rzeki brzegiem,
 Co bystrym biegiem
 Toczy mętne wały,
 Błyszczą gmach wspaniałe:
 Tam, zdrajca kraju obrzydły
 Leżąc, gdzie łoże złociste,
 Czekał, by sen swemi skrzydły,
 Przytulił serce nieczyste.

Ogień w bladawym płomieniu,
 Po kunsztownych lampach skryty,
 Pokazywał w nocnym cieniu,
 Dostatek zbrodnią nabyty.

Starannie przez długie lata,
 Zgromadził tam zbytek złoty;
 Wszystkie niemal skarby świata:
 Niestawało snu i cnoty.

Dwanaście razy brzęk zrodził,
 A sen jeszcze nie przychodził;
 On biegał po małych chatkach
 I przytulał tych w tej chwili,
 Co kiedyś żyli w dostatkach,
 A wszystko za kraj stracili!

Napróżno wyrodek podły
 Wyglądał na jego przyjście:
 Jak jesienne wędznął liście,
 A smutki serce mu bodły.
 Porzuca wyniosłe łoże,
 Otwiera skrzynie zamkami warowne
 I myśli, że mu pomoże
 Świetnych kamieni błyskanie kosztowne.
 W tém niebo znać dało grzmotem:

Pioruny trzasły,
 Ognie zagasły;

Wicher drzwi wyparł z łoskotem.

Wchodzi naprzód księżyc blady,
 A za nim w ślady,

Jakaś poważna osoba:
 Na niej żaloba,
 Smutna postawa:
 Pierś krwawa.

Na takie widmo straszliwe,
 Drży zdrajcy serce lękliwe;

Widzi, nie wierzy:
 Włos mu się jeży!

I krzyczy: „To strachy czyje?
Stój! bo zabije!”

Ale postać blada
Nic nie odpowiada,
Idzie tylko z cicha
I wzdycha.

Wtenczas ufny w moc siarczystą,
Porwał zbrodzień broń ognistą:

Zmierzył, przycisnął,
Ogień błysnął:
Kula zajadła,
Z hukiem wypadła,

Srodek postaci przeszyła;
Ale ona wolnym krokiem,
Z milczeniem głębokiem
Jeszcze bliżej przystąpiła.

Na zbrodnia ramieniu drżącym,
Wspiera się łokciem oziębiającym

I odpoczywa.
On mdleje,
Potnieje

I za drugą broń porywa.

Wtém ona do niego rzecze
Głosem takim, jakim ciecze
Słodko strumyk, lutnia brzęczy,
Lub po mogiłach wiatr jęczy.

„Stój! mnie kula nie zabije,
Na waszym świecie nie żyję:
Ojczyzna jestem! ta rana,
Ty wiesz od kogo zadana!

Synu! ty w ciemnym złożyłeś mię grobie,
A ja przychodzę dać ratunek tobie.
Widzę twą duszę smutkiem uciśnioną,
Chcesz spocząć, pójdziem na wieczności łono:
Ja ci przebaczam, bo nie matki czynem
Mścić się nad synem!”

Wtém razem wstrzęsły się dachy,
Zadrżały gmachy,
Jękała noc blada;
Przez okno wpada
Duch czarnej postaci
I rzecze głosem zagrzmienia:

„Niemasz, niemasz przebaczenia
Temu, co przelał krew braci!
Pan Przedwieczny, sprawiedliwy,
Stań przed Jego sąd straszliwy!”

Tak zawołał i ponury,
 Ciało zbrodnia w łoże cisnął,
 Duszę w ciemne porwał chmury;
 Wiatr za nim zawył: grom błysnął!

Forma téj poezyi odznaczała się niezwykle! Miara wiersza urywana, stosownie do myśli, podnosiła wrażenie w czytelniku i słuchaczu. Cały utwór, przesiąknięty duchem romantyzmu, nie oburzył klasyków, bo nikt romantyzmu nie brał jeszcze za wroga uwielbianej klasyczności. Było to pacholeń niewinne, w powijkach, z których rozwinął je dopiero Mickiewicz, ażeby się wrzaskliwie rozbudziło, a do razu grożąc silną pięścią, świat literacki napełniło straszonym niepokojem.

Obok Góreckiego zjawia się w *Tygodniku* Ferdynand Chotomski, młody, dorodny porucznik, z pułku gwardyi grenadyerów armii Królestwa Polskiego. Wykształcony naukowo, władający łatwo piórem, dowcipny, z humorem, daje się dorazu poznać, jako niepośledni wierszopisarski talent. Oprócz ulotnych utworów, przedsięwziął on trawestować *Enejdę* Wirgiliusza; dzieła całego dokonał, mamy je w rękopiśmie, lubo tylko ustępy z różnych pieśni drukował. A zaczął je ogłaszać w *Tygodniku*. Znakomity akwarelista zebrał około stu widoków, ruin dawnych zamków, pałaców i miejscowości historycznych, które złożył w darze Sybilli w Puławach. Wyszedłszy z pułku, podróżował za granicą; ale nim w obce udał się strony, dzielnie swemi pracami podpierał organ Kicińskiego.

Był to czas, w którym szczególnież zagaściły się pojedynki. Porzucono dawny poczciwy obyczaj, rąbania się na szable, miejsce ich zastąpiły pistolety, ztąd nieraz zbyt krwawo się kończyły i niejedna rodzina przywdziewała żałobę. Nie brakło zawadyków i awanturników, którzy umyślnie szukali sposobności, ażeby robiąc drugim nieprzyjemności lub wyrządzając zniewagę, zmusić, ażeby takiego zawadykę wyzwali. W tém była gra, bo wyzwany miał prawo wybrania broni, a wybierał pistolety, mając przytém drugie prawo pierwszego strzału. Wprawnego oka, doświadczonej ręki, daleki od niebezpieczeństwa, zawsze tak się urządzał, że przeciwnika, jeżeli doraz na placu trupem nie położył, zawsze go zranił i przeto pojedynk zostawał przerwany: poczem następowała zgoda, hojnie oblewana winem przy sutym stole. Sarkała społeczność na te krwawe nieraz zapasy, żżymali się głośno stare polonusy, którzy rozumieli pojedynk, ale tylko na szable: niewiele to jednak skutkowało. Chotomski, bronią żartu zamierzył uderzyć, na ten grzech społeczny. Ułożył i wydrukował poemat komiczny p. n.: *Pojedynek*, w czterech pieśniach i więcéj oddziałał na ten zgubny popęd junakieryi, niż wszystkie poważne sarkania i krzyki. Każdemu z pojedynekowiczów, co z tego rodzaju spotkań chluby szukali, przytaczano ustęp zaraz z poematu F. Chotomskiego.

„Wspaniały, umię walczyć i darować!
 Zemsta udziałem podłój duszy bywa,

Ucz się jak ludzi honoru szanować:
Nie szukam sławy w współrodaka zgonie!"

Jeden z genialnych krytyków romantycznych, który w kilka lat później wielce wybitne stanowisko w literaturze naszej zajął, Maurycy Mochnacki, wysoko cenił trawestowanie *Enejdę* Wirgiliusza przez Chotomskiego. Rozbierając znaczenie starożytnego klasycyzmu, a kładąc różnicę pomiędzy nim a spaczonym francuzkim, wykazywał, że tylko Grecy mieli w całym znaczeniu literaturę klasyczną, gdyż Rzymianie we wszystkich gałęziach literatury, poezyi i prozy, byli ich ślepyimi naśladowcami; że *Enejda* jest niezdarne przedrzeźnianiem Homera *Iliady* i *Odysei* i że Chotomski, nicując ją, najlepsze dał świadectwo wartości tego utworu. Trawestowano *Enejdę* w Niemczech i u nas, a nikomu na myśl nawet nie przyszło, w ten sposób dotykać arcydzieł starożytnę *Hellady*. Fakta poświadczały tym słowom, ale zaręczyć możemy, że Chotomskiego bynajmniej nie te wnioski spowodowały do nicowania Marona. Wiedząc, że już w Niemczech trawestowano *Enejdę*, gdy przedmiot poddawał mu się potem dobrze, zabrał się do pracy i wykonał ją z dowcipem i humorem ¹⁾.

Obok tych poetów występuje, lubo bezimiennie Franciszek Morawski i Tymon Zaborowski, który w kwiecie życia samobójstwem dni swe zakończył. Ten, w wierszu p. n.: *Parnas we śnie*, zwiedza parnas francuzki, ale zagląda i do parnasu polskiego, do którego Woltera prowadzi Krasicki i służy mu za tłumacza. Wielce ciekawy jest obraz tego *Parnasu*, jak go pojmował Zaborowski i kogo na nim umieszczał. Znajdujemy tu wszystkich pisarzy z okresu Stanisława Augusta i z naszego wieku widzimy. Nie znajdujemy ich imion, ale łatwo poznać każdego przy wyliczeniu ich zasług. Idą więc szeregiem: J. U. Niemcewicz, L. Osiński, A. Górecki, Fr. Morawski, Fr. Zabłocki, L. Kropiński, Alojzy Feliński. Nie znaleźli pomieszczenia w tym

¹⁾ Blumauer Aloizy, poeta niemiecki (ur. 1735 † 1798 r.), z początku jezuita, po zniesieniu zakonu został cenzorem. Był ulubiony poeta austriacki, podczas dziesięcioletniego panowania cesarza Józefa II i poczył jego noszą na sobie cechę owej epoki reform. Umieszczał je najprzód w *Wiener Musen-Almanach*, który łącznie z Raschky'm od r. 1781 wydawał. Są one pełne dowcipu i ognia, a język w nich piękny, czysty i męzki. Na polu poezyi komicznej i żartobliwej, najslawniejszą jest *Enejda* trawestowana, tryskająca dowcipem i satyrą, lubo nieraz obrażająca uczucie szlachetniejsze. Chotomski uniknął tego zarzutu, nie braknie mu dowcipu, ale trzyma go zawsze w granicach przyzwoitości i smaku. Niemiecka trawestacja wyszła dopiero w Krakowie 1834 r., drukowana w polskim gładkim przekładzie p. n.: *Enejda Wirgiliusza przewrócona* (Chotomski swoją *Enejdę* nazwał później lepij, *przenicowaną*), przez Blumauera z niemieckiego na polskie, przełożona przez S. B. Kraków. Nakładem i drukiem D. E. Friedleina, 1834 r. (w 16-ce, str. 244).

Parnasie, ani wieszcz-kapłan Paweł Woroniecz, tak wysoko a sprawiedliwie oceniony przez Mochnackiego, ani Kajetan Koźmian, autor: *Ziemianstwa Polskiego*, ani Franciszek Wężyk, twórcą pierwszych historycznych tragedyi: *Bolesława Śmiałego*, *Głińskiego*, *Barbary*, chociaż cieszyli się w ową porę rozgłosną sławą.

Że L. Osińskiego uwydatnił postać Zaborowski w *Parnasie polskim*, nie dziwię się wcale, bo do dawnych zasług, jakie położył w przekładach mistrzowskich tragedyi Piotra Kornela, kładł nowe, jako profesor literatury, w nowo otwartym Uniwersytecie Warszawskim. Jaki urok wywierał Osiński na swoich słuchaczy, najlepiej dowodzi artykuł J. Brykczyńskiego p. n.: *Literatura*, drukowany w *Tygodniku* (t. IV, 1818 r.).

„Gdy widzę Osińskiego (pisze on) z całą mocą, mężkij wymowy, mężkie Greków i Rzymian malującego obrazy, gdy wzrokiem i poruszeniem przelewa w słuchających własne natchnienie; gdy z drugiej strony w tychże słuchających, widzę osoby zasługą, dostojnościami, nauką zaszczycone; jak wszystkich wzrok zawieszony na ustach mówcy, a natężona uwaga, nie chcąc stracić jakiej piękności, każdy wyraz z chciwością chwyta: w tém uniesieniu zdaje się, że w najświetniejszych Grecyi chwilach, pod portykami Aten dumających, spostrzegam mędrców i z trwogą z świętych już się chcę cofnąć podwoi. Lecz gdy tenże mówca rozwinie najdelikatniejsze piękności polskiego języka, który w ustach jego nowej nabiera słodyczy; gdy słuchaczów najszlachetniejszym wzruszywszy uczuciem, obraca się do dam pilnie go słuchających, w obronie języka, któremu dopiéro co tyle nadał wdzięku, a oddając go pod ich opiekę, w jego zachowaniu i udoskonaleniu wskazuje im cząstkę powinności obywatelskich, Polkom zawsze tak miłych i nigdy próżno nie przypominanych: wtedy wszystkie oczy zdają się podawać sobie uczucie szczęśliwych nadziei, że wkrótce będzie mógł naród nasz, nie tylko chlubić się imieniem, ale i językiem swoim.”

Zaprawdę, w tym obrazku Brykczyńskiego, nie masz najmniejszej przesady. Kto przypomni sobie owe prelekcye co sobota, poobiedne Osińskiego, i zebrany tłum ze wszystkich warstw społeczności polskiej, jak chciwie chwytał każdy wyraz, z ust jego harmonijnie wypływający; przyznać musi, że dzisiejsze publiczne odczyty, ani z takim zapałem nie są przyjmowane, ani takiego wrażenia nie wywierają, co z katedry odczytana prelekcya Osińskiego.

Tygodnik Kicińskiego, nie tylko zalecał się działem poetycznym, ale i wyborową prozą: a głównym w tym dziale współpracownikiem był wzmiankowany J. Brykczyński, który w krótkich rozprawkach, pisanych lekko a zajmująco, chwytał najwydatniejsze przedmioty z życia, z bieżącej chwili. To co dzisiejsze tygodniowe pisma, ilustracje i pisma codzienne obejmują pod tytułem: *Kronik tygodniowych*, *Pokłosa*, *Silva-rerum*, *Odcinków*, *Feletonów*, wypełniał w *Tygodniku* Brykczyński pod pseudonimem Bywalskiego. Czy to koniec lub początek nowego roku, szlichtada świetna, loterya fantowa, reducy, przeglądy tea-

tralne, święta doroczne jak Wielkanoc, Zielone Świątki i t. p; kawa *pod kopciuszkiem*, jarmark, literatura, w ważniejszych objawach: wszystko to brał Brykcyński pod swoje pióro, i oddawał gładko, wdzięcznie i przyjemnie.

Nie unikał i polemiki, ale prowadził ją z godnością i nadzwyczaj uprzejmie. Tak, gdy głośny w owe czasy *Pustelnik z Krakowskiego-Przedmieścia* wystąpił z krytyką *Tygodnika*, Bywalski taką mu dał grzeczną, ale ostro dowcipną odprawę, że staruszek nie znalazł słów odpowiedzi, i wraz z redakcją *Gazety Warszawskiej*, w której drukował swoje artykuły, razem umilknęli.

Tygodnik polski i zagraniczny wsparty młodemi siłami i talentami stał się groźnym współpracownikiem *Pamiętnika Warszawskiego* tak Bentkowskiego, jak później Brodzińskiego i Skarbka. Ubywało im coraz prenumeratorów, którzy ochoczo garnęli się do *Tygodnika*, znajdując w czytaniu jego prawdziwie miłą rozrywkę. Kiciński tytuł swego *Tygodnika* w połowie 1820 r. zamieniwszy na *Wandę*, redakcyę do r. 1822 i do tomów XX doprowadził. Wtedy Aloizy Żółkowski słynny komik teatru i redaktor humorystycznego *Momusa*, gdy ten razem wychodził z *Tygodnikiem Wandą*, takie dał w tém piemku objaśnienie licznym swoim czytelnikom. „*Wanda* która dotąd leżała w mogile, teraz będzie co tydzień wychodzić na przechadzkę literacką. A że damy nie ruszą się, żeby ktoś za nimi nie szedł, przeto i za *Wandą* będzie laził *Momus*.”

Kiciński rzucając kierunek literacki swój publikacyi przeszedł stanowczo na drogę publicysty politycznego, i w tym dziale niestychane społeczności naszej oddał usługi. W tymże roku gdy powstał *Tygodnik polski i zagraniczny*, od 1 października 1818 począł wydawać pismo treści politycznej p. t. *Gazeta codzienna narodowa i obca*; jako wydawcy jęj odpowiedzialni wystąpili Kiciński i Teodor Morawski autor *Dziejów narodu polskiego*, drukowanych przed dwoma laty. Pismo to obudziło z letargu dwie redakcyę gazet: to jest *Gazety Warszawskiej* i *Korrespondenta Warszawskiego*. Wychodziły one dwa razy w tygodniu, we środę i sobotę; ażeby zrównoważyć konkurencyą, odtąd cztery razy w tygodniu wydawane były. Publiczność zawdzięczała to Kicińskiemu. *Gazeta Codzienna* w rozwoju swoim dotykała kwestyi więcj żywotnych, politycznych, zwracając głównie uwagę na sprawy krajowe. Organ ten nie wszystkim przypadął do smaku, lubo większość go wspierała. Wówczas oprócz teatru narodowego, z teatrem francuzkim, zaszły zatargi. *Gazeta Codzienna* stała po stronie sceny narodowej, ale niebrakło protektorów dla francuzkiej, i to przeciwnych. Artykuły Skomorowskiego w *Gazecie Codziennj*, wywołały zamknięcie czasowe drukarni Kicińskiego, oraz postanowienie oddające pisma perodyczne pod cenzurę, której nie chcąc ulegać, wołał Kiciński zamknąć swą gazetę; jakoż wraz z numerem 189, w dniu 14 czerwca 1819 skończyła swe życie z niemalą pociechą dwu swych współzawodniczek.

Gazeta Codzienna wychodziła w pokroju in folio, objętości półarkusza, codziennie, wyjąwszy niedziele i święta uroczyste; w poniedziałek, piątek i sobotę, o godzinie czwartej wieczorem, we wtorek, środę i czwartek, o godzinie dziesiątej z rana. Cena prenumeraty w Warszawie wynosiła rocznie złp. 40, na prowincyi złp. 50. Numer pojedynczy groszy ośm.

Na czele każdego numeru mieściły się wiadomości krajowe, jak rozkazy dzienne do wojska polskiego; rozporządzenia rozmaitych ministrów, postanowienia rządowe; dalej szły wiadomości o posiedzeniach publicznych Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół nauk i przeglądy teatralne. Z wiadomości zagranicznych najciekawsze ze zjazdu w Akwisgranie, oraz wiadomości z wyspy św. Heleny, gdzie pastwiono się nad bezbronnym dostojnym jeńcem Napoleonie I. Nie potrzebujemy dodawać jak one były zajmujące, mówiąc o cierpieniach wielkiego człowieka, przez nikczemnika takiego, jakim był gubernator wyspy św. Heleny Sir Hudson Löwe. Na czele każdego numeru, orzeł wlatujący z rozpostartemi skrzydłami z gałązką oliwną pokoju w dziobie, był godłem *Gazety Codziennęj*.

Kiciński w ostatnim numerze, żegnając się ze swymi czytelnikami zapowiedział wydawnictwo pisma już nie peryodycznego, p. t. *Kronika drugiej połowy roku 1819*, w stu tomikach; ale po wydaniu jednego tomiku w małej 8-ce, publikacya przerwana została.

Nieustając w swęj pożytecznej działalności, zawiązał nową redakcyą, przyzwawszy sobie w pomoc Józefa Brykczyńskiego i Teodora Morawskiego, i zaczęli z wielkiem publiczności zajęciem wydawać pismo treści polityczno-społecznej p. t. *Orzeł Biały*. W r. 1819 wydał go tomów IV, w r. 1820 tomów IX: na tém redakcyja dalsze wydawnictwo przerwała, wyrażając swe usprawiedliwienie.

W r. 1822 zerwał się raz jeszcze Kiciński do prasy i rozpoczął nową publikacyą p. t. *Pamiętnik Zagraniczny*, w 4-ce; lecz prowadził go tylko rok jeden, i na tém zakończył swe prace w wydawnictwie peryodyczném.

Na rok wcześnięj założył nowe pisemko, *Kuryer Warszawski*, którego pierwszy numer wyszedł d. 1 stycznia 1822 r. w formie podługnięj ćwiartki, drobnym drukiem. Prospekt już Kiciński na to pismo ogłosił w dniu 1 grudnia 1820 r. podpisany przez cenzurę rządową, w którym czytamy, że ponieważ każde znaczniejsze miasto w Europie, ma pismo peryodyczne, jego dogodności i zabawie szczególnięj poświęcone, Warszawa zaś nie miała go dotąd; lecz gdy teraz jęj ludność coraz bardzięj wzrasta, gdy wznoszą się prawie codziennie gmachy, które jęj dalszy postęp wróżą, okazuje się potrzeba takiego pisma. Zaczem *Kuryer Warszawski*, dogodność publiczności za cel sobie obrawszy, postanowił nie mieszać nigdy nauki, nie udzielać nigdzie swego zdania, ale tylko o to się starać będzie, ażeby umieszczać jak najwięcęj nowości, opisywać zdarzenia prosto i bez żadnego postrzeżenia; a że ważną bezwąt- pienia dla publiczności dogodnością jest częste wydawanie i taniość,

Kuryer Warszawski postanowił przeto wychodzić sześć razy na tydzień, wyjąwszy sobotę, dlatego, że w tym dniu, oprócz gazet krajowych, wychodziły trzy pisma peryodyczne, to jest: *Wanda*, z dołączonym *Momusem* Żółtkowskiego i *Tygodnik muzyczny* pod redakcją Karola Kurpińskiego.

Kiciński rok tylko jeden prowadził *Kuryera*, albowiem w następnym odstąpił go na własność L. A. Dmuszewskiemu, artyście i pisarzowi dramatycznemu za tysiąc dukatów honorarium. Dmuszewski oceniał należycie szczęśliwy pomysł Kicińskiego w utworzeniu takiego pisemka i przyznać mu należy, że on dopiero staraniem swoim i zapobiegliwością potrafił tak *Kuryera* rozpowszechnić, że stał się nietylko ulubionym, ale i niezbędnym pismem dla ludu warszawskiego. Dla niego, wielu z tej Warszawy ludności naszego miasta nauczyło się czytać, ażeby się też dowiedzieć co *Kuryerek* pisze?

Kiciński zebrawszy z *Tygodnika*, *Kuryera* i innych wydawnictw swoich piękną sumkę, zakupił majątność Grochów w pobliżu Pragi i tam się na mieszkanie przeniósł, na wypoczynek, po kłopotliwej pracy w rozwijaniu prasy peryodycznej polskiej. Ale w tym wypoczynku niewypuszczał pióra z ręki, zajmował się jeszcze redakcją nowego *Tygodnika Wandę*, jak to widzimy z dwu listów jego pisanych z Grochowa do Joachima Lelewela. Dnia 21 stycznia 1822 r. czytamy: „Nie wiem czy przez zapomnienie, czy dla jakiego innego powodu opuszczono *Wandę* i *Tygodnik Zagraniczny* wychodzący z pod mojej redakcyi w liście pism peryodycznych wychodzących w Warszawie, i na które prenumerata po pocztamtach wileńskich i całego Państwa Rosyjskiego jest przyjmowana. Racz wdać się w to (Lelewel mieszkał wówczas w Wilnie), ażeby moją biedną *Wandę* napowrót prenumerować chciano w Wilnie. Bądź łaskaw, nie zaniedbaj tej okoliczności, która czyni mi na rok do 2,000 złp. różnicy.“ W drugim liście z Grochowa tegoż r. 12 marca, powtarza w tej sprawie swoją prośbę, i załącza list do A. Góreckiego, ażeby go zasiłił utworami swego pióra.

Oprócz mniejszych tłumaczeń wykończył przekład *Przemian* Owidiusza, które wydał w trzech wielkich tomach (*Przemiany Owidjusza Nazona, Poema w XV pieśniach z oryginałem obok i z przypisaniami objaśniającemi*. Warszawa, w drukarni N. Glücksberga 1826 r., w większej 8-ce).

Kiedy zajmował się redakcją pism literackich czy politycznych, głównym punktem zbierania się wszystkich współpracowników był dom rodziców Joachima Lelewela, jakkolwiek samego historyka nie było w Warszawie. Ojciec Brunona kasztelan Pius Kiciński, niedy szef gabinetu króla Stanisława Augusta, mąż wysoką ukształcony, nader przyjemny w obejściu towarzyskiem, był duszą tych zebrań, wzorem i wabiem dla młodych literatów. Przyjaciele domu Lelewelów niemało dostarczali materyału do *Gazety Codziennój*, *Kroniki* i *Orla Białego*.

Zebrania te młodych literatów, odznaczały się życiem i niezmiernie zajmowały starszych gości. Tu zbiegaty się wszystkie wia-

domości z pola literatury, nauk i sztuki. Odczytywano listy Joachima, które pisywał z Wilna do ojca i brata swego Prota Lelewela, tu czytano przygotowane artykuły, lub pomysły udzielano do mających się pisać.

Stosunki przyjacielskie od lat kilku łączyły ściśle Brunona z Joachimem. Ze zbioru korespondencyi, zachowanėj u Kicińskiego, można widzieć, jak cenił wysoko te stosunki ¹⁾. W liście pisanym do J. Lelewela, z Krakowa d. 11 października 1814 r. wyraża:

Kochany przyjacielu!

„Przeszło dwa tygodnie cieszę się z widzenia najukochańszego ojca, który po miesięcznych odbytych w Krzeszowicach kąpielach jest jak najzdrowszy. Teraz jedziemy do Sichowia, wsi dożywotniój ojca mojego, zkąd udamy się do Lwowa, gdzie zpół roku zabawimy. Prawdziwie z rozdartém sercem opuszczałem Warszawę. Wdzięcznością moją jedynie odplacię potrafię te dobrodziejstwa i łaski, których tak liczne dowody w domu państwa odbierałem, a które wiecznie w mój duszy tkwić będą.”

Za przybyciem do Sichowia pisze z radością d. 18 października 1814 r.:

„Już piąty dzień jesteśmy w Sichowie. Zastałem w pakach książki ojca mojego. Będzie można z nich porządną bibliotekę ułożyć, bo ich przeszło 1,300. Wiele jest książek polskich tyczących się historii najnowszych czasów: prawie wszystkie *Kroniki*, a wiele takich dzieł w ojczystym języku bardzo ważnych do starożytności ojczystych, już do historyi rewolucyi, o których ani wzmianki niema w literaturze Bentkowskiego. Jednak zbywa mi na wielu dziełach. A zatem proszę cię panie Joachimie, ażebyś mi niektórych w Warszawie nakupował. U Bawera możesz wszystkiego taniój dostać niż ja we Lwowie. Posyłam ci więc dukatów dziesięć i proszę cię abyś mi nakupił dzieł które niżej wymienię.”

Zażądał wtedy oprócz obcych z polskich: dzieła J. U Niemcewicza *Listy Horacego* w przekładzie F. Dmochowskiego, dzieła Węgierskiego, Kniaźnina, *Początki chemii* Śniadeckiego, *Sielanki Wirgiliusza* w tłumaczeniu J. Lipińskiego, *Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk* i *Pamiętnik Warszawski* redakcyi F. Dmochowskiego i L. Osińskiego.

Kiciński siedząc we Lwowie, pobudzony myślą J. Lelewela, robił starania i zabiegi co do wydawnictwa *Pamiętnika Lwowskiego*, ciągle utrzymując z nim korespondencyą. Wpierwszych listach uskarża się, że na swoje listy nie otrzymuje odpowiedzi. „Co się mnie tyczy, nigdy nie mogę zapomnieć tych chwil szczęśliwych, którem w domu rodziców twoich przepędzał. Dobrodziejstwa, którem od nich odbie-

¹⁾ Wiele szczegółów co do Kicińskiego i jego stosunków z domem Lelewelów, zawdzięczam łaskawej przyjaźni brata młodszego, wielkiego historyka Joachima, żyjącego Prota Lelewela.

rał, przyjaźń którą dla mnie okazywałeś. zawsze tkwią w mojej duszy, i lubo przy najlepszym ojcu, najszcześniejszym się czuję, radość moją, miesza jednak pamięć na to, że musiałem opuścić dom, w którym mi po domu ojcowskim najlepiej było. Chciój więc kochany przyjacielu, jeżeli cię tak nazywać mogę, chciój niezapominać o mnie i donosić mi czasem o zdrowiu rodziców twoich, które dla mnie jest zawsze drogiem.”

Siedząc we Lwowie nauczył się języka angielskiego i pracował nad przetłómaczeniem *Przemian* Owidyusza. Pod d. 20 lipca pisze: „A to co ledwieś został profesorem historii (w Wilnie), już się napużyłeś i jak gdyby z katedry wypaliłeś mi tęgą prelekcją. Ale wiedz, że wszędzie a osobliwie pod austryackim rządem trzeba mieć cierpliwość, której prawie codziennie po dobrej dozie zażywam; podarłem już kilka par butów, latając ustawicznie po literatach tutejszych, a pozwolenie wydawania *Pamiętnika* jeszcze nie nadeszło. Chociaż mi to wszystko kością w gardle staje, nie uważam na nic, ale podwoiwszy natężenie, im więcej mam trudności, tém chciwiej pokonać je żądam.

Prześlę ci wyjątek z *Odyssei* Homera o *Cyklopie*: poprawiłem go jak najwierniej, będzie 366 wierszy, bo wiersz w wiersz tłómaczę.”

Niepozyskawszy Kiciński u literatów Lwowskich spodziewanej pomocy, pisze ze Lwowa 2 maja 1815 r. do J. Lelewela:

„Spełniły się życzenia twoje. Będziem mieć we Lwowie *pamiętnik*. Ja może będę redaktorem pierwszego numeru. Wydawaniem dalszém zatrudni się pan Małkowski obywatel galicyjski, *Pamiętnik* będzie wychodził u księgarza Wilda, na pięknym papierze; pierwszy numer, jak się spodziewam wyjdzie z początkiem lipca. Obiecałeś wspierać nasze zamysły: chciój dopełnić twoich obietnic, i cokolwiek masz przysyłać. Lataj po Wilnie: zbieraj literatów, których u was kopami; namawiaj, zachęcaj, pobudzaj wszystkich, niech wesprą słabe usiłowania nasze: proś Góreckiego o co pięknego, proś Sniadeckich, i innych. Ale nic z polityki, nic z teologii. Pisz do Woronicza, do Staszica i do inszych współbraci twoich przyjaciół nauk.”

Ustaliwszy wydawnictwo *Pamiętnika* we Lwowie, opuścił Kiciński to miasto, i odwiedził Warszawę, zkąd d. 22 lutego 1816 r. pisze zaraz do J. Lelewela w Wilnie:

„Przybywszy do Warszawy na kilka dni, dla zobaczenia się z przyjaciółmi, i mając ztamtąd jechać do Łucka, zatrzymanym przez pana starostę Kickiego i umieszczony zostałem w komisji handlowej. Być odrazu sekretarzem komisji i mieć pensyjkę 16 dukatów na miesiąc, niezłą mi się rzeczą wydawało z początku; ale teraz poniekąd tego i żałuję, bo nie będę mógł całego czasu poświęcać poezji, która jest jedyną moją passją. Ale mnie to przynajmniej cieszy, że będę mógł poznać cokolwiek interesa handlowe, poznać rzeczy i ludzi, a najbardziej że będę mógł widzieć często rodziców twoich i częściej z tobą rozmawiać, kochany przyjacielu. Daruj że w tój rozmowie trochę opieszatym byłem; ale obadwa niemamy sobie co do wyrzucenia.

„Mam do ciebie prośbę, abyś mi odpowiedział chronologicznie na następujące pytania? 1. W którym wieku i jakimi stopniami religia i literatura grecka wchodziła do Państwa Moskiewskiego? 2. Przed wprowadzeniem religii katolickiej do Polski w wieku X, jaki był stan prowincyi następujących: Ukrainy, Podola, Wołynia i Pobereża. Jakie pokolenia książąt panowały w tym kraju, czy były udzielne czy hołdownicze, i czyli są ślady, któreby ich nieprzerwaną filiacyą dowodziły? 3. Genueńczycy i Weneci, którzy wschodni handel prowadzili, w tych miejscach od kogo mieli nadania osad swoich? I dlaczego przestali? Jeżeli mi tego donieść niemożesz, to przynajmniej napisz, z jakich dzieł mam czerpać tę wiadomość.”

Porzuciwszy Kiciński zawód redaktorski, po sprzedaniu Grochowa, przeniósł się do nabytego majątku Ojrzenia w powiecie przasnyskim w Płockiem, oddawszy się życiu ziemiańskiemu i ulubionej pracy literackiej. Z początku wydawał większych rozmiarów oddzielnie przekłady swoje. W roku dopiero 1840—43 ogłosił zbiorowe wydawnictwo wszystkich prac swoich we XII tomikach (w Drukarni Banku Polskiego), z których tylko X wyszło. W zbiorze tym drukował w poprawnej edycji *Przemiany* Owidyusza, ale bez tekstu oryginalnego, których przekład rozpoczął w konwiktie księży Pijarów, licząc rok 16 życia.

Wychowany w filozofii Woltera, gorący jego zwolennik, jak sam się wyrażał, nie wierząc w nieśmiertelność duszy, przedrwiwał z tego powodu innych, którzy zachowywali wiarę o życiu przyszłém; z tego powodu zadziwił mnie niemało, gdy w początkach 1844 r. spotkawszy się ze mną w Warszawie, zaczął mi sen swój opowiadać.

— Czy uwierzysz, że miałem sen dziwny, który mnie nawskroś przejął.

— Jakto!—odrzekłem—hrabia w sny wierzysz? nie pamiętając na stare przysłowie: „Sen mara, Pan Bóg wiara!”

— Gadaj zdrów—mówił mi zafrasowany—ale posłuchaj: wczoraj śniło mi się, że widzę ojca mego, który zmarł przed 16 laty, grającego do puli w maryasza ze starym swoim przyjacielem. Ja patrzyłem na to zdaleka, gdy ojciec przemówił do mnie:

„Brunonie! siadaj do stolika, zagramy razem, bo czas, żebyśmy jak dawniej, byli razem z sobą.”

Obudziłem się i jakieś przecucie bliżkiej śmierci nagle mnie ogarnęło. Zasmuciłem się niemało, gdyż wiele prac rozpoczętych czeka na wykończenie.

— Jeszcze młodym hrabia jesteś i czerstwym!—przemówiłem.

— „Baj baju! będziesz wraju!” toć już kończę piąty krzyżyk—i to mówiąc ścisnął mi rękę i zadumany odszedł. Wyjechał zaraz do Ojrzenia, a w kilka dni nadeszła wieść o jego zgonie. Tak prędko ziściło się jego przecucie. Umarł d. 23 marca 1844 r.; wdowa po nim żyła długo, bo skończyła życie w r. 1878.

Kiciński jako tłumacz dobry i wierny, nie małe położył dla piśmiennictwa polskiego zasługi; mniej szczęśliwy w oryginalnych utworach, zato jako publicysta, jako redaktor, trwale imię swoje zapisał w pamięci potomnych. On pierwszy rozbudził smak do czytania po polsku, właśnie w tej warstwie społeczności naszej, która przez wychowanie francuzkie, przez stosunki z cesarstwem Napoleona I-go i wpływ jego przeważny przez cały okres bytu Księstwa Warszawskiego i w początkach Królestwa, miała przekonanie że jedyną tylko jest dla nas literatura francuzka, która może Polskę oświecić i podnieść cywilizacyjnie, niewierząc aby ojczysta mogła powstać, zakwitnąć i zyskać sobie uznanie. Kiciński pismami swemi umiejętnie redagowanymi, to wyobrażenie pierwszy obalił wydawnictwem *Tygodnika*, który wkrótce nabrał takiej popularności, iż nie było domu więcej wykształconego, gdzieby gościnnego niedoznał przyjęcia. Niedośc, pismo to podał w ręce kobiet polskich, przez umieszczane mody. Powoli zamiłowanie do literatury ojczystej wzrastało za tym przewodem.

Pismami treści politycznej Kiciński zwracał uwagę na potrzeby krajowe, na nadużycia władz administracyjnych, rozwijał życie publiczne, stawał śmiało i odważnie w obec praw obowiązujących: był to nie tylko poeta, ale pisarz, obywatel, i piękne po sobie zostawił wspomnienia.

VI.

Bruno hr. Kiciński.—*Historja literatury polskiej* F. Bentkowskiego.—Jój wpływ na naszą społeczność.—Rozniecony zapał do druków *gockich*.—Ocalenie wielu zabytków.—Biblioteki prywatne Chyliczkowskiego i Konstantego Swidzińskiego.—Tytus hr. Działyński.—Biblioteka w Kórniku: wzbogacenie bibliografii polskiej.—Opis starożytnej Polski, Tomasza Święckiego.—Wpływ tego dzieła.—Hipolit Gawarecki.—Zoryan Dołęga Chodakowski (Czarnecki).—Jego rozprawa: „O Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej,” i przeważne jój oddziaływanie na młodzież.—Kazimierz Brodziński.—Konstanty Tyminiecki.—Jego prace.—Ossyan-Terencyusz.—Rok 1818, przedstawienie Barbary Radziwiłłówny, tragedyi wierszem Aloizego Felińskiego.—*Sybilla* poemat J. Pawła Woronicza.—*Wanda Tygodnik Polski*.—Biblioteka polska.—Wydawnictwa F. S. Dmochowskiego.—Powiększenie koła czytelników.—Poezye A. Mickiewicza w drugiej edycyi.—Rozprawa: „O recenzentach i krytykach warszawskich.”—Odpowiedź F. S. Dmochowskiego.—Walka Romantyków z Klasykami.—Po burzy cisza i zgoda.

Równocześnie z rozwojem prasy peryodycznej, przez Brunona Kicińskiego, powiększa się i ruch wydawnictw książkowy, ożywia handel księgarski. Cztery lata gorliwej działalności tego pisarza, wywołały tę zmianę zbawienną. Liczymy tu czas od r. 1818 do 1821.

W ostatnim roku istnienia jeszcze Księstwa Warszawskiego, wyszła nakładem Zawadzkiego i komp.: Historya literatury polskiej, wystawiona w spisie dzieł drukiem ogłoszonych przez Feliksa Bentkowskiego, profesora historii i bibliotekarza w Liceum Warszawskim, członka Towarzystwa król. Przyjaciół Nauk w Warszawie. (Dwa tomy). Nie znam dzieła, któreby równie wielki i stanowczy a zbawienny wpływ wywarło, nad Historją literatury Bentkowskiego. Oddało ono nieocenione usługi dla literatury ojczyźnej, obudzając z letargu umysły, i zachęcając do poszukiwań zabytków literackich z upłynionej przeszłości. Z pojawieniem się dzieła Bentkowskiego, występują nowe w naszej społeczności postacie bibliomanów, którzy odrazu za cel życia swego wzięli, zbieranie starych książek polskich i łacińskich do literatury naszej należących.

Liczne grono amatorów, w tym kierunku, zaczęło częściej stawać przed kramami przy kościołach, na których rozkładane były książki, i zaglądać do składów antykwaryuszów żydowskich.

Na kramach, pomiędzy nabożnemi bywały i inne dzieła, które z podróży po kraju w czasie jarmarków i odpustów odbywaną, kramarze za bezcen nabywali i przywozili do Warszawy.

Zapał do gockich druków naraz się objawił, który do znakomitych doszedł rozmiarów. Antykwaryusze dotąd niezwracający uwagi na stare księgi, poczęli pilnie śledzić gockie druki.

W Warszawie, ze wszystkich antykwaryuszów trudniących się handlem książek, najwziętszym i najstawniejszym po rok 1830, był żyd Gecel Salzstein mieszkający przy ulicy Mariensztat, w domu środkowym, który dzieli dwie ulice idące ku Wiśle, na pierwszym piętrze.

Szczególniejszy był to człowiek, bo nieumiejący czytać, handlował książkami, i znał się gruntownie na ich wartości.

W owe czasy *gockie* druki, lubo miały już ustaloną sławę, nie były przecież rzadkością taką jak dzisiaj. Gecel znał na pamięć imiona sławniejszych pisarzy polskich z dawniejszych wieków, inne *gockie* druki wrodzonym odgadywał instynktem.

Cała młodzież warszawska, ze szkół i uniwersytetu znała go dobrze; tam na wielką skalę odbywały się kupno i sprzedaż, handel książkami szkolnymi; tam każdy z literatów zachodził, w pewności że żądane dzieło wynajdzie.

Ileżto *białych kruków*, jak zwano osobliwości bibliograficzne, nie przemknęło się przez ręce Gecla? Pierwotne wydania kronik polskich: Bielskiego, Strykowskiego, Gwagnina, Kromera i łacińskich w licznych egzemplarzach. Pisma Reja, Paprockiego, pierwsze wydania Jana Kochanowskiego i Piotra, *Jerozolimy wyzwolonej* Tassa przekład, pisma Ł. Góreckiego, *Kazania Skargi*, Birkowskiego i w. i. a co broszur rzadkich i rękopismów nawet. Był to bowiem czas, w którym za pobudką Bentkowskiego, płynęły do niego te zabytki ze wszystkich stron kraju i zawsze były nieprzebrane.

Pamiętam dobrze postać tego antykwaryusza. Dobrego wzrostu i tuszy, lubo nie był otyły, miał szlachetne i dorodne oblicze; brunet, oczy czarne, pełne życia i ognia: broda czarnej kruczej barwy. Kiedyś go po kilkunastu latach niewidzenia zobaczył, ażem się cofnął z podziwienia, nieujrzawszy na nim najmniejszego śladu zmiany. Nie przybyła mu żadna zmarszczka na obliczu, ani jeden włos siwy, a było to już wtedy po utracie majątku, który zebrał na *gockich* drukach. Gecel, zgromadziwszy z tego handlu niemałą sumę, stracił ją później w r. 1831, założywszy fabrykę luster: w tedy przeniósłszy się z Mariensztatu na Franciszkańską ulicę, wrócił się znowu do handlu książek; ale już złote dawne czasy dla niego minęły. Umarł w r. 1841, poświęcam mu w tych wspomnieniach ustęp większy, bo w jego ręku był największy handel księgarski: nikt z nas nie zaglądał do księgarni, każdy od nich stronił, wszyscy biegli do Gecla czy w chęci kupna, zbycia lub zamiany. Za jego pośrednictwem powstało wiele prywatnych bibliotek, a młodzież zapoznawała się z zabytkami literatury starożytniej polskiej.

Mało kto wówczas do księgarni zaglądał: Gecel i stragany pod kościołami, to były nasze księgarnie. Przy kościele księży Pijarów na Długiej ulicy, miał Nowolecki stragan z książkami: on sam niewiele miał o nich wyobrażenia, ale żona jego lepij się znała na handlu księgarskim. Tu, wszyscy pijarzyści skupowali książki, ztąd układali pierwsze swoje biblioteczki. Z tego straganu poznałem Krasickiego, *Bania-lukę* i *Rinaldiniego* powieść, która tak zapalała młodą wyobraźnię. Przy pełnych czułości powiastkach *Floryana* i t. p. francuzkich, *Rinaldini* porywał duszę. Tu poznaliśmy *Cierpienia młodego Wertera* Goetego, *Nierozsądne śluby* Bernatowicza, *Julię* i *Adolfa* Kropińskiego, a w ostatku pierwsze wydanie w dwu maleńkich tomikach wydane w Wilnie *Poezyi A. Mickiewicza*.

Bibliograf Kozłowski od czasu do czasu ogłaszał licytacje na stare druki *gockie*, ale ceny wysokie nie bardzo do niego wabiły.

Zapał w zbieraniu pomników starożytniej literatury nie ustawał na chwilę, zwiększało się też grono poważnych bibliomanów. Ceny gockich druków coraz więcej wzrastać zaczęły. Kilku wszakże amatorom, udało się gdy się wcześniej krzątać zaczęli, zebrać śliczne księgozbiory, z samych najrzadszych zabytków starożytniej literatury i to za bezcen. Znaleźli się wtedy i zręczni faksymiliści, którzy do niepoznania braki i usterki w *gockich* drukach, umieli aż do złudzenia najbłęjszego znawcę i badacza wypełniać. Wybornie przyrządzali papier, dobierali tuszu odpowiedniego staremu drukowi; dopisując wprawna ręką tytuły, całe stronnice i dopełniali naddarte karty.

U zapalonych zbieraczy tego rodzaju pamiątek *Literatura Bentkowskiego* leżała zawsze roztwarta na stole. Cóżto była dla każdego z nich radość, jeżeli który złowił co takiego ze starych gockich druków, o czym Bentkowski nie wspomniał, albo wspominając, powiedział że sam tego nie widział.

Zapał ten do zbierania starych książek w szął nieraz przechodził; ludzie ci uniesieni szlachetną żądzą, jakkolwiek sami nieużyli do udzielenia zdobytych skarbów, uchronili mnóstwo dzieł ważnych od zatraty, na którą były wystawione, przez zaniedbanie i nieznamość rzeczy.

Znalazły się i takie druki, na które daremnie sam Załuski polował: znalazło się wiele i takich, które pierwszy raz dopiero poznano.

Antykwaryusze rozbiegali się po całym kraju. Ze strychów, poddasza i lamusów dworców szlachty, równie jak mieszczańskich; w resztkach starych bibliotek, w archiwach familijnych, znajdowano osobliwości bibliograficzne.

Tak uratowano wiele druków Macieja Wirzbięty, jednego z najslawniejszych drukarzy polskich w Krakowie, którego wydania odznaczały się prześliznym drukiem gockim i najdoskonalszą korektą. Znalazły się prawie wszystkie pisma Reya, Paprockiego, Marcina Bielskiego broszury, druki Rakowskie, które fanatyzm drugiej połowy XVII wieku, na stosach wypalił.

Zamiłowanie to do pamiątek dawniej literatury, oddziało na kraj cały: po dworach i dworcach mniej nawet zamożnej szlachty, zaczęto je więcej szanować.

Powstało w tym okresie kilka zbiorów bardzo szacownych: z pomiędzy wielu dość wspomnieć referendarza Chyliczkowskiego i Konstantego Swidzińskiego. Potrafili oni zebrać niestychane rzadkości, prawdziwe skarby literatury starożytniej.

Dzielo Bentkowskiego równie wielki wpływ wywarło na Tytusa hr. Działyńskiego. Miłośnik koni, mało cenil książki: po odczytaniu *Historji literatury*, obudził się w nim szczególny zapał do zbierania zabytków literatury krajowej. Odtąd (jak mi sam mówił) chwili jednej nie stracił w zgromadzaniu coraz nowych nabytków. Pracą też usilną,

zabiegami i hojnym groszem, zebrał jeden z najzamożniejszych księgozbiorów, jakie mamy na całym obszarze dawniej Rzeczypospolitej, który pomieścić w oddzielnym, umyślnie potemu zbudowanym gmachu, w dobrach swoich Kórniku.

Młodsze pokolenie nieobojętne było na to zamiłowanie starszyny. Każdy z oddanych pracy literackiej, zdobywał także mniejszemi środkami sbarby dawniejszego piśmiennictwa; ale w tém się różnili, od zapalonych zbieraczy, że każdą zdobycz swoją czytali, studyowali pilnie, tak pod względem języka, jak treści i wartości utworu.

Wzbogacała się coraz nasza bibliografia, a nawet rzecz można przeradzała się zwolna. Młodszy pisarze, w cichości pracujący, których imion nikt wówczas nie znał, dali dopiero bibliografii obszerniejsze rozmiary ¹⁾.

Po dokładnem przepisaniu tytułu, z uwagą na format, miejsce druku, ilość kart, sygnatur i arkuszy, opisem dokładnym drzeworytów, gdzie były, dawali zarazem treść samej książki, z piękniejszemi wyjątkami i wykazaniem szczególnych wyrażen, dobitnych a malowniczych, języka ojczystego.

Zwrot ten ku starożytniej literaturze, był szczęśliwą wróżbą na przyszłość, bo pokazywał troskliwość o język narodowy. Zwrócono uwagę, że jakkolwiek już był znacznie oczyszczony z cudzoziemskich wyrazów, jakkolwiek potoczysty i niemało harmonijny, niemiał owęj potęgi, jakowe znajdowaliśmy w dziełach starych naszych pisarzy ²⁾.

Jeden z potężniejszych myślicieli, krytyk i historyk późniejszy, Maurycy Mochnecki, zaczął szczególnie pracować nad udoskonaleniem stylu i języka własnego. Nie dosyć, że pilnie rozczytywał Reja, Jana Kochanowskiego, Łukasza Górnickiego, Cypryana Bazylika, Marcina Bielskiego i Skargę, ale wszystkie silne zwroty mowy, dosadniejsze wyrażenia i poetyczne, wypisywał i uczył się napamięć.

Nieraz go nad tą pracą zastawałem w głębokiém zadumaniu.

— Kiedy czytam te piękne utwory Zygmunrowskich czasów (mówię do mnie), dziwię się i korzę przed potęgą języka. Ci ludzie, mowę potoczną, dopiero brali pod pióro, nieraz tworzyli nowe wyrazy, bo za brakło im często słowa, do oddania myśli: a jakażto prostota, jasność, dobitność, jaki wdzięk, moc i siła! To uczyć się nam, uczyć, i uczyć tylko jak zakom obcego języka, należy. Ot! napisałem rozprawę, niby to dobrym językiem, stylem, jak mówią Sniadeckich, ale przeczytaj: są myśli nowe, niebraknie zapału i wątku; ale czyż nasz język dzisiejszy

¹⁾ *Biblioteka Warszawska* w pierwszych latach swego istnienia, takiej bibliografii dała nam wzorów niemało (od r. 1841 do 1845).

²⁾ Stanisław Jachowicz *opiekun sierot* i słynny bajkopis dla dlatwy, znał zbliska wszystkich naszych bibliomanów, i w pierwszych początkach po przybyciu z Galicyi do Warszawy, sam należał do zapalonych zbieraczy *gockich* druków. Za jego pośrednictwem poznałem przekłady Cypryana Bazylika, jednego z najpierwszych prozaików okresu ostatnich Jagiellonów.

odpowiada zupełnie temu zadaniu? Popodkreślałem wydatniejsze moje wyrażenia, a u góry masz w ich miejsce wybrane z Reja, Bazylika, Górnickiego i Skargi. Ileż one nie dodały pracy mojej barwy, uroku i świeżości. Taką drogą teraz idę, aby się nauczyć dobrze pisać po polsku.

— Nie widzę (odrzekłem) nic tu z Kochanowskiego, i pojmuję. Nasi młodszy poeci powinni go studyować ciągle i usilnie: ma on piękności oddzielne, których żaden współczesny niema prozaik. Mistrz téż to co do poezyi, ale w prozie słabszy od wielu!

Tak nie jeden z równoczesnych Mochmackiemu pracował, badał stary język, lubował się jego pięknosciami i siłą: starał się na starych pisarzach, styl swój udoskonalać i wyrabiać.

Dziś owoce tego zapału ku *gockim drukom* i badań nad staremi pomnikami piśmiennictwa ojczyzstego już literatura nasza coraz obficieź zbiera.

We dwa lata po wydaniu *Historji literatury polskiej* Bentkowskiego, chlubiącej się tak ogromnym wpływem na naszą społeczność, ogłosił drukiem mecenas sądu najwyższej instancyi, Tomasz Świącki: Opis starożytnéj Polski 1816 r., w dwu tomach.

Pracował nad nim przez lat wiele i wykończywszy, księgarzom Zawadzkiemu i Węckiemu oddał darmo, z warunkiem otrzymania stu egzemplarzy bezpłatnych.

Praca ta dorazu zwróciła oczy wszystkich myślących na siebie. Bentkowski pokazywał narodowi jego dawne, zapomniane skarby umysłowości; Świącki w jednym obrazie przedstawił wielkość, obszary i potęgę polityczną dawnéj Rzeczypospolitéj.

Szczególne zdarzenie podało mu myśl do napisania tego dzieła.

Na początku 1810 r., przypadkiem u Włocha sprzedającego ryciny, znalazł na jednym arkuszu *pawilony* okrętowe wszystkich narodów, a między temi z wielką radością spostrzegł banderę królów polskich i Rzeczypospolitéj. Pochwyciwszy ten ślad, z całym zapałem rozpoczął poszukiwania w dziejach i zaraz w sierpniu tegoż roku odbył umyślną wycieczkę do Gdańska.

Gdańsk zajmowało wówczas wojsko polskie. Widok morza Bałtyckiego, pomniki Oliwy, zabytki w samym Gdańsku, zachwyciły naszego badacza i wielkie przyniosły do zamierzonej pracy owoce. Z nabytkiem wielu dzieł i mapy Zanoniego, wrócił do Warszawy i w następnym roku wydał broszurę: *O ziemi Pomorskiej, panowaniu i żegludze Polaków na morzu Bałtyckim* (Warszawa, w drukarni Wiktora Dąbrowskiego, 1811 r.), załączając rysunki bandery królewskiej i narodowej. Rozprawę tę następnie całkowicie wcielił do opisu *Starożytnéj Polski*.

Świącki należał do starych jeszcze *polonusów*, z ostatnich lat panowania Stanisława Augusta. Liczył rok 22 życia, kiedy ostatni przyszedł rozbiór kraju. W r. 1794 miał udział w polu.

Opis *Starożytnej Polski* w 800 egzemplarzach odbity, w ciągu kilku lat wyczerpanym został z handlu księgarskiego. Po sześciu latach egzemplarz doszedł do poczwórnej od pierwiastkowej ceny katalogowej, bo Świącki nie kwapił się z wydaniem drugim, pracując ciągle nad uzupełnieniem i poprawą usterków. W r. 1828 ogłosił drugą edycję, która jeszcze prędkiej rozkupioną została.

Kiedy myśl i uwagę Świącki zwrócił na zachowanie w pamięci wielkiej przeszłości polskiej, od téj pory zaczęto się zajmować zbadaniem ziemi własnej i przywiązanych do nich wspomnień i tradycji. Potrzeba było, jak się pokazało, poruszyć tylko z uspienia zadumanych i wskazać im cel tak ważny, a zaraz w każdym kierunku znalazło się grono licznych pracowników.

Pierwszy, który poszedł w ślady Świąckiego, był Hipolit Gawarecki studiując *Stare Mazowsze*. Zaraz téż we wszystkich pismach czasowych, zaczęły się ukazywać opisy różnych stron i okolic dawnej Polski.

Świąckiemu należy się piękna zasługa, że w tym kierunku obudził poczucie narodowe i zachęcił dobrze własnym przykładem.

We dwa lata po wydaniu *Opisu starożytnej Polski*, w *Cwiczeniach Naukowych* 1818 r., ogłosił rozprawę swoją Czarnocki pod przybranym pseudonimem „Zoryana Dołęgi Chodakowskiego,” p. n.: *O Słowiańszczyźnie przed Chrześcijaństwem*. Szczupła ta co do rozmiarów swoich rozprawka, ze szczególnym zapałem przez młodzież czytana i rozchwytywana była. Pełna nowych myśli, nowego poglądu, pokazując w zapadłej mgle wieków przedchrześcijańskie czasy, tak malowniczo i poetycznie, oddziałała silnie na młode umysły.

Pierwszy raz dowiedzieliśmy się o Słowiańszczyźnie tak poważnej, że jej wierne odbicie znaleźć jeszcze można pomiędzy ludem, że wiele jego obrzędów i obchodów, pieśni i obyczajów, sięga niewątpliwie przedchrześcijańskiej doby.

Zoryan inaczej od innych czytał Reja i stare herbarze: umiał je objaśniać, wykazywał w dawnych dziełach wyraźne zabytki bałwochwalstwa, przytaczał ustępy ze słowiańskim tekstem ruskich pisarzy; przeglądał dyplomata, wskazywał źródło i miejsca, gdzie poszukiwania skierować potrzeba, ażeby odgrzebywać ślady zatracone przedchrześcijańskich czasów. Wszystko zaś odnosił do ludowych pieśni, podań i obrzędów, stosując swój wykład z wielką trafnością.

Wyrzut, zrobiony przez Zoryana Janowi Kochanowskiemu, był bodźcem dla wielu, że rzucili się do zbierania ludowych pieśni.

„Czego niepomału żałować trzeba (powiedział Zoryan), że w Czechach za Karola IV, a w Polsce za wieku Zygmunatów, przychylnym dla nauk i mowy ojczystej, w wieku nie tak pogorszonej zagrody wieśniaka, nie pomyślano o zbiorze całkowitym pieśni gminnych. Do podziwienia, że Jan Kochanowski wiele pięknej prostoty przynosząc do swoich rymów, nie wpadł na myśl podobną: ona tuż za nim stała. Onaby u Zygmunta Augusta otrzymała hojne wsparcie i stałaby się godnym

tamtego wieku upominkiem, oszczędziłoby się nam przez to czasu i pracy tém trudniejszej.”

Zapomniał dodać, że przez ciąg czterech stuleci i pogorszonej doli zagrody wieśniaczęj, mnóstwo drogich zabytków w pieśniach, obrzędach i podaniach ludowych zaginęło do szczytu.

Zapał, który w młode serca Zoryan przelał, wkrótce wydał najpiękniejsze owoce. Kilku z młodzieży ruszyło w różne strony kraju, dla zbadania tych pamiątek. Inni uproszeni, aby w swéj okolicy badania w tych rzeczach rozwinęli: wielu zarzuciwszy tłumoczek na plecy, z koszturą w ręku, przebiegali kraj w różnych kierunkach. Marzyli o odkryciu historycznych pieśni, rycerskich rapsodów, a chociaż omyleni zostali w swoich nadziejach, bogate przecież zebrały się plony.

Odkryto wiele pieśni obrzędowych, które niewątpliwie sięgały czasów bałwochwalczych, poznano dokładnie obrzędy weselne, które przyjąwszy barwę chrześcijańską w szczegółach swoich, przeszły nieknięte z pogańskich wieków. Spisano wiele podań i powieści ludowych, a zarazem przysłów i przypowieści *w żywém słowie* przechowanych. Słowem, poznano jeżeli niezupełnie, to w głównych chociaż rysach *literaturę niepiśmienną ludu*. Wkrótce téż przyznano jéj poczesne miejsce w *Historji literatury polskiej*, jako stanowiącej pierwszy okres dziejów piśmiennictwa krajowego.

Badania te przyniosły jeszcze ważniejsze następstwa, bo wywołały poraz pierwszy myśl *obywatelstwa ludowego*, która w herbowych powijakach skrepowana, zdawała się martwą mumią. Ale ta myśl miała nieśmiertelne życie i razem z pieśnią ludową, jak jaskółka umorzona w wodzie przez zimę, z ciepłą wiosną, z wiosną swobody ducha odżyła i do lotu się zerwała.

Tak w ciągu sześciu lat idących: Bentkowski, Święcki i Zoryan, w trzech oddzielnych kierunkach, a harmonijnych z sobą, rozbudzili zapał w młodem pokoleniu do skarbów starożytnéj literatury, poznania przeszłości własnéj ziemi, zbadania skarbów umysłowości z pod wiejskiéj strzechy i poszanowania własnego ludu.

W tych czasach skromny, w cichości a zebraniu ducha pracujący Kazimierz Brodziński, głęboko pomyślanemi estetycznemi rozprawami, zarówno jak własnemi poezjami, podążał i rozwijał te kierunki.

Wśród obudzonego współcześnie z rozwojem prasy peryodycznéj ruchu wydawnictwa książek, na rok przed pojawieniem się *Tygodnika Polskiego*, wyszły w dwu tomach *Pisma Konstantego Tyminieckiego*, Sieradzanina. Skromny pracownik, mało znany za życia ogółowi, przez bliżéj go znających literatów wysoko ceniony, został mianowany członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Urodził się w Ligocie, dawném województwie Sieradzkiém, z ojca Seweryna miecznika sieradzkiego i Anny Szczepkowskiej, w r. 1767. Po ukończeniu szkół w Wieluniu, ojciec przeznaczył do stanu duchownego i w tym celu wysłał go do Krakowa; ale młody Konstanty niemając żadnego powołania do tego stanu, jako wielki miłośnik literatury korzystał z dobrej sposo-

ności i na uniwersytecie Jagiellońskim z młodzieńczym zapałem oddał się nauce. Trafił właśnie szczęśliwie, gdy tę *Alma Mater* przekształcił na uniwersytet Krakowski, przy pomocy Izby edukacyjnej Hugo Kołłątaj i zrobił go prawdziwą wyższą instytucją naukową, odpowiadającą potrzebom czasu i postępowi.

Ojciec obrażony, że życzeń jego nie spełnił, zapragnął widzieć go żołnierzem. Teraz syn posłuszny, wszedł do pułku gwardyi koronnej. Pobyt w Warszawie zbliżył go do głośnych w owe czasy pisarzy, jak: Naruszewicza, Trembeckiego, Fr. Dmochowskiego i w. i. Młody żołnierz przylgnął całą duszą do Onufrego Kopczyńskiego, twórcy uwiecznionej *Gramatyki narodowej*, dopomagał mu przy układaniu i porządkowaniu sławnej biblioteki Załuskich. W r. 1794, Tyminiecki wyszedł w pole w stopniu kapitana i pod Słonimem nie tylko złożył dowody nieustraszonej odwagi, ale walczący korpus ocalał od kłeski. Kościuszko posunął go na stopień majora i udarował złotym pierścieniem, jakie wówczas rozdawał w miejsce krzyżów. Wróciwszy do rodzinnego gniazda, poświęcał czas całej pracy gospodarstwa wiejskiego, usługom obywatelskim i ulubionej literaturze. Opiekun włościan, dbał o ich potrzeby, czuwał nad ich dolą, bronił od niedostatku i głodu na *przednówkach*, założył szkółkę, sam nią dozorował i zachęcał młodzież wiejską do nauki.

W czasach istnienia Księstwa Warszawskiego, wezwany najprzód do Izby administracyjnej w Warszawie, następnie na radcę departamentu kaliskiego; wszędzie czynny, przezorny, gorliwy, sprawił się jak na prawego obywatela przystało.

Zacny ten obywatel i pisarz zdolny, umarł w sile męskiego wieku, licząc 37 rok życia; pochowany w pobliskim miasteczku Burzeninie. Szacunek powszechny, jaki sobie za życia zjednął, spowodował, że grono jego wielbicieli, czcząc pamięć szlachetnego człowieka, wystawiło mu nagrobek z tym napisem:

Konstantemu Tyminieckiemu, jako walecznemu żołnierzowi, gorliwemu urzędnikowi, uczonemu mężowi, opiekunowi włościan, najlepszemu przyjacielowi, położyli ten pomnik wierni przyjaciele.

Jeden z tego grona przyjaciół, sam zdolny pisarz, członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Michał Wyszkowski, wiedząc o literackich pracach Tyminieckiego, wy dobył rękopisma i drukiem ogłosił, własnym nakładem 1817 r., w dwu tomach.

Zbiór cały składa się przeważnie z samych tłumaczeń. Tom pierwszy obejmuje poemata: *Ossyana, Oitona, Karton, Pieśni Selmy*; i trzy epizody: *Brassolis, Galwina, Minwana*.

Okres, w którym żył Tyminiecki, wielbił szczególnie *Ossyana*. Kniaźnin przekładał je wierszem rymowym i miarowym. Krasicki poszedł za tym popędem: tłumaczył *Minwanę* i *Pieśni Selmy*, które także i Tyminiecki przełożył. Ta różnica zachodzi, że ostatni tłumaczył z oryginału angielskiego, gdy Krasicki z tłumaczenia francuzkiego. W tym tomie następunie znajdujemy przekład *Lata*, z poematu

Tompsona: *Cztery pory roku*, i dwie komedye Publiusza Terencyusza: *Dziewczyna z Andros* i komedya *Swiekra*, poprzedzone wstępem: *O postępie sztuki teatralnej w Rzymie*, oraz wiadomość o życiu Terencyusza. Tom drugi obejmuje resztę komedyi tego pisarza, jak: *Bracia Formion, Rzeźaniec, I sam siebie karzący*.

W tym okresie, gdy na jeden utwór rzucało się po kilku tłumaczy, nie mogąc sobie znaleźć nowego wzoru do przekładu; tak trzech tłumaczyło *Enejdę*, trzech *Henryadę* Woltera: Tyminiecki ma tę zasługę, że wybrał sobie autora rzymskiego, nieznanego ogółowi i obznajmił ogół tak ze starożytnym teatrem, jak i utworami Terencyusza.

Dopełniają tego tomu przekłady z Cycerona: *Leliusz* czyli *rozmowa o przyjaźni* i drobnych kilka wierszy z Delilla i Poppa.

Tłumaczenia Tyminieckiego zalecają się oprócz wierności z oryginałem, gładkim wierszem i pięknym językiem. Dziś jeszcze czytać je można z przyjemnością. Usługę niemałą téż tłumacz zrobił dla młodzieży z wydziału filologicznego uniwersytetu Warszawskiego, który założony został 7 listopada 1816 r.

Sześć lat ubiegłych od 1816—1821 r., coraz żywszy ruch umysłowy w Warszawie obudzało. Liczne grono młodzieży uczęszczającej na uniwersytet, pomnażało liczbę zwolenników polskich książek; za pośrednictwem téj inteligentnej młodzieży, smak i gust do literatury coraz się rozszerzał. Każde ważniejsze dzieło nabierało zaraz chlubnego odgłosu, obudzając ciekawość do przeczytania.

Rok 1818 był szczególniej bogaty w objawy rozbudzonego życia literackiego. Oprócz wydawnictwa Kicińskiego, *Tygodnika*, przedstawiono pierwszy raz jedną z najpiękniejszych klasycznych tragedyi: *Barbarę Radziwiłłównę*, napisaną przez Aloizego Felińskiego.

Zapał publiczności, z jakim ten utwór na scenie narodowej przyjęła, prawie w szal przechodził. Uniesienie i pochwały nie miały granic. Zapomniano tragedyi téjże treści i tytułu Franciszka Wężyka, która za czasów Księstwa Warszawskiego wywoływała grzmot oklasków. *Barbara* i Feliński był na ustach każdego; o tym dramacie tylko mówiono, przypomniano sobie sceny i ustępy niektóre.

W tymże roku ukazał się znakomity poemat Jana Pawła Woronicza: *Sybilla*. Ten niemniej stał się celem uwielbień i podziwu. Od dawna mówiono na ucho, że Woronicz ma ten utwór gotowy, ale go nie chce drukować. Jeden z jego przyjaciół przepisaawszy go starannie, wydał w r. 1818 wraz ze sztychowaną *Sybillą* w Puławach, a zamiast przypisania komu, te tylko jako wydawca wydrukował słowa: *I odpuść nam nasze winy!* jako jego przeprosiny, że bez zezwolenia poety wydał na świat ten utwór.

Wiadomo, że księżna Izabella z Flemingów Czartoryska, żona generała Ziemi podolskich, zbierane starannie pamiątki historyczne polskie, w pysznym ogrodzie, na wzgórku wymurowawszy świątynię *Sybille*, w niej przechowywała. Woronicz szczęśliwą myślą wiedziony, tę Sybillę wziął za treść i osnowę swego poematu, i znakomicie się

ze swego zadania wywiązał. Materiał miał bogaty, bo całą księgę dziejów swego narodu, blisko dziesięć wiekową. Kapłan-poeta rozboleła niedolą kraju, świadek jego rozbioru ostatniego i upadku, z goryczą, a więcej z miłością zwraca się do ubiegłej przeszłości, z której okruchy oglądał, zebrane starannie w Puławach. Woronicz zaprawiony na pisarzach XVI stulecia, dzielnie jędrnym staropolskim władał językiem i takim napisał swoją Sybillę.

Wydanie całe Sybilli wprędce rozchwymano: cześć i uwielbienie dla Woronicza wzrosło w całym narodzie, do tego stopnia, że gdy w zaciętej walce romantyków z klasykami, pierwsi nikogo z sędziwych pisarzy nieposzanowali, o Woroniczu i J. U. Niemcewiczu zawsze z należąca czią wspomniano. O te dwie poważne postacie, kruszyły się zajadłe pióra młodych romantyków.

Jakśmy powyżej już wspomnieli, że *Tygodnik polski i zagraniczny* Br. Kicińskiego w roku 1821 zmienił swój tytuł na *Wandę tygodnik polski, płci pięknej i literaturze poświęconej*."

Kiciński opuściwszy Warszawę, lubo pracami swemi poetycznemi wspierał także *Wandę*, ale cały trud wydawnictwa i redakcyę złożył w ręce Franciszka *Salczego Dmochowskiego*, syna tłumacza *Iljady*. Ten obdarzony niesłychaną pamięcią, łatwy wersyfikator, po skończeniu nauk w kolegium księży Pijarów w Warszawie do 1821 r. uczęszczał do uniwersytetu Warszawskiego na wydział prawny i nauk pięknych. Od r. 1820 był nauczycielem języka polskiego w Liceum Warszawskiem, pierwsze próby pióra umieszczał w *Tygodniku Polskim* już w r. 1819; był to przekład poematu *Legoweg'o* np. *Wspomnienia*, w którym tłumacz, wspomnienia z wojny francuzkiej zręcznie narodowemi zastąpił. To go zbliżyło do Kicińskiego, który trafnie oceniwszy talent, rzutność i energią w Dmochowskim, powierzył jego opiece *Wandę*. Przybrał on sobie do pomocy Dominika Lisieckiego i wprowadził dwa nowe działy: *Wspomnienia narodowe*, i obszerniejszych rozmiarów krytyki i rozbiory, tak dzieł wychodzących jak i przedstawianych sztuk na scenie narodowej. Tak ostrą krytykę pomieścił tragedji Ignacego Humnickiego: *Żółkiewskiego pod Cecorą*, którą publiczność Warszawska, z wielkim zapałem oklaskiwała.

W r. 1821 przełożył Dmochowski i dał na scenę tłumaczenie Rasyna *Andromkę*, współzawodnicząc w tej pracy ze znakomitym poetą Franciszkiem Morawskim. On pierwszy dał zarazem poznać poezye Lamartina, przełożywszy jego wiersz filozoficzno-religijny; *Niesmiertelność* i elegjią: *Dumania poety*.

Zajmując się redakcyą *Wandy* pomieścił w niej przekład swój głośnego podówczas romansu d'Arlinkura *Samotnik*, który lubo grzeszy przesadą, aż do śmieszności nieraz posuniętą, jednakże rozbudził czytelników, znudzonych i uspiionych utworami ówczesnej szkoły francuzko-klasycyznej.

F. S. Dmochowski raz wstąpiwszy w ślady Br. Kicińskiego, nie tylko że wpływał przeważnie na podtrzymanie i rozwój prasy peryodycznej ale rozszerzył sferę działań.

Kiedy wydawnictwo *Wandy* przerwaniem zostało, ogłosił sam publikacją p. n. *Biblioteka polska, pamiętnik umiejętnościom, historii, literaturze i rzeczom krajowym poświęcony*. Miała ona zastąpić Pamiętnik Warszawski, który upadł bez nadziei zmartwychwstania; w *Bibliotece Polskiej* zamieścił najpierwsze sprawozdanie o poezjach Mickiewicza i o *Maryi* Malczeskiego. Mickiewiczowi hołd należny oddał, o *Maryi* wyraził się oziębłej i wytknął kilkanaście wyrażen niezgodnych z klasyczną czystością stylu. Obie te krytyki wywołały później gromy na Dmochowskiego, tak samego Mickiewicza jak i jego naśladowców.

Po wydaniu siedmiu tomów *Biblioteki Polskiej*, objął redakcją *Gazety Korespondenta Warszawskiego* i prowadził do 1 lipca 1829 r.; oprócz artykułów treści politycznej: *Dodatek* arkuszowy co tydzień wychodzący p. n. *Rozmaitości*, obok tłumaczeń miewał i oryginalne, jak pierwsze próby pióra Zygmunta Krasińskiego. W tej epoce umyślił rozbudzić chęć do czytania w naszej społeczności, przez zniesienie ceny książek, i wydawanie tanich, które treścią zajmującą i wartością literacką zwracałyby uwagę czytelników. Jednocześnie więc rozpoczął tłumaczenie powieści historycznych Walter-Skotta i zbiorowych wydania naszych znakomitszych pisarzy: na tom powieści nazaczył cenę dwóch złotych polskich. Pożyteczny zamiar się udał, powieści Walter-Skotta drukowane w 1500 egzemplarzach, w ciągu lat trzech rozkupiono 1300.

Obok tego wziął się do przedruków dzieł znanych. Tak w taniej edycji dał *Żywoty sławnych Polaków*, *Iliadę* Homera i *Enejdę* w przekładzie swego ojca; wydał zbiór pism własnych wiele, dla młodocianego wieku. Najwięcej drukował powieści Pawła de Kock'a, Vanderwelda, Bulwera, Balzaka, Dumasa (ojca) i tém utrzymywał współrodaków w ciągłej ciekawości, którzy ohotnie brali się do czytania. Tu właśnie leży przewaga zasługi F. S. Dmochowskiego rozszerzeniem kola czytelników polskich książek.

Zamierzywszy uzupełnić *Wybór pisarzy polskich*, T. Mostowskiego p. t. *Biblioteka narodowa*, wydał *Dziela Kniaźnina*, najzupełniejsze w zbiorowej edycji w VII tomach, i *Dziela Fr. Zablockiego* w VI tomach, których rękopisma przechowywały się w bogatej bibliotece Puławskiej; wydał nadto zbiór pism drobniejszych Fr. Dmochowskiego tłumacza *Iliady*, które w rozproszeniu mogłyby zaginąć, a są ciekawe i zajmujące do historii literatury XVIII wieku i pierwszych lat naszego stulecia.

Zgromadziwszy znaczną liczbę swoich nakładów, w r. 1829 założył własną księgarnię nieprzystając działalności swojej ¹⁾.

1) Drugą księgarnię założył w Radomiu, miał własną drukarnią i w niej nakłady swoje drukował. W r. 1830 uczynił próbę rozwożenia książ-

Kiedy z początku gonitwa romantyków z klasykami, ograniczała się w skromnych szrankach turniejowych, nagle i niespodzianie zmieniła się niemal w krwawą a zaciętą walkę; wielu za pierwszego chorążego i rotmistrza przedniej straży obozu klasyków, ogłosiło Fr. S. Dmochowskiego. Wieść ta fałszywa, dobiegła Mickiewicza, który zarządził na tę wiadomość. To też Jowiszowe gromy rzucił na jego głowę w sławnej swęj rozprawie: *O krytykach i recenzentach warszawskich*, przy drugim wydaniu poezyi swoich w Petersburgu 1829 r., którą na czele pomieścić.

żek po miasteczkach i wioskach, uzyskawszy od komisji rządowej przychodów i skarbu zwolnienie od formalności, które taki handel niemożliwym czyniły. Wysłał w styczniu i lutym 1830 r. komisarza z książkami w Radomskie i Krakowskie. Odbyt był dość znaczny, lecz koszta utrzymania koni i ludzi wynosiły trzecią część wpływu, t. j. zwykły rabat księgarski. Próba ta nie miała dalszego rozwinięcia. W r. 1839 sprzedał drukarnią, w r. 1842 księgarnią i zamieszkał w powiecie Lipnowskim, w majątności dość obszerniej, ale przywiedzionej do zupełnego upadku przez dawniejszych dziedziców; podźwignięciu tego gospodarstwa poświęcił czternaście lat życia. W r. 1856 osiadł znowu w Warszawie, wziął najprzód znaczny udział w redakcyi *Gazety Codziennęj*, a następnie nabył na własność *Kronikę wiadomości krajowych i zagranicznych*, która po upadku *Dziennika Warszawskiego*, założonego przez Henryka hr. Rzewuskiego na jego zgliszczu powstała. Kiedy w kilka miesięcy *Gazetę Codzienną* nabył bankier warszawski Leopold Kronenberg i postawił na czele J. I. Kraszewskiego z popularnym i ulubionym imieniem, takiego współzawodnictwa wytrzymać nie mógł, jakkolwiek doświadczony publicysta. Nigdy więc gorliwej pracy nie dokładał, ale te wysiłki jego były daremne. Po bezużytecznej walce, przedsiębiorstwo *Kroniki* z niemalą stratą odstąpił w inne ręce, w których prędko upadła.

Lepiej mu się powiodło wydawnictwo *Muzeum Domowego*, które prowadził od 1835—1839 r. Pismo to było na owe czasy ilustracją, ale przy pomocy klisz z zagranicy sprowadzanych; nie mieliśmy albowiem ani zdolnych rysowników na drzewie, ani też rytowników. Miał kłopotu co niemiarą, ale wytrwał na swém stanowisku przez lat pięć i po wydaniu siedmiu tomów tego czasopisma dopiero go zamknął. Wydawnictwem *Muzeum Domowego* niemałe oddał społeczności naszej zasługi, gdyż wychodziło w czasie największej posuchy literackiej i umysły dopiero po przebytej burzy orzeźwiać się poczęły.

Wogóle Dmochowski przez ciąg swęj działalności na literackim polu, wydał do 300 tomów rozmaitej treści. Najważniejszymi z nich są: *Wspomnienia od roku 1806—1830*, w których dał nam zajmujący obraz czasów Księstwa Warszawskiego: wiele szczegółów z pobytu swego na uniwersytecie Warszawskim, oraz opis działalności tak własnej w zawodzie piśmienniczym, jak i ówczesnych literatów.

Kto nie żył w owych czasach w świecie literackim i nie był świadkiem tej gorącej walki klasyków z romantykami, ten nie może mieć wyobrażenia, jak potężny wpływ duchowy wywarła pomieniona rozprawa. W dwóch tych obozach jakże osobliwe pojawiły się zjawiska; w starym: gniew i oburzenie, a po nich osłupiałość; w młodych: nieopisany zapał i uniesienie, wraz z obudzoną myślą wzdardy dla wszystkiego, co tylko miało jakąkolwiek powagę i najznakomitsze nawet zasługi, przeciw każdemu, kto nie był gorącym wyznawcą nowych pojęć, nowych torów poezyi.

W r. 1863 otrzymał miejsce nauczyciela języka polskiego w wyższych klasach III-go gimnazjum w Warszawie. Tak po upływie lat 43 mozolnych i pracowitych, objął też same obowiązki, złamany wiekiem i trudami, które pełnił w chwilach swęj młodości. Jako nauczyciel wydał: *Naukę prozy, poezyi i zarys piśmiennictwa polskiego*, której ramy i sposób wykładu zastosował do pojęcia młodocianych umysłów i do zakresu czasu przeznaczzonego w szkołach na ten przedmiot.

Kiedy Jan Kanty Wołowski, jako wdzięczny uczeń, powziął piękną myśl uchronienia od zatury prac słynnego w swoim czasie profesora uniwersytetu Ludwika Osińskiego, wezwał pomocy F. S. Dmochowskiego. Chętnie uczonemu prawnikowi takowej udzielił i zajmwszy się ze zwykłą gorliwością, przejrzał pozostałe rękopisma, uporządkował i opatrzywszy życiorysem zgasłego profesora, wydrukował w czterech sporych tomach w latach 1861—1862.

Wydawnictwo to obudziło w Dmochowskim gorące pragnienie zebrania wszystkich pism Kazimierza Brodzińskiego, swego profesora, z którym go ściśle stosunki przyjaźni łączyły. Wiadomo, że Brodziński po wydaniu dwu tomów poezyi swoich 1821 r., ogłosił prenumeratę na zbiór prac prozą i wydał w r. 1830 pierwszy tom, złożony z rozpraw wykładanych z katedry. Pomieędzy niemi była jedna praca *O egzaltacyi*, która nie miała szczęścia podobać się młodym pisarzom.

Maurycy Mochnacki, jeden z najzdolniejszych w pomienioném gronie, ostro wystąpił przeciw autorowi w rozbiorsze tego tomu. Brodziński cichy a skromny, tak krytyką tą został zrażony, że przerwał publikacją swoje. Wśród następnych zdarzeń, już nie miał ani chęci ani sposobności do dalszego wydawnictwa. Złamany moralnie, dotknięty nieuleczoną chorobą, pracując jednak zawsze w zaciszy, zgasł w lat kilka i spoczął na cmentarzu w Dreźnie.

Rękopisma jego pozostałe, rozmaitym ulegając kolejom, w znaczniejszej części ogłoszone zostały jako zaginione. Teofil Glücksberg księgarz wileński, zamierzwszy nowe wydanie pism K. Brodzińskiego, nie z prao nieznanym, oprócz przedruków nie wydał i to w najniedołężniejszej redakcyi z nie-małemi dowolnemi zmianami i opuszczeniami (w Wilnie 1842—1844 r., dzieścię tomików).

Wszyscy, którzy oceniali zarówno talent Brodzińskiego jak i jego wzniosłe stanowisko; uczniowie i zwolennicy śpiewaka *Wisława*, co z praw-

F. S. Dmochowski żywo dotknięty ostrém wystąpieniem wielkiego poety, w oddzielnéj książce wystąpił otwarcie przeciw ogólnemu tonowi owéj rozprawy, lekceważącemu wszystkie bez wyjątku prace przeszłości i zasługi zacnych mężów, którzy w okresie swoim rozszerzali światło i wiedzę. Było dowód prawdziwéj odwagi cywilnéj, wystąpienie śmiałe przeciw takiéj powadze, jaką już stanowił Mickiewicz. Ale Dmochowskiemu nie szło wcale o spór wyższości nowéj szkoły poezyi, bo ją sam otwarcie przyznawał od pierwszego jéj objawu, ale o poniewierkę pracowników, którzy w zacnéj myśli uprawiali w najnieprzyjaźniejszych chwilach dla narodu niwę literatury i stali na straży rodzinnego języka.

Dzieńko F. S. Dmochowskiego ma napis: *Odpowiedź na pismo p. Mickiewicza o krytykach i recenzentach Warszawskich.* Wydrukował

dziwą rozkoszą ducha zgromadzali się w około jego katedry, boleli z goryczą nad zatrącią prac tak szacownych, mogących w prawdziwém świetle dać poznać potomności przeważne zasługi, jakie położył dla literatury krajowéj.

F. S. Dmochowski wiedział, jaki go mozół, jakie trudy oczekują, ażeby spełnił swoje zadanie; ale się niemi nie zrażał i zaczął troskliwe starania nad wyszukaniem autografów Brodzińskiego. Z początku niewiedząc, gdzie na ich ślad natrafić, zaczął zbierać notaty z prelekyi, jakie jego uczniowie zachowywali starannie; gdy niespodziewanie odbiera wiadomość, że u pozostałej jedy-naczki, córki zamężnéj Brodzińskiego, znajduje się kufer z własnoręcznymi rękopismami jéj ojca.

Radość była niedoopisania sędziwego starca, kiedy dobrał się do długo wyczekiwanego daremnie skarbcia, gdy w tym stosie pomieszanych bezładnie kartek, ujrzał rękę swego profesora i przyjaciela. Rozpoczętą przeto już pracę nad układem prelekyi Brodzińskiego, ze skryptów jego uczniów odłożył, a wziął się z młodzieńczym zapałem do autografów. Tu pokazał żelazną wytrwałość: oprócz zeszytów mających ciąg jakikolwiek, pokazały się braki, tak w środku jak i w zakończeniach rozpraw. Ulotne świstki musiał starannie segregować, ażeby w miejscu właściwém wypełniały owe braki lub opuszczenia cząstkowe. Wyborna pamięć, którą zachował prawie do śmierci, posłużyła mu tu niemało. Nie zapomniął o żadnéj kartce luźnéj, którą raz miał w rękę, a znał przytém gruntownie każdy przedmiot, jaki rozwijał się w autografach Brodzińskiego.

Co za uciecha była F. S. Dmochowskiego, kiedy całość dała się odszukać i bez szczyby można ją było przepisać.

Tak dzień po dniu w bezustannych poszukiwaniach postępująco, w ciągu kilku lat przygotował zupełne wydanie pism Brodzińskiego, a wywiązawszy się z obowiązków przyjacielskich dla zmarłego poety i estetyka, w ręce jego córki złożył dziesięć tomów, ułożonych w należytych porządku rękopismów, przepisanych starannie i przejranych tak, że w każdéj chwili mogły iść pod prasę drukarską.

je zaraz po ukazaniu się nowój edycji poezyi Mickiewicza 1829 r., a gdy pierwsze wydanie w prędkim czasie wyczerpane zostało z obiegu handlu księgarskiego, ogłosił drugie w r. 1830, z dotychczas dwóm artykułóm swoich z *Biblioteki Polskiej*, to jest: *Uwagi nad terażniejszym stanem, duchem i dążnością poezyi polskiej* i *Uwagi nad Sonetami p. Mickiewicza*. Rozprawy te przedrukował w tym celu, ażeby przekonał czytelnika, z jakiego stanowiska oceniał utwory poetów nowój szkoły romantycznój.

Jeżeli rozkupienie w krótkim czasie pierwszego wydania *Odpo-wiedzi* F. S. Dmochowskiego, a następnie i drugiego, stawia wymowny dowód, że głos jego miał pewne znaczenie i powagę; bynajmniej to nie wpłynęło na zmianę sądu ogółu, w przedstawieniu go zawsze jako głównego szermierza w obronie upadłego klasycyzmu.

Młodzi zwolennicy, twórcy *Dziadów* i *Sonetów*, przebaczyć nigdy nie mogli Dmochowskiemu, jak śmiał krytykować tak wielkiego poetę. Sam przecież Mickiewicz śmiejąc się powtarzał, że Dmochowskiemu dostało się za wszystkich, a tym którzy go wprędce spodziewali się zobaczyć, polecał, aby mu oświadczenie jego szacunku i życzliwe pozdrowienie zanieśli. Niesosyć, przesłał mu egzemplarz swoich poezyi z własnoręcznym przypiskiem.

Zawsze rozprawa *O recenzentach i krytykach Warszawskich* Mickiewicza, było to uderzenie śmiertelne, ostatnie, wymierzone ramieniem olbrzyma, w spróchniały pień stojącego jeszcze klasycyzmu, który się mu oprzeć nie mógł i runął. Najwięksi jego zwolennicy w żałobnym milczeniu, patrzyli ze smutną zadumą na jego upadek: wielu

Podług tego rękopismu J. I. Kraszewski wydrukował w Poznaniu w ośmiu tomach.

Równocześnie, na usilne nalegania przyjaciół, zabrał się do pisania pamiętników, *Wspomnienia* albowiem które wydał, były tylko lekkim szkioem tych zajmujących opowieści, które z takim wdziękiem umiał słuchaczom swoim udzielać. Nie ukończył ich jednakże, bo ciężka choroba wytrąciła mu pióro z drżącej ręki, a śmierć zbliżała się pewnym krokiem. Czuł ją zdala, a tęp pewniejszego o zbliżającym się końcu żywota nabrał przekonania, kiedy swą słynną pamięć nagle utracił. Ze łzami w oczach skarżył się na ten oios smutny przed przyjacielem swoim, który go nawiedzał w tój niemocy. Na kilka dni przed zgonem przypomniał sobie wiersz napisany w pierwszych latach swój młodości, z radością go przedeklamował, ale zaraz potem zgasła pamięć nazawsze i ciemna pomroka ją pokryła.

Od chwili, kiedy już choroba śmiertelna wzięła przewagę nad silnym dotąd orguizmem i żółtaczka wywołana moralną boleścią, ubarwiła całe ciało; pomimo tego, oblicze jego zawsze pogodne, wyszlachetniało i wypiękniało. Na tych regularnych rysach twarzy schudzonój, malował się spokój i rezygnacya; czekał ostatniej chwili przygotowany do niój jako dobry chrześcianin i usnął w Bogu zaczynając rok 71 życia, otoczony gronem swojój rodziny.

z pomiędzy nich sądziło, że zaraz nastąpi koniec świata; bo pojąć nawet nie mogli, co na jego zwaliskach wyrosnąć może. F. S. Dmochowski, który należycie oceniał geniusz Mickiewicza i pojmował dobrze nową erę poezji polskiej; umiając mnóstwo długich nawet ustępów z jego poezji na pamięć, które deklamował zawziętym klasykom w obronie swojej, gdy mu zarzucali sprzyjanie: „Nowatorom każącym smak i język;” napastowany przez młodszych romantycznych zapaleńców: o bluźnierstwo przeciw natchnieniu i uczuciu; nie szczędził również cytat i przytoczeń na wykazanie przesady lub śmieszności, w jakie wówczas ślepi naśladowcy Mickiewicza wpadli.

Z końcem roku 1830 ucichła przecież odrazu ta wrzawa i walka romantyków z klasykami, po burzy zajaśniało słońce zgody i pokoju, ogrzewając ziemię Bożą jasnym a ciepłym promieniem swoim.

VII.

Ćwiczenia naukowe.—Teodozy Sierociński.—Tymon Zaborowski.—Zoryan Dołęga Chodakowski.—Część literacka.—Rozprawa T. Sierocińskiego.—O Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej Z. D. Chodakowskiego.—Poemat T. Zaborowskiego.—Józef Korzeniowski.—Gazeta Literacka.—Dziewica Orleańska Szyllera, przekład A. Brodzińskiego.—Natan Glücksberg.—Sybilla Nadwiślańska.—Franciszek Grzymała.—Mrówka Poznańska.—Fr. Królikowski.—Pszczółka Krakowska.—Jerzy Samuel Bandtkie.—Towarzystwa Naukowe w Lublinie i Płocku.—Program do opisu Województwa Płockiego.—Jan z Tenczyna J. U. Niemcewicz.—Honorarium.—Cierpienia młodego Wertera, Goetego.—Pan Wojciech z Prokocimia.—Franciszek Grzymała.—Klasycyzm i Romantyczność.—Statystyka szkół w Królestwie Polskim 1821.—Cenzura.—Jan Kalasanta Szaniawski.—Pisma Kazimierza Brodzińskiego.—Żal za polskim językiem.—Klementyna Tańska.—Jan Paweł Woronicz.—Assarmot Hymn do Boga.—*Pani Jeziora* Walter Skotta, przekład Karola z Kalinówki.—Zbiór Pamiętników o dawnéj Polsce J. U. Niemcewicz.—Wybór poezyi Aleks. Popa z angielskiego, przekład Ludwika Kamińskiego.—Groby w dniu śmierci Tadeusza Kościuszki, księcia Lubomirskiego.—Wojciech Bogusławski i jego dzieła dramatyczne.

Równocześnie z *Pamiętnikiem Warszawskim*, pod redakcją F. Bentkowskiego i *Tygodnikiem Polskim i Zagranicznym* Brunona hr. Kicińskiego w r. 1818, pojawiły się *Cwiczenia Naukowe*, na które prospekt ogłoszony został d. 29 listopada 1817 r.

Redakcja złożona głównie z młodych uczniów którzy ukończyli Liceum Krzemienieckie, dawała tém pismem dowody najwymowniejsze, jakie niezapomnianej pamięci Tadeusz Czacki, tym Zakładem naukowym, oddawał usługi, wykształciwszy potężny zastęp, zdolnej młodzieży gotowej do pracy społecznej i poparcia literatury ojezystej.

Głównymi współpracownikami *Ćwiczeń Naukowych* byli Teodozy Sierociński prozaik, Tymon Zaborowski w całym tego słowa znaczeniu poeta, i Adam Czarnocki pod pseudonimem Zoryana Dołęgi Chodakowskiego; następnie podpierali to pismo: Kazimierz Brodziński, J. U. Niemcewicz, Józef Korzeniowski, Joachim Lelewel i wielu innych.

Pismo to podzielono na dwa działy: 1. *Matematyczno-fizyczny*, 2. *Literatury*. W pierwszym oddziale zapowiedziano drukowanie prac własnych, oryginalnych, a zarazem tłumaczeń i wyciągów z dzienników zagranicznych ze sfery nauk ścisłych, dodając do działu matematyczno fizycznego nauki przyrodzone, oraz wiadomości literackie a właściwie bibliograficzne o najnowszych dziełach godnych uwagi.

O części *literackiej* tak prospekt pomieniony mówi:

„Oddział literatury wziętej w najogólniejszym swém znaczeniu, oprócz ćwiczeń, w przedmiotach gustu i wyobraźni, obejmie jeszcze prace różne w literackim, historycznym i moralnym względzie. Staraniem będzie wydawców, ażeby w tym oddziale dla jak największej liczby czytelników, zajmującemi i rozumiałemi się stały: aby mogły niezrażając surową uczonością, zawsze oświeconą przynosić zabawę, a zastanawiając się szczególnie nad postępem narodowego oświecenia lub wystawiając dzieła i cnoty naddziadów, przyjemnie i pożytecznie zawsze zajmować polaka. Będą to zatem więcej własne niż tłumaczone, więcej w przedmiotach dotyczących się swego niż obcych narodów

układane pisma, mniej obszerne, filozoficzne traktaty, jak raczej krótkie lecz zajmujące rozprawy, zbierane na ziemi rodzinnej opisy, lub z drogiemi przypomnieniami połączone nauki. Narodowość będzie istotną tego oddziału cechą. Ojczyste dzieje i dzieła, narodowe obyczaje, i widowiska krajowe, widoki i obrazy, są to tyleż nieprzebranych dla piszących źródeł, z których czerpać przedmioty swoje i łątwa i miło. Polska ma swoje piękności, polacy właściwie sobie cnoty, polskij wy-mowie i poczui należy i przystoi tak jedne jak drugie malować i wy-stawiać, opiewać i wielbić, a pracujący w tym duchu, jeżeli na trudną pisarza albo poety chwałę nie zasłużą, przynajmniej dobrym okaże się polakiem."

Koniec ogłoszonego prospektu brzmi w tych słowach:

„Jeżeli wydawcy pożądanego skutku usiłowań swoich, nie bez jakiejkolwiek nadziei oczekują, mniéj w tém polegają na swoich, jeżeli jakie mogą mieć zdolnościach, jak raczej na zapale, który ich ożywia i pracy do której ich tenże pobudza, a chociaż raczej zasługi niż zysku nietyłe pożądamy składających im summy pieniężne prenumeratorów, ile pragną mieć dla dziennika swego znawców czytelników, surowo lecz bezstronnie prace ich sądzących, umiejących cenić usiłowa-nia, i nie gardzących onych przydatnością, jeśli te jaką dla nich mieć będą."

Zeszytów *Cwiczeń naukowych* wychodziło dwa na kwartał, czyli jeden na półtora miesiąca. Z początku redakeya zamierzała w jed-nym zeszycie łączyć obadwa oddziały *Matematyczno-fizyczny* i *litera-tury*, z oddzielną paginacją; ale spostrzegłszy niepraktyczność takiej publikacji, w oddzielnych zeszytach drukowała oba te oddziały.

Weźmiemy na uwagę część literacką, jaka oddziaływała głów-nie na naszą społeczność. Rozprawa Teodozego Sierocińskiego na cze-le pierwszego zeszytu pomieszczona p. n. *Jak się potworzyły dzieła oryginalne, jakie są właściwie ich cechy, i jakie granice zdrowy rozsądek naznacza w szukaniu oryginalności!*" tak wyborną była napisana polszczyzną, że Stanisław Potocki niedowierzając, ażeby to mógł napisać młody uczeń szkół Krzemienieckich, był pewnym, że pod pseudonymem Teodozego Sierocińskiego ukrywa się jakaś znakomitość wyszła z pod ręki Sniadeckich, lub téż że jeden z nich a głównie Jan Sniadecki tę rozprawę napisał.

Dwa utwory inne dały do razu wielki rozgłos *Cwiczeniom nau-kowym*: poemat Tymona Zabcrowskiego: „Bolesława Chrobrego wypra-wa do Kijowa," z którego kilka pieśni w nich wydrukował: i rozprawa Adama Czarnockiego pod pseudonymem Zoryana Dołgi Chodakow-skiego, p. n. *O Słowiańszczyźnie przed Chrześcijaństwem*. Mała to co do rozmiarów, stała się ogromną, wpływem potężnym na młode umysły. Porwała ona je równie silnie jak poezye Mickiewicza, któ-re z szybkością błyskawicy przebiegły kraj cały, od miast zajrzały w najcichsze ustronia wiejskie, wstrząsając sercami i duszą całej naszej społeczności.

Chodakowski zbierając podania i pieśni ludowe, śledząc zwyczaje i obyczaje pod strzechą słowiańską, malował obrazy owęj Słowiańszczyzny pogańskiej, która zginęła przed potęgą krzyża Zbawiciela. Z gorącym uczuciem każdy szczegół pochwycony w podaniu o obrzędach, w zwyczaju i obchodach, rozwija z taką prawdą i urokiem, że czytelnika unosi z sobą w te zapadłe wieki. Młodzież czytała tę szacowną pracę, wynik długich podróży i bystrego postrzegawczego badania, nie jako rozprawę, ale jako porywający poemat, i z pomiędzy niej to wyszedł zastęp pracowników, którzy wzięwszy kij w rękę, a tłułoczek na plecy, poszli w rozmaite okolice kraju, dla zbadania ludu wiejskiego, zebrania jego pieśni, podań, powieści, a zarazem zbadania jego obchodów i obrzędów, w których jeszcze nie jeden rys się przechował Słowiańszczyzny przechrześcijańskiej. W zapale, z jakim czytano tę rozprawę Zoryana, nieopatrywano się jej stron ujemnych; dopiero późniejsza gruntowna krytyka Wawrzyńca Surowieckiego, wykazała słabe strony i usterki wynikłe z gorącego pochwylenia ulubionego przedmiotu. Jakkolwiekbydź, wpływ tej pracy Chodakowskiego był przeważny równie jak *Historja literatury* F. Bentkowskiego, jak *Opis starożytnj Polski*, Tomasza Święckiego.

W poemacie Tymona Zaborowskiego *O Bolesławie Chrobrym*, młode pokolenie powitało z serdecznym uniesieniem, nowego poetę z prawdziwym natchnieniem, który nie idąc śladem ubitym przez naszych klasyków zfrancuziałych, wstąpił na nietkniętą dotąd drogę, i brał przedmiot do swego poematu z pierwszych wieków życia państwowego Polski.

Pomimo świeżości pomysłu i wykonania go w części w ogłoszonych pieśniach w Ćwiczeniach naukowych, w których porywał czytelników językiem ślicznym i wierszem cudnie potoczystym, prostotą i naturalnością niezwykłą; samodzielność poety przygniatały jeszcze formy klasycznego kodeksu. Czuć w tym utworze młodego orła zamkniętego w żelaznej klatce, który w każdym porywie na górne szlaki, rozbija się o kraty swego więzienia, i łamie pióra skrzydeł własnych co go miały wnieść w niebiosy.

Wspomnieć tu jeszcze należy o małej rozprawie tegoż poety p. n. *O zewnętrznej budowie wiersza polskiego*. W owym okresie zaczęto podnosić głosy za wierszem białym miarowym. Tymon Zaborowski ujął się za rymem, jako przyrodzonym naszej mowie. Józef Korzeniowski był wielkim zwolennikiem wiersza miarowego, pisząc nim swoje dramata, które później wydał: jak próby dramatyczne, i Mnicha. Nie występował on publicznie przeciw wierszom rymowanym, ale gorąco przeciw nim powstawał, w rozmowach, a nieraz i z katedry będąc profesorem literatury w Liceum Krzemienieckim. Zaborowski nie dzieląc tego przekonania, jakkolwiek ulubionego profesora i pisarza z wyższym talentem, wystąpił teraz przeciw tej zasadzie, uważając rymy za konieczność naszego wiersza. Godnym zastanowienia, że nikt z należących do sporów w tej sprawie nie zwrócił uwagi, na naj-

pierwsze wzory poezji polskiej w *pieśniach ludowych*, które są wszystkie z rymem układane i w tej formie tylko istnieją. Rok tylko 1818 zachowywały *Cwiczenia naukowe* swój tytuł pierwotny, w roku następnym jako dalszy ich ciąg, ukazał się *Pamiętnik naukowy* we dwóch oddziałach: *Matematyczno-fizycznym* i *Literatury*.

Lata 1821 i 1822 stanowią świetny początek rozwoju ruchu umysłowego w Warszawie i nowego zwrotu literatury. Od 2 stycznia 1821 r. pojawił się organ poważny, naukowy: *Gazeta literacka*, która objęła kontrolę nad tym ruchem, rozpoczynając w pierwszym zaraz numerze obszerny rozbiór tragedji Szyllera *Dziewicy Orleańskiej*, w przekładzie Andrzeja Brodzińskiego, starszego brata Kazimierza poległego w wyprawie do Moskwy 1812 r.; tłumaczenie to wyszło właśnie z druku staraniem tegoż Kazimierza, który pragnął drogą pamięć brata i opiekuna swego wspomnienie przechować; utwór ten na wskroś romantyczny pojawił się już na scenie Teatru narodowego, przedstawiony z niesłychaną starannością i przepychem, wzbudzał powszechny zapal¹⁾.

Główną rolę grała Ledóchowska, pierwsza artystka w tragedjach klasycznych. Pomimo wrodzonego talentu, nie potrafiła w zupełności odpowiedzieć wzniosłemu zadaniu, bo w tej roli trzeba było więcej siły i namiętności wykazać, gdyż scen spokojno-francuzko-klasycznych zbyt mało było.

Krytyk w *Gazecie Literackiej* porównyując przekład A. Brodzińskiego z oryginałem Szyllera, wykazuje jego zalety i wady.

Gazeta Literacka nie tylko pilnie śledziła wszelkie objawy literatury krajowej w pojedynczych dziełach, ale podawała staranne przeglądy z literatur zagranicznych, utrzymując stały związek duchowy z Zachodem. Przeglądy te dziś się jeszcze czytają z przyjemnością, odznaczone głęboką znajomością przedmiotu i gruntownym poglądem. Grono współpracowników składała cała inteligencja krajowa, profes-

¹⁾ Przekład ten wyszedł p. n.: „*Dziewica Orleańska*, tragedia romantyczna z Szyllera, polskim wierszem przełożona przez Andrzeja Brodzińskiego. Wystawiona pierwszy raz na Teatrze narodowym w miesiącu grudniu 1820 r., z dodaniem różnych poezji tłumacza.” Warszawa. Nakładem i drukiem Zawadzkiego i Węckiego, uprzywilejowanych drukarzy i księgarzy dworu króla polskiego. 1821. (W 12-ce, str. 178). L. Osiński przedstawiają tę tragedję na teatrze, poczynił odmiany bardzo trafne, nie tylko przez wyrzucenie wielu scen, ale i osób wprowadzonych w oryginalu, ażeby zrobić ją przystępniejszą dla widzów polskich i nie trudzić zbyteczną rozwlekłością. Rzecz sama na tém zaprawdę zyskała. Tłumacz przekład swój pozostawił gotowy, wychodząc na wyprawę 1812 r., z której nie wrócił, albowiem poległ w bitwie pod Berezyną, licząc rok 26 życia. Brat młodszy Kazimierz, przywiązany doń serdecznie, gdyż był mu wzorem pracy, zamilowania do poezji i czułym opiekunem w pachołących latach, zajął się tej pracy, jako drogiej pamiątki po poległym, wydrukowaniem. Gdy tragedia ta wywołała ogromny zapal w Tea-

rowie świeżo założonego uniwersytetu. Członkowie Towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk, całe nawet Towarzystwo *Iksów* (XX), które z krytyk teatralnych pozyskało sobie szeroki rozgłos, połączyło się z redakcją *Gazety Literackiej*.

Wydawcą jój i nakładcą był przedsiębiorczy księgarz Natan Glücksberg, otrzymując rękopisma wszystkie bezpłatnie. Każdy numer składał się z jednego arkusza w 4-ce, wychodziła co tydzień.

Pomimo wysokich a rzeczywistych zalet, niedługo się to pismo utrzymać mogło. Dlatego też przy końcu roku w nr. 52 ogłosił: „Ze o dalszém wydawnictwie w roku przyszłym (1822), pod nową redakcją i podług odmiennego planu, szacowna publiczność osobnym projektem uwiadomioną będzie.”

trze narodowym, a grana kilkakrotnie, ściągała zawsze tłumy widzów, znaleźli się i chętni wydawcy w księgarzach Zawadzkim i Węckim, témbardziej, że żadnego za rękopism nie zapłacili honorarium. Tłómacz w przedmowie przyznaje otwarcie, że raczej naśladował niż tłómaczył ten utwór Szyllera, a: „co się tyczy prawideł sztuki dramatycznej względem jedności osób, czasu i miejsca, których autor bynajmniej nie zachowuje, tych w naśladowaniu mojem i ja zachować nie mogłem” (!!).

To nam maluje, jakie było posłuszeństwo dla starego *kodeksu klasycznego*; pod jego artykuły podciągano Szyllera i ujemne strony dopatrywano poety niemieckiego, że je miał odwagę przekraczać. Widzimy to i z przedmowy zacnego Andrzeja Brodzińskiego. Przy końcu tego dramatu pomieścił Kazimierz kilka poezyi oryginalnych Andrzeja; utwory to zwyczajne, nieodznaczające się wyższym talentem, trzymane w tonie wówczas panującym. W tragedyi samój miejsca więcej liryczne zniknęły w tłómaczeniu A. Brodzińskiego w przeciągłym 13-sto zgłoskowym wierszu. W naszym już okresie przełożył po mistrzowsku, też samą tragedya A. E. Odyniec. Dość nam tu przywieść ostatnią scenę w porównaniu obu tłómaczy, dla pokazania wyższości A. E. Odyńca. Scena to, gdy Dziewica okuta w kajdany, dowiaduje się że król francuzki wzięty do niewoli i wojska jego rozbite. A. Brodziński tak tę scenę tłómaczy: Joanna okuta pada na kolana, gwałtownym modli się głosem:

Przyszła ostatnia chwila, ostatnia potrzeba!

Boże! gorące modły zasylam do nieba!

Ty w maszt okrętu zmieniasz przedziwo pajęcze,

W nic pajęczą żelazne przemieniasz obręcze;

Chciój, a ta dłoń potargą ciężary téj stali,

Chciój, a prysną te mury, ta wieża się zwali.

Gdy Samson nieszczęśliwy, ślepy, skrępowany,

Ufnie wyrzekł do Ciebie, wnet skruszył kajdany,

Objął mury więzienia silnemi ramiony,

Gmach się zatrzęsł, pochylił i runął zwalony!

Zobaczmy jak A. E. Odyniec tę scenę przełożył.

Joanna w najgwałtowniejším wrzuceniu rzuca się na kolana i wnosząc załamane ręce do góry, modli się rzewnym, prędkim i nagłym głosem:

Nie wiemy jakie powody wywołały potrzebę zmiany redakcyi i planu pisma, które przez rok cały, sumiennie wykonywało przyjęty program i od miłośników ojczyźnej literatury wysoko cenione było. Redakcyja złożona z mężów prawdziwej nauki, z uczuciem radości obywatelskiej przyjmowała każdy nowy objaw na niwie literackiej. Z miłością braterską podnosiła zacne usiłowania. Na dowód tego przywiodę jeden przykład.

W r. 1821 ukazała się: *Sybilla nadwiślańska*: dziennik narodowy, polityce, historyi, literaturze i rzeczom krajowym poświęcony. Wydawany przez Franciszka Grzymałę w Warszawie 1821 r. Zaledwie ukazał się pierwszy zeszyt, czytamy w *Gazecie Literackiej* (18, 4):

„W rzedzie licznych pism, które z początkiem roku bieżącego wychodzić poczęły, *Sybilla* niepospolite zajmuje miejsce. Pierwszy numer pisma tego, wyszedł już na widok publiczny. Co do polityki, mieści w sobie: *Rzut oka na południową Europę; Wiadomości o postępach wolności osobistej w Polsce i innych krajach; Myśli obywatela kraju konstytucyjnego; Listy z Warszawy pisane na prowincyą w rzeczach publicznych i rysy z życia Tadeusza Kościuszki.*

„Co do literatury obejmuje rozprawę Ludwika Osińskiego: *O pierwiastkowych pisarzach dramatycznych w Polsce.* Wiersz filozoficzny Szyllera, przekładania Brunona hr. Kicińskiego i wiersz oryginalny o *narodowości* Kantorberego Tymowskiego.

„Oceniając dobre chęci wydawcy nie można nie przyznać, że *Sybilla* w kolébce saméj, nosi na sobie pewną cechę dojrzałości; szczególniej że się wszędzie dobrym duchem i czystą polszczyzną zaleca. A gdy niezaprzeczoną jest rzeczą, że upowszechnienie pism peryodycznych,

Śluchaj mnie, Boże! bo wzywam Ciebie,
Ojcie na niebie!
Duszą wierzącą,
Wiarą gorącą.

Aoh! nie dla siebie wzywam Cię Panie!
Nad ludem moim miej zlitowanie!
Ty sić pajęczą w stalne obręcze,
Ty więzy zmienisz w sieci pajeczce.
Boś Ty Wszchemocny! bo to się stanie,
Co ty chcesz, Panie!

Samson wydany na urąganie,
W więzach u wrogów, jak ja w téj chwili,
Wołał do Ciebie: oni szydziłi,
A on Ci ufał stary i ślepy,
I dałeś siłę, że twarde sklepy
Zrzucił na wrogów, boś Pan nad Pany!

Wstrząsa oburącz kajdany, rozrywa łańcuchy. W téjże chwili rzuca się na stojącego żołnierza, wyrywa mu z rąk miecz i wybiega wołając:
Francoya żyje! bo ze mną jest Bóg!

stanowi o stopniu oświaty w narodzie; życzyłyby sobie należało, ażeby mieszkańcy téj ziemi, wspierali dobre zamiary rodaka, który zapewne gorliwości swojej nie szczędząc, powziętemu o sobie mniemaniu godnie odpowiód.”

Polecenie to *Sybilli* nie przeszło bez wpływu, naraz przybyło 64 prenumeratorów, cyfra na owe czasy wielce poważna.

Z równém uczuciem podnosiła *Gazeta Literacka* usiłowania literackie w objawach poza granicami Królestwa. Tak ogłasza prospekt na *Pamiętnik Galicyjski*, po upadku *Pszczoly polskiej*: „której owoc był tak słodki, a przestała zbierać miód noszący w sobie pożywienie.” Ferdynand Chotomski i Eugeniusz Brodzki, postanowili wydawać *Pamiętnik Galicyjski*, łącząc naukę z zabawą (*Utile dulci*). „Jako sprzyjający naukom, powodowali się tą myślą w swoim przedsięwzięciu, że oświeceni mieszkańcy Galicyi, przyczyniając się do trwałego istnienia tego pisma, nie tylko mu upaść nie dozwolą, ale owszem jego postępowi wszelkimi środkami dopomagać raczą” ¹⁾. Niestety! nie sprawdziły się ich nadzieje.

Równocześnie w Poznaniu ukazała się *Mrówka Poznańska*, pismo ku użytecznej zabawie rozumu i serca poświęcone, pod redakcją J. F. Królikowskiego ²⁾ (Poznań 1821 r.), nakładem księgarza J. A. Munka. *Gazeta Literacka* obszerny rozbiór trzem wydanym zeszytom tego pisma poświęca. *Mrówka Poznańska* wydrukowała krytykę na dzieło Wacława Aleksandra Maciejowskiego, wydane: *De Vita et Constitutionibus Trajani Decii*. W Getyndze 1818 r.

Młody wówczas autor do żywa dotknięty pomienioną krytyką na rozprawę, której wartość przyznały czasopisma naukowe niemieckie, ostro i żywo zarzuty odpiera.

Redakcja *Gazety Literackiej* chętnie przyjmowała tego rodzaju rozprawy, w których bez osobistości zyskiwała coś nauka i wiedza. Trzymając się téj zasady, drukuje artykuł nadesłany jako odpowiedź *Pszczółce Krakowskiéj*, która z powodu dzieła Ignacego Samuela

¹⁾ Ferdynand Dienheim Chotomski dał się już poprzednio w *Tygodniku polskim i zagranicznym*, pod redakcją Brunona hr. Kicińskiego chlubnie poznać z talentu wierszopisarskiego, jakieśmy to wyżej wspomnieli. Eugeniusz Brodzki mało znany pisarz, przypomniał się później w *Haliczanie*, wydanym we Lwowie 1830 roku, piśmie zbiorowém, pod redakcją dawnego redaktora *Gazety Literackiej* Chłędowskiego, którego wyszło dwa tomy.

²⁾ J. Franciszek Królikowski, profesor języka polskiego i literatury w Poznaniu, chlubne zajmuje wspomnienie z dzieła: *O prozodyi języka polskiego*. Pracę tę wysoko cenił A. Mickiewicz i trzymając się zasad w nióm wyrażonych, napisał sławną pieśń *Wajdeloty* wierszem miarowym:

„Zkądto wracali Litwini?
Z noonéj wracali wyprawy.”

Jestto dostojny ojciec najznakomitszego naszego artysty dramatycznego Jana Królikowskiego.

Bandtkiego: *Historja biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego* (Kraków, nakładem Ambrożego Grabowskiego, 1821 r.), wydrukowała *mysła* o tém dziele jakiegoś Towarzystwa.

„Myśli te (czytamy) nie zasługują pod żadnym względem na imię krytyki, jak sami ich twórcy przyznają na końcu swęj ramoty; lecz właściwie można je nazwać *paszkwilem*, zawierającym po większej części zółcią i nienawiścią napętnione i zdaleka naciągane obelgi i przycinki, po części zaś fałsze i brednie politowania godne. Zjedną ją one niezawodnie poważniejszy tytuł *osy* lub *trądu* dla *Pszczółki*, jak właściwą chwałę u czytelników rozsądnych dla bezimiennych autorów, narzucających nieraz dziecinne żarty i jałowe rubaszne wyrazy za dowcip i miłość ojczyzny.”

Konstanty Majeranowski redaktor *Pszczółki Krakowskiej* nieogłędnie przyjął do swego pisma, raczėj paszkwil, niż poważny pogląd na dzieło i jego autora. Jerzy Samuel Bandtkie dla swęj nauki, przywiązania do kraju, wzbogacania literatury ojczystej cennymi pracami pozyskał już sobie szeroki, zaszczytny, a zasłużony rozgłos; ale jak każda wyższość umysłowa, musiał znaleźć pokątną zawiść, która plotką, oszczerstwem i nikiemennym kłamstwem, zapragnęła opluć Bandtkiego. Mąż uczony, boleśnie odczuł tę zniewagę, ale milczeniem ją pokrył, ufając że czas całą prawdę odkryje i odda mu ją. W czém się też nie zawiódł.

Z nietajoną radością wita i pozdrawia *Gazeta Literacka* objawy szerzącego się światła w kraju, przez liczne szkoły, powstające pisma peryodyczne, oraz powstające towarzystwa naukowe. Obok Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, jakby jego filia, powstało drugie w Lublinie pod przewodnictwem Owidzkiego, prezesa rady obywatelskiej województwa Lubelskiego i po niém zawiązało się trzecie Towarzystwo naukowe w Płocku, które zaraz w początkach swego istnienia założyło sobie zebrać wiadomości, ażeby ułożyć dokładny opis województwa Płockiego i nakreśliło szczegółowy program do wykonania téj obszernej pracy. Podamy go w treści dla wykazania, że już wówczas, przed pół wiekiem z górą, należycie rozumiano wszystkie kierunki tego rodzaju badań, które obecnie tak pomyślnie i sumiennie Akademia Umiejętności w Krakowie rozwija. Owóz czytamy w tym programie:

1. Zebrać wszelkie postrzeżenia, dotyczące się dobra województwa, z miejscowego przekonania lub ile możność dozwoli z urzędowych dowodów.

2. Opisać ziemię województwa Płockiego w geograficznym i statystycznym względzie.

3. Dochodzić potrzebnych wiadomości w widoku ekonomicznym albo rolniczym, pod względem uprawy roli, zarządu lasami, opisania wód i rzek przerzynających tę część ziemi naszej, opisania różnych zakładów i narzędzi gospodarskich.

4. Wyśledzać wiadomości dotyczące się zoologii, botaniki i mineralogii.

5. Uważać wszystkie zjawiska natury i czynić spostrzeżenia z narzędziami meteorologicznymi.

6. Ułożyć dokładny opis ludzi w ich życiu towarzyskiem i domowem, co do czynności publicznych i prywatnych; a w tej mierze wyszczególnić: nadania i przywileje różnym korporacyom i osobom szczególnym udzielone, stan nauk i zakładów szkolnych, tudzież dobroczynne ustanowienia i szpitale wymienić, oraz podać środki dla dostatecznego ich utrzymania. Opisać panujące obyczaje, szczególne mniemania i miejsca zwyczajne, właściwe wyrazy i sposoby mówienia mieszkańców okolic płockich, ze względu na dawny dialekt i późniejsze w nim zmiany. Zwrócić uwagę na stan zdrowia mieszkańców i środki ratowania się w chorobach, wreszcie zastanowić się nad skłonnościami ludu do sztuk nadobnych i pięknych nauk, jakoto do poezyi, śpiewów, muzyki, malarstwa i t. d.

7. Zbierać wiadomości dotyczące się historii i biografii, a w tym względzie opisać dawny i terażniejszy skład rządu w województwie Płockim; opisać dzieje religii, duchowieństwa, kościołów i klasztorów we wszelkich wyznaniach, dawniejszy stan nauk i kunsztów, oraz pamiętne w tej prowincyi zdarzenia, o których dzieje narodowe nie małą liczbę w ziemi Płockiej wspominają.

Nakoniec skutecznie opisy sławnych i zasłużonych w kraju mężów, którzy bądźto zrodzeni są w województwie, bądź też ważne dla niego przysługi uczynili.

Towarzystwo płockie, którego prezesem był senator, biskup uczony Prażmowski, odbywało publiczne swe posiedzenia dnia 19 marca w dzień ś. Józefa, czcząc pamięć i wspomnienie księcia Józefa Potiatowskiego.

Gazeta Literacka, w rozbiorach i krytykach dzieł wychodzących była wielce przywoitą, lubo na błędy i usterki nieubłaganą, wedle zasady, którą sobie za godło przyjęła. „Krytyka, pisze pustelnik z zamku królowej Bony w nr. 16, niech będzie surową ale pomiarkowaną i niewinną i niech zachowa taki ton, jaki między przyjaciółmi przystoi. Oddana sprawiedliwość prawdziwemu talentowi wzbudza w nim i ożywia ten zapał, który niesprawiedliwa i zjadliwa krytyka oziębiła. Jak ostrożnym trzeba być w krytykowaniu, tak skromnym i oszczędnym w szafunku pochwał. Najlepszą dobrych autorów pochwałą są ich własne dzieła: dawane nie w miarę, przybiorą postać pochlebstwa, a przesadzone w niesmak się obróca.”

Miarę i ton krytyki surowej w *Gazecie Literackiej* możemy najlepiej ocenić z rozbioru *Dziwiny z Abidos*, poematu Lorda Byrona, przekładania Władysława hr. Ostrowskiego (Warszawa 1821 r.).

Recenzent znawca literatury angielskiej i wysoko ceniący Byrona, robi tłómaczowi główny zarzut że odstępuje od oryginału, a usterki te wykazuje podając przekład swój wierny prozą, a Ostrowskiego

tlómacznie wierszem. Z tego przytoczenia (pisze sam recenzent) kilka wyjątków, sami czytelnicy o wierności przekładu łatwo sądzić mogą. Gdyby był p. Ostrowski pracę swoją nazwał naśladowaniem, byłby się od tego zarzutu ochronił. Wiedział bowiem o tém dostatecznie, że kiedy kto zapowiadał w tytule, iż przekładał, stał się tém samém dłużnikiem autora, i niewolnikiem jego myśli; uczciwość literacka wymaga, ażeby osłabianiem i zniżeniem dzieła, nie zadawał krzywdy autorowi, i nieprzymuszało czytelnika nieświadomego oryginału do upakarzającego wyznania, iż nie może znaleźć w tlómaczeniu, lub poznać się na tych pięknościach, które poecie za granicą wielkie imię zjednały."

W latach 1821 i 1822 życie literackie rozwijało się potężnie w Warszawie, i ruch księgarski coraz większe przybierał rozmiary. Oddać należy co komu należy: najwięcej w tej sprawie położył zasług Natan Glücksberg rodem z wielkiego księstwa Poznańskiego, który otworzywszy księgarnią i drukarnią w Warszawie, wydawał mnóstwo książek swoim nakładem, i pierwszy u nas rzecz można zaczął autorom płacić honoraria. Pamiętamy dobrze, jaki to wielki miał rozgłos w naszym mieście i całym kraju wypadek, że N. Glücksberg, położył J. U. Niemezewiczowi na stole, pięćset dukatów, jak wówczas nazywano obrączkowych czyli ważnych należycie, za jego powieść historyczną Jan z Tęczyna, w 3 tomach. Od roku już obiegła wieść ustna o tej powieści, i niecierpliwosć publiczną w gorące oczekiwała na pojawienie się tego utworu. Zaledwie też dzieło się ukazało, w samej swojej księgarni na Miodowej ulicy w domu Grabowskiego (dawniej Teppera), od godziny pierwszej z południa do piątej w jednym dniu sprzedał 400 egzemplarzy, w cenie po 24 złp. za te trzy tomy. Jakby w procesyi tłum podążał do księgarni Glücksberga, młodzieży, kobiet i sędziwych wiekiem, a każdy wychodząc z paczką tych tomów, spieszył do domu nasycać się pięknoscią powieści tak dawno zapowiadanej. Rzecz godna uwagi, że sąd ogólny z pochwałami poprzednio dawanemi godził się w zupełności, a dostojny autor miał wielką pociechę, że jego praca doznała od razu tak ogólnego uznania, i zajęć zdołała powszechną uwagę.

Spis bibliograficzny wydawnictwa Natana Glücksberga, jużby sam stanowił sporą książkę. Ruchliwy, energiczny, mnożył z każdym rokiem swoje nakłady we wszystkich gałęziach literatury krajowej. Zakład jego drukarski stał się pierwszym w Polsce pięknoscią papieru i druku, oraz starannością wydań. Publikacja *Dziewicy z Abydos* pod względem typograficznym, mogła się mierzyć z najozdobniejszemi książkami współczesnych wydań paryzkich i londyńskich.

Po smutnym upadku N. Glücksberga, sztuka typograficzna w kraju a głównie w Warszawie chyliła się także do upadku, dopóki ją nie podniósł, ale już po roku 1830 Stanisław Strąbski.

Oprócz wydań nakładem Glücksberga, autorowie najchętniej w jego zakładzie drukowali swoje prace. Każdy szedł do niego, kto-

kolwiek pragnął wydawnictwa porządnego i przyjemnie wpadającego pod oczy. Typografia jego zaledwie wystarczyć mogła natarczywym żądaniom. Glücksberg oceniał należycie wartość autorów polskich: dla tego sam robił starania w zjednywaniu ich sobie. Tak w r. 1821 wydrukował swoim nakładem *Pisma Kazimierza Brodzińskiego*, obejmujące zbiór jego poezyi, w chwili właśnie, gdy imię tego poety, już się cieszyło chlubnym po całym kraju rozgłosem, obok tego drukował dzieła Wojciecha Bogusławskiego, który je za pośrednictwem prenumeraty rozpowszechniał.

Glücksberg zbliżył się do Brodzińskiego, pragnąc dobrze mieć przełożony słynny romans Goethego: *Cierpienia młodego Wertera*. Podjął się téj pracy Brodziński za szczupłe wynagrodzenie złp. 300, którą wykonał, a nakładca w zgrabnych dwóch małych tomikach wydrukował 1821 r. w 1500 egzemplarzach. Cały nakład w niespełna trzech miesiącach wykupionym został. *Gazeta Literacka* przekład ten przyjęła ze szczerem uznaniem, a lubo wytyka drobne usterki językowe, streszcza przecież swój sąd w tych słowach:

„Miło czytać to spolszczenie Wertera, i niemożna nieprzyznać tłumaczowi zalety pokonania wielu trudności.” Samą powieść, podając jéj treść szczegółowo, wysoko stawia, po nad wszystkie romanse francuzkie, które: „od pierwszego stanowczego spojrzenia, aż do katastrofy (nie zawsze tryumfem godności kobiecej będącej) jest ciągiem pasmem miłosnych jeremiad, słodkawych oświadczeń, płaskiej galanteryi i awantur nienaturalnych, a często bardzo nieprzystojnych i gorszących. Dla ludzi dobrego tonu zwykle pisane, i ich przygody po największej części zawierające, mało w sobie użyteczności dla średniej a najważniejszej klasy zamykają, a polykając tylko czas nader drogi i skąpo obliczony, bawią nieczynność i lenistwo, ale niczego nie uczą.” Kończąc recenzent o téj nowój książce, wyraża gorące życzenie, ażeby obok *Cierpienia młodego Wertera*, przedsięwzięto tłumaczenie z Goethego *Lata nauki Wilhelma*.

Od roku 1822 *Gazeta Literacka*, w tym samym formacie, druku i na tymże papierze, zachowując program dawny wychodziła, wzbogacając się powiększeniem objętości. Do każdego bowiem numeru dodawał wydawca pół arkusza więcej. Za godło nowa redakcja kładła na czele każdego numeru takie z Boileau wiersze:

„Zasługa bez ostrogi drzymie i mniej słynie;
Lecz gdy ją krytyk ostrym swym bodźcem zakole,
Geniusz wyżej wzlata i świetną gra rolę;
Im go bardziej ćmią, z blaskiem tym większym się wyda:
Cynna winien swój zaszczyt, prześladowcom Cyda.

Wiadomości księgarskie o wychodzeniu pojedynczych dzieł, zastąpiono statą *Kroniką literatury narodowej*. Była to bibliografia, tylko nieraz podająca i treść samego dzieła. Przybył i humorysta

literacki Wojciech z Prokocimia na ciężkie utrapienie L. A. Dmuszewskiego redaktora *Kuryera Warszawskiego*, którego chwycił grube błędy nie tylko językowe, ale i w treści samej, wykazując jego nieuctwo i błędy redaktorskie. W lipcu 1822 r. w Nr. 24 *Gazety Literackiej* tak zapowiada on swój występ w szranki literackie:

„Rok temu już mija, jak z pociechą dla rodziców i z przyzwitoym dla kraju pożytkiem szkoły ukończyłem. Mam bardzo wiele wiadomości gruntownych, styl gładki, wyobraźnią bujną i szczególną zdolność do wszystkiego. Jako godny syn ojczyzny chcę jęj koniecznie być użytecznym. Lecz niestety! dotąd się ona nie matką ale macochą dla mnie pokazuje. Udawałem się do leśnictwa, do administracyi, do skarbu, do oświecenia, do górnictwa, krótko mówiąc do wszystkich wydziałów służby publicznej, lecz wszędzie niepoznawano się na mnie. Wystaw sobie W. Pan, kazali mi *praktykować!* i drogi czas trawić na przepisywaniu oschłych rzeczy, którebym sto razy lepiej bystrym rozumem moim był utworzył. Urażony takim przyjęciem w inną się stronę udałem. Obszerne pole umiejętności i kunsztów stało mi otworem, postanowiłem: zdolności moje literaturze poświęcić, piórem szerzyć nauki w ojczyźnie i zwolna stać się *luminarzem* narodowej oświaty.

Lecz i tu muszę znowu niestety! zawołać: jakaś cienna gwiazda nad losem moim panuje.

Zawód mój literacki chciałem wydawaniem dziennika rozpocząć. Miałem przed sobą przykład tyłu rówieśników moich, pomyślałem sobie: kiedy oni w niedojrzałe pomysły wplatając słówka: *ojczyzna*, *liberalność*, *oświata*, potrafili łaskę dwutrubnej sławy pozyskać, czegoż ja niedokażę, gdy mię natura takim dowcipem a *Liceum* tyłu wiadomościami uposażyło?

Ożywiony nadzieją biorę się czempredżę do pracy. Hołdując duchowi czasu, szukam tytułu w zoologii, mitologii i dziejach ojczystrych. Tu mi się snuje *Puchacz nadwiślański*, owdzie *Jokus* i *Komus*, tam znowu *Rzepicha* i *Polelum*. Wszystko wyborne tytuły do dzienników: trudny wybór. Biegnę zatem do księgarza na Krakowskie (Zawadzkiego i Węckiego), zwierzam mu się mojego zamysłu, ofiaruję prospekta i tytuły; lecz ten śmie wątpić o prenumeratorach i uchyla się od antrepryzy. Biegnę do drugiego na Miodową ulicę (Natana Glücksberga), pochlebiam mu, chwale, wystawiam jakie korzyści go czekają, gdy mój dowcip z drukiem *Didota* się złączy, ale i tu też sama piosnka. Typograf nie chce przyjąć nakładu, narzeka na ciężkie czasy i kurczy mi się wśród komplementów. Zrażony tą przeciwnością już nie chciałem projektów moich ofiarować weteranom księgarstwa na Świętojańskiej ulicy (Szczepański i Puksza) i wolałem inną obrać ścieszkę do świątyni nieśmiertelności. Otom zaczął pisać okropną tragedya: wtém patrzę, aliści jeden z towarzyszków moich, uprzedza mnie przedmiotem, i też same prawie sentencye i najlepsze antytezy drukiem ogłasza.

Cóż tedy począć? Czas szybko mija, jak Walter-Scott w *Pani Joziora* powiada. Jeżeli się spóźnię z autorstwem, może mnie nie-szczęsnego znowu jakie nieprzewidziane okoliczności od tego zawodu odsuną. Lepiej chyżo wziąć się do pióra. Myślałem więc o przed-miocie. Chciałem napisać dzieło jakie gruntowne, lecz dreszcz mnie przeszedł gdyś sobie wspomniak ile na to czasu, pracy i szperania po-trzeba. Chciałem zostać poetą, ale tych już pełno; nikt się teraz nie wstawia, chybaży *Bielawscyadę* ¹⁾ napisać. W kłopotcie będąc z włas-nemi myślami, przypomniałem sobie że krytyka jest łatwą. Chciałem teatr *Iszować*, lecz to nic nie nada, już mnie koledzy ubiegli. Wtém, o błoga chwilo! błyska mi światółko; jest jeszcze niewyczerpane źródło do krytyki: oto są pisma peryodyczne.

Dziwno mi nieraz było, że przy mnóstwie błędów i niedorzecz-ności, któremi nas niektóre dzienniki i gazety częstują, nikt się do ich wytknięcia nie weźmie; domyślałem się, że każdy boi się żądta odwetu; lecz w dobrej sprawie niema się czego obawiać: głupstwo, chociażby i najdowcipniej bronione, zawsze uledeż musi. Jeżeli WPan to przekonanie dzielisz, pomóż mi, udzielić kącika w *Gazecie*, i poz-wól abym niekiedy, peryodyczne wykroczenia, skrapiał wyskokiem dowcipu mego. Niezawsze ja jednak ganić zamysłam: owszem po-chwałę, co chwały godne. Tak np. obszernie wiadomości *Kuryera Warszawskiego*, czystość języka w *Balladach Wileńskich*, dobry smak i szlachetność stylu *Pszczółki Krakowskiej* i t. d., zawsze są godne zalety. *Ex ungue*, czyli jak *Pszczółka* mówi, *Ex unguis cogno-scitur leo*, poznaj WPan moje dobre chęci, wysłuchaj prośby mojej i nie obawiaj się, abym niestusznemi pociskami na niewinnych godził lub też stronictwem uwiedziony, przez szpary patrzył; nie mogę wprowadzić za skutek ręczyć, to jest za poprawę winnych, sądzę jednak iż dosyć będzie, gdy zdołam postrach rzucić w ich szeregi i ostroż-niejszemi ich uczynię. P. S. Gdyby się w *Gazecie Literackiej* jaki sęczeżek zjawił, czy wolno go będzie wygładzić? *Wojciech z Prokocimia*."

Odezwa ta rzeczywiście rzuciła popłoch między redaktorów pism warszawskich, z których wielu miało się za nieomylnych. „Co to za zuchwalec (mówili), co się odważa stawać pomiędzy nasze zwarte sze-regi? Snać tchórz, bo się własnem nazwiskiem nie podpisał, tylko lisią skórą się przyodział. Co to za Wojciech z Prokocimia?” Rozpoczęto ścisłe poszukiwania i śledztwo, ale wszystkie te usiłowania zostały bez-skuteczne. Redakcja *Gazety Literackiej* dochowała tajemnicy, a sam p. Wojciech był ostrożny i niczem się nie zdradził, nasłuchując jakie nań gniew tych panów, pociski miotał. Oczekiwano niecierpliwie wy-stąpienia jego w szranki turniejowe. I ów rycerz z zamkniętą przyk-

1) *Bielawscyadę*, od nazwiska Józefa Bielawskiego, autora komedyi, którą otworzono pierwszy teatr stały w Warszawie za Stanisława Augusta. O Bielawskim, przedmiocie szyderstw dowcipnego Węgierskiego, jużesmy wspominali obszerniej.

bica, niedając długo na siebie oczekiwać, dnia 30 lipca 1822 r., w nr. 25 *Gazety Literackiej* rozpoczyna gonitwę na ostre; czytamy bowiem: „Osobliwsze téż czasem *Kuryer Warszawski* nominacye rozdaje: tak np. z narodu Agratów czyli téż z jéj stolicy zrobił arcybiskupa (nr. 182).

„Numer 183 *Kuryera Warszawskiego* był mi powodem do głębokich myśli filozoficznych, nad terażniejszą demoralizacją na tym padole płaczu. O! bogowie, wszakże to w Hiszpanii i zwierzęta za pomocą *Kuryera* popełniają samobójstwa i żeby to osły lub cielęta to fraszki, ale to poważne byki!

„Korrespondent warszawski połączony z *Kuryerem* odniósł d. 12 sierpnia imieniem Greków świetne nad Turkami zwycięstwo. Sprzymierzeni zabrali szesnaście okrętów liniowych. Jak się tylko o powyższém zwycięztwie dowiéd ten minister, co to w Koryncie sam stoły i stołki robi (*Kuryer* nr. 186), pewnie radaktorom przyśle medal z napisem: „Wdzięczna Grecya.”

Nietylko *Kuryer Warszawski* był celem jego wycieczek, lubo najczęściej na niego uderzał, biorąc z niego obfity materiał pod pióro; ale i innym pismom peryodycznym nie przepuszczał p. Wojciech z Prokocimia; czytamy dalej bowiem:

„Nauki a z niemi i język tak olbrzymim u nas postępuje krokiem, że się wkrótce *Słownik* Lindego bardzo niedokładnym okaże. Podług niego, ma *wietrznica* oznaczać *ospę*, lub *kobiętę lekkomyślną*, zaś podług *Pamiętnika Warszawskiego* (nr. 8) znaczy ona i *trąbę wietrzną*. I bardzo słusznie, bo jeżeli wiatr ma w tych wyrazach grać rolę, niechże ją sobie tam gra, gdzie jest szkodliwszy od *ospy* i od *kobięty*.”

Gniów i oburzenie redaktorów pism dotkniętych nie mógł szkodzić *Gazecie Literackiej*; z innej strony zagroziło jéj niebezpieczeństwo. Oto co czytamy w nr. 36 z dnia 14 października 1822 r.

„Redakcyja ma honor zawiadomić prenumeratorów *Gazety Literackiej*, że opóźnienie w wydawaniu pisma tego, nie nastąpiło wcale z winy poczty. Główną przyczyną jest brak zasiłków literackich większy, niż się go redakcyja obawiała na początku roku, przy obiecanéj pomocy tyłu uczonych. Uišci się jednak redakcyja z długi względem publiczności zaciągnionego. Prenumeratorowie odbiorą jeszcze dziesięć numerów pisma tego, a zwłoka kilku tygodni nie wiele zaszkodzi, gdy *Gazeta Literacka* przez brak współpracowników (nie prenumeratorów), z końcem r. b. ustać będzie musiała.”

Tego opóźnienia nie przebaczył Wojciech z Prokocimia. Właśnie podówczas wychodziła *Astrea* zeszytami, jako dalszy ciąg *Sybilki Nadwiślańskiej*. Redaktor Franciszek Grzymała obu tych pism, na które nie brakło prenumeratorów chętnych, którzy cenili zdolności tego publicysty, nadużywał wciąż cierpliwości swoich czytelników, gdyż ciągle opóźniał się z wydawaniem zeszytów. Z tego powodu w tejsze *Gazecie* czytamy Wojciecha z Prokocimia uwagę:

„*Astrea* zapisała testamentem swój pośpiech *Gazecie Literackiej*. Sukcesya dostała się w dobre ręce: bo przynajmniej żaden pieniacz nie będzie teraz śmiał powiedzieć, że u nas *Astrea* opieszła.”

Smutna zapowiedź redakcyi *Gazety Literackiej*, sprawdziła się niestety. Pismo to dla braku współpracowników, z końcem 1822 r., A. T. Chłędowski główny redaktor przerwać musiał.

W ciągu dwuletniego swego istnienia, organ ten oddał rzetelne usługi literaturze i oświacie krajowej, nieprzepominając dzieł ważniejszych w ojczyźnej mowie, czyto oryginalnych czy tłómaczonych, oznajmiał czytelników swoich z literaturami zagranicznymi, nietylko z francuzką w modzie będącą, ale angielską, niemiecką, holenderską, włoską i innymi. Nie pomijał i bliższych nam jak z dwu dziesiątków lat. *Gazeta* podała nam zajmujący obraz ruchu literatury czeskiej, niepomijając ważniejszych zjawisk i w literaturze rossyjskiej. Krytyki które podawała odznaczały się sumiennym, poważnym poglądem i wytrawnością pióra. Nie na wszystkie sądy i zdania możemy dziś przystawać, ale godzi się zapisać tę wyższość redakcyi *Gazety*, ponad wszystkimi innymi współczesnymi pismami; żadne bowiem podobnymi recenzjami pochłubić się nie może. Autorowie ich pozostali nieznanymi, bo nigdy się nie podpisawali, rzadko cyfrę jaką położyli: pisząc bezpłatnie, pracę swą poświęcali na cześć nauki i literatury krajowej. *Gazeta* obudzała ruch umysłowy w poważnym kierunku. Pierwszy raz odezwały się w niej głosy *polek* piszących, jak między innymi, *Obywatelka z województwa augustowskiego* (w nr. 13, d. 27 marca 1821 r.), surowo prostując zdanie *Gazety* o romansie *Żale Elwiry*. Gdyby organ ten przeciągnął byt swój kilka lat później, stałby się niewątpliwie skarbem wiadomości zajmujących i głębszych poglądów na rozpoczynającą się walkę klasyków z romantykami, która właśnie w tym okresie wybuchła. Znajdujemy tylko w *Gazecie Literackiej* pierwszy odbłysek iskierki, która się w pożar nieugaszony, jak zobaczymy, zmieniła. W r. 1822, J. K. S. (o ile wiemy Józef Kalasanty Szaniawski cenzor) wydrukował broszurę, o dwudziestu stronnicach w 8-cc, p. n. *Mowa o duchu klasycyzmu i romantycyzmu we względzie filozoficznym*. Napisaną była w celu pogodzenia romantyków z klasykami. Gruntowne autora uwagi dążą do okazania, że prawdziwa doskonałość tak w umiejętnościach jak sztukach, zależy na ścisłym połączeniu klasycyzmu z romantycyzmem; albowiem ani klasycyzm bez romantycyzmu, ani romantycyzm bez klasycyzmu nie może stanowić dzieła doskonałego. To swoje zdanie popiera dowodnie przykładami dzieł genialnych pisarzy różnych narodów, i kończy ogólnymi filozoficznymi uwagami.

„Nie lękam się ja (pisze autor) znawców prawdziwych, którym uprzedzenie jeszcze nie zawróciło głowy, bo ci jednego zemną są zdania; lecz dobrze o tém jestem przeświadczony, że to w niemałe wprawdzie zadumienie zapalonych stronników klasycyzmu i romantycyzmu, gdy im otwarcie wyznam, że się na żadne z niemi zdanie w tej mierze nie zgadzam.”

I w tej rzeczy miał autor prawdę po sobie, bo obadwa stronnictwa jeszcze jasno i logicznie nie postawiły własnych programów, co rozumieli w ścisłym przez nich znaczeniu i co pojmują przez klasycyzm a co przez romantyzm.

W rozmaitościach podaje Gazeta zajmujące wiadomości o pomnaniu się ważnych nabytków do historii i literatury. Wspomnieliśmy już o założonej bibliotece w Kórniku przez Tytusa hr. Działyńskiego, którą z wielkim nakładem pomnażał. Tak dowiadujemy się, że ten miłośnik cennych zabytków, na wagę złota w Paryżu nabył księgę do czterdziestu arkuszy własnoręcznych pism Napoleona I-go: za których autentyczność hrabia Montholon, baron Mounier i książę Bassano ręczą, przyłączonem świadectwem, pisanem i opieczętowanem przez ostatniego. Pisma te zawierają po części bardzo interesujące dokumenta, do dziejów wieku Napoleona I; poczynając od czasu służby, gdy nagle jako generał brygady był od czynnej służby usunięty, aż do początku wojny w Hiszpanii. Wielce ciekawy jest projekt poprawienia artylerii tureckiej pisany własnoręcznie, a wiadomo że przed 18 Vendemaire miał zamiar udać się do Stambułu i ofiarować Porcie swoje usługi jako oficer artylerii. Inne dokumenta dotyczą kampanii włoskich: najgodniejszym zaś uwagi i najważniejszym w tym zbiorze, jest plan pierwszej wyprawy do Hiszpanii, dyktowany przez Napoleona I księciu Abrantes, opatrzony po brzegach licznymi dodatkami. Plan ten zwraca uwagę szczególną tém, że wyjawia tajne jego zamysły o przyszłych granicach Francji i Austrii. Cały ten cenny zabytek nie był i nie jest dotąd znany francuzkim pisarzom dziejów tego wojownika, ani redakcyi, która się zajmowała wydaniem korespondencji Napoleona I już w naszych czasach, z polecenia Napoleona III. Jeżeli pomieniony zabytek, jako droga pamiątkę, po ubóstwianym cesarzu na wagę złota nabył Tytus hr. Działyński, nie pożałował hojnego grosza na skupowanie drogich pamiątek narodowych. Tak w tymże roku zdobył dwa foliały rękopiśmienne do dziejów ojczystych. Pierwszy pisany na pergaminie 1422 r., zawiera zbiór przywilejów nadanych Krzyżakom (od czasu zjawienia się ich na polskiej ziemi), przez królów polskich i wielkich książąt litewskich; drugi, ręką Długosza na pergaminie także pisany, i przez niego r. 1471 w skarbcu krakowskim złożony, a dla interesów krzyżackich z rozkazu Zygmunta I do Poznania przywieziony, obejmuje zbiór tranzakcyi przez Długosza zebranych, a zdziałanych między Polską i Krzyżakami: są w nim równie i dowody, że ziemie Michałowskie, Pomorskie i Chełmińskie do korony polskiej należą. T. Działyński w tejsze dobie odkrył egzemplarz dotąd nieznanych a drukowanych poezyi Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, które później Józef Muczkowski przedrukiem rozpowszechnił.

Przykład T. Działyńskiego zapalał umysły i potężnie oddziaływał na naszą społeczność. Za jego też przewodem pomnożyło się grom wielbicieli zabytków przeszłości, o które dotąd mniej dbano, i powstały liczne prywatne księgozbiory, wzbogacane niemi, o ile środki

ich właścicieli pomagały potemu. Możemy tylko zaręczyć, że były liczne przykłady, że złoto hojnie stawiane niedawno na karty, jeszcze ochotniej oddawano za dawne księgi i rękopisma, przez zamożną młodzież arystokracji polskiej. Nie jeden z nich, nabywszy drogocenny zabytek, chlubił się nim ochotnie i z dumą szlachetną opowiadał ile trudów w zdobyciu go poniósł, i wiele garści dukatów wysypał.

Gazeta Literacka podaje nam nadzwyczaj ważną statystykę szkół w Królestwie Polskiem z r. 1821, zaczynając od uniwersytetu a kończąc na pensyonatach prywatnych męzkich i żeńskich.

Uniwersytet Królewsko-Warszawski liczył w r. 1821 profesorów na pięciu wydziałach 46, uczniów zaś 491. Najliczniejszym był wydział prawa i administracyi, mający uczniów 256; najmniej zaś tychże liczący wydział sztuk pięknych, bo tylko siedemnastu uczniów.

Szkół jedenaście wojewódzkich liczyło nauczycieli 169, uczniów zaś 4,117; szkół wydziałowych 104, uczniów 1,906; szkół podwydziałowych siedm, nauczycieli 33, uczniów 508. Instytuta nauczycieli elementarnych dwa: 1) w Łowiczu, 2) w Puławach: liczyły razem nauczycieli 11, uczniów 58. Szkół elementarnych w miastach i po wsiach razem szkótek 11,000, z uczniami 36,198. Biorąc ogólnie ludność ówczesnych ośmiu województw wynoszącą razem 3,585,804, szkoły wszystkie miały uczniów 43,871. Województwo Sandomierskie we względzie edukacyjnym najniżej w tym roku 1821 stało, albowiem na ogólną ludność 344,458 głów, liczono tylko 3,322 uczniów, gdy Podlaskie, często traktowane szyderskimi przydomkami, na ludność 329,796 miało uczniów 2,427.

Co do kontroli druku zaszła w tymże roku 1822 zmiana. Cenzura pism peryodycznych zostawała przy dyrekcji generalnej policyi; cenzura zaś wszystkich innych dzieł była przy komisji rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Postanowieniem namiestnika królewskiego (pod dniem 7 maja 1822 r.), połączono tę cenzurę razem i ogólną władzę powierzono dyrektorowi generalnemu wychowania publicznego radcy stanu Józefowi Kalasantemu Szaniawskiemu, to jest cenzurę zarówno dzieł, jak pism peryodycznych i wszelkich druków. Cenzura ta obowiązywać zaczęła od dnia 20 maja 1820 r.

Wspomnieliśmy już że lata 1821 i 1822 obfity plon przyniosły dla literatury ojczyźnej. Wytwarzał się on w części w Warszawie, a głównie skupiał w Warszawie i rozptywał po całym kraju. Utwory poetyczne jak i prozą stanowiąby obszerny katalog, o ważniejszych przeto tylko tu wspomnimy, które czujniejszą uwagę na siebie ściągnęły naszej inteligencyi społecznej. Na czele postawić tu musimy: *Pisma Kazimierza Brodzińskiego* w 2 tomach, obejmujące różne poezye tak oryginalne jak tłómaczone lub naśladowane. Gdy je publiczność, a szczególnie młode pokolenie z zachwyceniem przyjęło, *Gazeta Literacka* poświęciwszy im obszerny rozbiór, ciągnący się przez kilka numerów, zawsze oszczędna w pochwałach, nie poznawszy się na prawdziwej ich wartości, zajęta wyszukiwaniem drobnych błędów gra-

matycznych, w końcu wynurza swój żal, że autor lepszego wyboru w pismach swoich nie zrobił.

„Każdy pisarz czytelników swoich, tak kończy recenzent swoją krytykę, równie jak każdy gospodarz, gości przyjaznych tém tylko częstować powinien, co dom ma najlepszego. Zbiór ten ograniczony do jednego tylko tomu, ułatwiłby był autorowi wypracowanie, uwolniłby był i jego czytelników od tak długiego komentarza. Nicby na tém nie straciła stawa p. Brodzińskiego, w czytaniu bowiem i pisaniu dzieł nie zależy na tém, jak mówi Seneka: *quam multa, sed quam bona.*”

Skromny, jak zawsze Brodziński, przyjął z pokorą i w milczeniu podaną sobie nauzkę przez surowego sędziego, ale młode pokolenie inny sąd wydało o tym zbiorze o ulubionym poecie. Uderzały w nich, co ocenić młodzież umiała: szczerłość, prawda, uczucia i prostota wyrażenń poety, tak różna od współczesnych wierszopisarzy. Skwapliwie się też uczyła na pamięć wiele poezyi z tego zbioru, a miała w czém wybierać. Starsze pokolenie przyjęło z równem upodobaniem tę publikacyą. Żyłó wówczas po miastach, a więcéj po dworach ziemian w zaciszy wiejskiej wielu weteranów wielkiej armii Napoleona I. Z uczuciem głębokiej wdzięczności, ze łzami w oczach dla poety, starzy wojacy, co walczyli w Italii, na San-Domingo, w Hiszpanii, czytali wiersz położony na czele p. n.: *Legionista*, a dwuwiersz z niego:

„Własnąśmy tylko ziemię po ojcach orali,
Na swoich tylko miedzach szablę zatykali.”

stał się niemal przysłowiem narodowém, które w ustach wszystkich brzmiało.

Bez łez téż bolesnych i głośnego łkania, marsowate te postacie, z ranami z pod Mantui, z San-Domingo, Saragossy, które dopiéro w kraju pogoili, nie mogli słuchać wiersza Brodzińskiego: *Na wprowadzenie zwłok księcia Józefa Poniatowskiego, z pod Lipska do Warszawy, 1815 r.*

W gronie ich gdy przyszedł ten ustęp:

„O! bracia, już ostatnia wybiła nam pora,
W nieszczęsną Troję zwłoki prowadzą Hektora:
Spocznie Bóg, grot ostatni padł na Polską ziemię:
Już mu braknie pocisków na Sarmackie plemię.”

oblicza słuchaczy bladły, głowy opuszczano na piersi, a łzy słone zwilżały ich policzki i posiwiące wąsy. Pieśń *Żołnierz nad rzeką Moskwą w r. 1812*, z łatwą a pełną tęsknoty melodyą, była śpiewana po wszystkich obywatelskich domach, nietylko w Warszawie, ale w całym kraju po dworach wiejskich. Wiersza: *Przodkowie*, uczyli się chłopcy małe na deklamacye ku uciesze rodziców swoich, studenci w szkołach występowali z nim na publicznych egzaminach.

Pierwszy Brodziński dał nam prawdziwą sielankę polską: *Wiesław*, w pięciu pieśniach. Słusznie téż poetę sprawiedliwa potomność

uczciła przydomkiem: *śpiewaka Wiesława*. Wszystkie dawniejsze sielanki, któremi się szczylił okres Stanisława Augusta, stanęły jak blade widma bez życia, obok Wiesława pełnego czerstwości krakowskiej. Prawda, szczerłość i prostota oechuje to wierne malowidło chłopaka krakowskiego, a znał go dobrze Brodziński, gdyż wychował się w Krakowskiej ziemi i matkę mu w niemowlęcych latach zmarłą, chłopki krakowskie zastąpiły; ich też pieczołowitości i staraniu zawdzięczał, że zdrowo się w pacholecych latach chował.

Dla Warszawy najulubieńszym wierszem Brodzińskiego był ów miły obrazek *Stas i Halina*, w którym opisuje odpust w Czerniakowie, tak rok rocznie przez warszawską ludność obchodzony uroczystie. Tłumy idące w to ustronie wiejskie, powtarzały sobie z przyjemnością początkową strofę:

„Weselna była pora majowa,
Na odpust szedłem do Czerniakowa.”

Nie piszemy tu rozbioru pism wydanych przez K. Brodzińskiego, ale zbieramy tylko wspomnienia, jakie wywołały wrażenia w społeczności Warszawy i całego jej kraju. Wszystkie jej warstwy znalazły w nich upodobane sobie utwory: zarówno matki, żony, dziewice polskie, jak młodzież ucząca się; dojrzałsi wiekiem ziemianie i wojacy nasi, jedni zostający w czynnej służbie, drudzy osiedli na roli lub w zacisznym zakątku bez skargi na ustach, kończący swoją smutną pielgrzymkę życia.

Wiersz Brodzińskiego: *Żal za językiem polskim*, może niejednego dziś dziwić; wówczas gdy go pisał, był wywołany prawdziwem oburzeniem, na wzgardę ojczystej mowy. Gorzka ta, z głębi serca wyrzucona skarga na tę lekkomyślność całej naszej społeczności miejskiej i wiejskiej, która wychowanie swych dzieci uważała za najwyborniejsze i wykończone, gdy niedorostki lepiej się tłómaczyły po francuzku, niż rodowitym językiem. Panie nasze uważały za grzech śmiertelny odezwanie się syna i córki ojczystą mową, brały to za uchybienie swój godności rodowitej. Działwa od kołyski, inniej jak francuzka nie słyszała mowy. Ztąd Brodziński w tej ślicznej elegii nie daremnie wyrzuca:

„Język, którym ojcowie na obradach wolni,
Serce wywnętrzyć, sławę podbić byli zdolni,
Świadek przodków swobody, ich przekaz wieczysty,
Niezmienny jak duch Lechów, jak ich serce czyste;
Język, którym królowie bóstwo lackie czoili,
Potomki prawie teraz do sług obrócili.
Nie po polsku do swoich ojców mówią dziatki,
Już Polski nie rozrzewnia święte słowo *matki!*
Przestała luba działwa pieścić mowę dziadów,
Przy ucztach, w zamku ojców, niema Polski śladów.
W obcym języku córka uczucia rozjawia,

W obcym dowcip rozwija i do cnót się wprawia;
 Niankom tylko ojczysty język zostawiony!
 Sobie matka nieufna, szle w dalekie strony,
 By cudzoziemka obca w cnotach i zwyczaju,
 Prawe obywatelki tworzyła dla kraju:
 Bo znać, jak mało polską tchniemy jeszcze duszą,
 Że nas i cnót domowych obcy uczyć muszą!
 Za Polskę znosi rycerz z ziem odległych rany,
 Nie po polsku od Polek bronionych witany;
 Serdeczny język ojców, wierzajcie zdumieni:
 Nie umie już tłómaczyć serdecznych płomieni!"

Że takie nierozważne mniemanie przeważało w społeczności naszej, a głównie w Warszawie, mamy najlepszy dowód w słynnym pod owe czasy romansie: *Adolf i Julia*, który napisał za czasów Księstwa Warszawskiego Ludwik Kropiński, autor tragedyi *Ludgarda*, powodowany tą prawdziwie obywatelską myślą, ażeby przekonać, głównie Polki, że język narodowy zdolny jest równie jak francuzki oddać wymownie wszystkie uczucia miłości i równie je *delikatnie* cieniować.

Klementyna Tańska, późniejsza Hoffmanowa, niezapomniana autorka, która tak potężny wpływ na płeć swoją w kraju wywarła, na zebraniach u siebie przygotowała puszkę, w którą każdy musiał za karę płacić, gdy użył francuzkiego wyrazu lub zwrotu, mogąc go dobrze wypowiedzieć po polsku.

Wszystko to nas dzisiaj dziwić może, a za owych czasów byłoto rzeczą zwyczajną i powszednią, na którą sarkat z goryczą Brodziński i wielu idąc za jego przewodem.

Słusznie też uważa nasz poeta za szkodę i w literaturze gdy pisze:

„Myśl w sekwańskim ubiorze, pióro w polskim chodzi,
 Mało co w plennéj Polsce polskiego się rodzi;
 W rozmowach dziwnie język z obcym się kojarzy:
 Po francuzku spór wiem o polskich pisarzy.”

Bolesna skarga, jaką zakończył swą elegię Brodziński, nie przeszła bez wrażenia. Od tej chwili, możemy zaręczyć, poczęto więcej szanować ojczystą mowę i mniej *paplać* w połowie po polsku, w połowie francuzku. *Zal za polskim językiem* poruszył odwagę cywilną dotąd uspioną i nie cofano się w towarzyskich zebraniach karcie młodzików, a nawet i panny, gdy mowę rodzinną tym sposobem każyły.

Wpływ Kazimierza Brodzińskiego, lubo nie rozgłośny, był cichy i spokojny, jak samego poety charakter. Myśli jego, skargi nawet, były to słowa wypowiedziane z taką miłością a tak rzewnie, że pomimo woli ignęły do serca, do głowy. On, jak pracowity oracz przy piosnce skowronka, uprawiał w pocie czoła plenne niwy ojczyste, aby w nie rzucił ziarna bujnego posiewu, genialny mistrz *Dziadów* i *Grażyny*, aby dorazu wybijały z nich kwiaty i plony. Mickiewicz znalazł rolę

gotową, uprawną należycie, a ta zasługa należy zaprawdę śpiewakowi *Wiesława*.

W tych latach po *Sybilli* ukazał się nowy poemat Pawła Woronicza: *Asarmot narodów sarmackich patriarchy* i majestatyczny *Hymn do Boga*. Nic równie wzniosłego niemięła, a rzec można, że i dziś nawet możemy powiedzieć, niema poezya polska nad te utwory Woronicza. Ale toż samo uczucie, które natchnęło świętym psalmem kapłana-poetę, ogrzewało piersi skromnego Brodzińskiego. Cała różnica zachodzi w dobraniu treści i okryciu artystycznym każdego utworu. Woronicz grał na surmie, pod której odgłosem kruszyły się mury Jerycho; Brodziński na fujarce wierzbowej rozweselał niwy i dąbrowy polskie, ale myśl i ton obu były też same, płynące z jednych uczuć i jakby z jednej głowy.

Prawie współcześnie po pismach Brodzińskiego, ukazała się *Pani Jeziora*, poemat Walter-Skotta, tłómaczony z angielskiego przez Karola z Kalinówki (Karola Sienkiewicza), w Warszawie 1822 r., dwa tomy. Mistrzowski ten przekład, w pośród tandetnych tłómaczeń, zajaśniał nagle jak świetny meteor. Przekład dopełniony z oryginału, w części wierszem, w części prozą, pozyskał ogólne uznanie, a nakładca N. Glücksberg dobrze i korzystnie wyszedł, sprzedawszy w ciągu roku całe wydanie, złożone z przeszło 1,000 egzemplarzy.

Byłto pierwszy tłómacz, który nas sumiennie zapoznawał z arcydziełem Walter Skotta, wprost (bez pośrednictwa Francuzów) przełożonem z oryginału. Karol z Kalinówki utrwalił tą jedną pracą imię swoje i pokazał jak się powinny tłómaczyć arcydzieła z literatur obcych. Poszedł też jego śladami A. E. Odyniec i w lat 16 później wzbogacił literaturę nowym przekładem tegoż utworu pod zmienionym tytułem: *Dziewicy Jeziora*, idąc w tém za późniejszém zdaniem samego autora. Pomimo jednakże talentu A. E. Odyńca, z jakim spełnił swoje zadanie, dziś odczytywać można z całą przyjemnością tłómaczenie Karola z Kalinówki i podziwiać urok jego poetycznego słowa. *Gazeta Literacka*, mówiąc o pojawieniu się przekładu Karola z Kalinówki, już zaczęła wydierać kartki z kodeksu klasycznego, dotąd z bałwochwalską czeią szanowanego. „Podług prawideł poetyki, pisze, cudowność jest koniecznym warunkiem poezyi rycerskiej. Bez wątpienia była ona konieczną dla Greków, jest ozdobą zajmującą i na naturze umysłu lubiącego rzeczy nadzwyczajne zasadzoną; lecz niesmaczne alegorye *Henryady* przekonywają nas, jak źle jest nadto ulegać prawidłu niewczesnie upowszechnionemu; interes zaś i poemat, wielu poematów Byrona i Walter-Skotta dowodzi, że się ten rodzaj rycerskiej poezyi i bez cudowności obejść może. Każda akcyja jedna i prosta może być przedmiotem tak jak i w tragedyi, ta tylko zachodzi różnica, że się rzecz odbywa nie przez wystawienie osób działających, ale przez opowiadanie, które upoważnia większą bujność języka, otwiera obszerniejsze szranki dla imaginacyi i daje wstęp wszelkiemu rodzajowi ozdób poetycznych. Na témto obszerném polu wiele jeszcze miejsc do

uprawy zostaje; ludzie talentem obdarzeni, t \acute{e} m ch \acute{e} tniejby si \acute{e} niemi zająć powinni, gdy ka \acute{z} dy jest przekonany, jak trudno w dziejach świata znaleźć przedmioty podobne do obł \acute{e} żenia Troi lub Jerozolimy.”

Ręka, która to pisała, roztworzyła naścięzaj wrota do niwy, uprawion \acute{e} j przez K. Brodzińskiego, dla genialnego siewcy Bo \acute{z} ego ziarna. Tak wszystko zwolna przygotowywało si \acute{e} na przyjęcie uroczyste wielkiego poety, który jedn \acute{e} m słowem, jednym wierszykiem *romantyczność*, dał nazwę sw \acute{e} j epoce i nowy świat w pojęciach społeczności polskiej roztworzył.

Obok poetycznych utworów tak oryginalnych, jak i t \acute{l} ómaczonych arcydzieł obcych i w gałęzi historycznej pojawia si \acute{e} niezmiernie wa \acute{z} na publikacja p. n.: *Zbiór pamiętników historycznych o dawnej Polsce wydanych, oraz z listami oryginalnemi królów i znakomitych ludzi w kraju naszym*, przez J. U. Niemcewicza.

Od końca panowania Augusta III i Stanisława Augusta, nie wyszedł \acute{z} aden u nas zbiór historyczny. Zbiory historyków polskich przez Miclera i Bohomolca wydane, stały si \acute{e} zbyt rzadkimi, a lubo literatura polska w innych gałęziach swoich bujnie zakwitła, ta gałąź zbiorów historycznych i pamiętników, całkiem zaniedbaną została. Zasluga w t \acute{e} m nie mała J. U. Niemcewicza, który nietylko w tym kierunku dawał piękny przykład, o \acute{z} ywił scenę narodową utworami dramatycznymi treści dziejowej, podjął napisanie dziejów *Panowania Zygmunta III*, wydał *Spiewy historyczne*; teraz zabrał si \acute{e} do publikacji zbiorowych pamiętników historycznych i wydobycia z ukrycia nieznanych rękopismów, dla wzbogacenia wiedzy o przeszłości zagast \acute{e} j.

Autor w przemowie swojej, objaśniwszy czytelników o treści swego wydawnictwa i znaczeniu pamiętników, oraz zabytków historycznych, po wylczeniu wydatniejszych pisarzy owych pamiętników, których prace przechowały si \acute{e} szczęśliwie, nie pomijając i obcych o Polsce piszących, dalej wyraża:

„Ileż mimo tylu najazdów i rabunków pozostało nam jeszcze rękopismów własnych rodaków, dyaryuszów sejmów, wypraw wojennych, negocyacji, opisań pogrzebów, wesel, podróży, listów nakoniec oryginalnych królów, hetmanów, komisarzy, wielu innych znakomitych m \acute{e} żów. Co za skarby! jakżeby smutno by \acute{e} lo zostawiać je dłu $\acute{z$ ej na pastwę molów lub na tylekroć powtarzane ju \acute{z} zatracenia najdro \acute{z} szych pamiętek naszych.

„Wszystko to zebrać, ułożyć, przetłómaczyć, obrałem za mi \acute{e} starości m \acute{e} j zatrudnienie. Ile tomów dzieło to zawierać będzie, temu tylko wiadomo, który dni ka \acute{z} dego człowieka policzył. Spodziewać si \acute{e} że trzy przynajmniej tomy *in 8-to majori*, wychodzić będzie corocznie. Ufam, że mi \acute{o} śnicy świętej zeszłości narodu naszego, znajduj \acute{a} w tym zbiorze przyjemną dla siebie naukę i zabawę.”

Zamyka swą przemowę J. U. Niemcewicz w tych słowach:

„Wydając na świat, zachowując od zatracenia te rzadkie bardzo dawności naszej zabytki, dopełniam obowiązku troskliwego o sławę

ojczyzny naszej obywatela. Gdyby nawet śmierć przerwała pasmo zaczętej roboty, zostaną dla następców przygotowane już do niej materiały."

Niestety! to przecucie dostojnego autora, nie było daremne. Piąty tom *Pamiętników* wydanym został w Puławach, a VI już po zgonie autora we Lwowie i na nim skończyła się publikacja J. U. Niemcewicza, ale dała początek wydawnictwom licznych zabytków historycznych, które po nim podjął Edward hr. Raczyński: nieocenionej wartości *Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska* i wiele innych niemałej wagi dla rozjaśnienia przeszłości zabytków i pamiątek, które w następnych latach ogłaszając pięknem a zasłużonem wspomnieniem wdzięczności obok J. U. Niemcewicza, imię swoje otoczył i utrwalił w pamięci potomnych!

J. U. Niemcewicz rozpoczynając druk *Pamiętników*, liczył na pomoc z prenumeraty. Zawiedziony w swęj nadziei, rozdrażniony, na czele I tomu położył takie ostrzeżenie:

„Lista prenumeratorów (jeżeli będą) położy się w drugim tomie dzieła tego.”

Przymówka nie przeszła bez skutku: w tomie II, 128 prenumeratorów czytamy nazwiska; w tomie III, 154; w tomie IV, 169. J. U. Niemcewicz drukował swoje *Pamiętniki* w zakładzie N. Glücksberga, z początku preraził się niemającym nakładem, ale po uzyskaniu 451 prenumeratorów, uspokoił się, że jeżeli nic na tój publikacyi nie zyska za pracę, przynajmniej z własnej nie dołoży kieszeni.

Tom V już w r. 1830 drukowany w Puławach, w drukarni bibliotecznój, zachował format i gatunek druku, jak czterech poprzednich i gdyby nie tytuł, nie łatwo rozróżnić zmianę drukarni. Tomem tym sam J. U. Niemcewicz swoje wydawnictwo zamykał, dając w końcu spis szczegółowy rzeczy w V tomie zawarty. Pod dawnym tytułem Zakład narodowy Imienia Ossolińskich, wydał tom VI *Pamiętników* o dawnéj Polsce, zebrany z rękopismów własnych, zachowanych w pomienionym Zakładzie, dlatego i nazwisko J. U. Niemcewicza opuszczone na tytule zostało. Obejmuje materiały historyczne od roku 1545 do 1625.

Gdyby prowadził dalej wydawnictwo swoich *Pamiętników* J. U. Niemcewicz, mógłby się obejść bez tój pomocy, gdyż i sam zgromadził cenne zabytki i miał otworem zasobne biblioteki w takowe: ordynacyi hr. Zamoyskich, w Willanowie, pułaską i w. i.

W kilka lat sędziwy starzee kraj opuścił i na obcój ziemi żywota dokonał.

Po *Pani Jeziora* Walter-Skotta, należy wspomnieć: *Wybór poezyi Aleksandra Popa*, wierszem z angielskiego przełożonych, przez Ludwika Kamińskiego (Warszawa, 1822 r. Nakładem Zawadzkiego i Węckiego). Tłomacz, wykształcony oficer Księżstwa Warszawskiego, znający gruntownie języki: angielski i włoski oprócz innych, wolne chwile od zajęcia gospodarczego, w ustroni wiejskiej poświęcił na

przekłady ulubionych autorów z Albionu i Italii. Z Anglii wybrał Popego, z włoskich Danta i Tassa. Z *Komedyi Boskiej* pierwszego, przetłumaczył *Piekkło*; cały zaś poemat *Jerozolimę Wyzwoioną* Tassa, wydał później drukiem. W tym okresie znamy go tylko, jako tłumacza klasycznego Popego. Przekłady Kamińskiego odznaczają się wiernością, starannym językiem, jak i szczęśliwie zachowanym charakterem oryginału, co do treści i formy.

Niemalé wrażenie wywarły oryginalne dumy p. n. *Groby w dniu smierci Tadeusza Kościuszki*, autorem ich był książe Lubomirski, założyciel Instytutu Oftalmicznego w Warszawie. Część pierwsza (Warszawa 1821 r.). Szczupłych rozmiarów książka, chwytaną była chciwie, bo przywodziła na pamięć imię bohatera, którego zgon niedawny, cały naród ciężko opłakiwał. Młody autor, który wkrótce umarł w kwiecie wieku, z postrzału w pojedynku, poprzednio wydał dzieło wielce zajmujące: *Wiedeń* w czasie kongresu 1815 r., którego cały nakład po ukazaniu się rozchwytanym został.

Niemalé obudził ruchu sędziwy Wojciech Bogusławski, twórca teatru narodowego w Polsce, który złamany pracą wieloletnią, postanowił usunąć się ze sceny, zdając dyrekcję teatru w ręce zięcia swego Ludwika Osińskiego tłumacza *Cyda* i wielu dramatów francuzkich. W zaciszy do której się schronił ten mąż godny pomnika, postanowił wydać prace swoje dramatyczne, któremi podtrzymywał scenę narodową, podążając za objawami ważniejszymi w Europie literatury dramatycznej. Obok tego dołączył dzieje Teatru narodowego w trzech częściach, i do każdego tomu przydał życiorysy znakomitszych artystów i aktorek.

Podpierając w samym zawiązku scenę narodową, musiał pisać, tłumaczyć i grać na scenie. Napisał sztuk dramatycznych około stu, z tych 60 wybrał, i w jednym zbiorze wydał, w XII tomach. Są tu tragedye, dramata, melodramy, komedye i opery.

Zaczął swoje dzieła dramatyczne drukować u „N. Glücksberga księgarza i typografa królewskiego uniwersytetu, w r. 1820, nietylko w starannéj, ale w ozdobnéj hawet edycji; gdyż oprócz litografowanych portretów, dołączył w stalorytach, wydatniejsze sceny tak z tragedyi jak z oper. Druk okazały i wyraźny, pięknie odbity, papier biały, wszystko to wyróżniało tę publikacją od innych współczesnych. Dzieła te przypisał W. Bogusławski: „Damom, za których staraniem ten zbiór na świat wychodzi, ku wiecznej pamiętce wspaniałej ich dla nauk opieki i na dowód dozgonnej wdzięczności, dzieła moje poświęcam.”

Jakoż damy dopomagały mu rzeczywistości do zebrania prenumeraty, która hojnie opłaciła koszta wydawnictwa niemałe.

We wstępie autor tłumaczy się, że przymuszony do pisania dla teatru, teraz po czterdziestu latach, wiernéj służby dla sceny narodowej ośmielił się wydać swoje prace.

„Wolny (pisze dalej) od wszelakiej żądzy autorskiej sławy, prawdziwy literat z biędzy, nie myślałem nigdy o wydaniu pism moich na

świat, czego dowodzi ukrycie onych w rękopismach przez lat czterdzieści: oprócz Henryka VI i „Dowodu wdzięczności narodu,” do których wydania, ówczasowe okoliczności były powodem. Znałem ja zawsze, a dziś znam jeszcze mocniej, jak mało, słabe pióra mojego płody zasługują na widok publiczny. Ale kiedy aż dotąd, obok ze wszech miar, doskonalszych dzieł dramatycznych, wszystkie niemal sztuki moje, pozbawiające u publiczności znajdują przyjęcie, a czytaniu onych przyszłemu pokoleniu za wzór wstecznego w widowiskach smaku posłużyć może; w tym względzie, wydanie pism moich, nie sądzę być nieużytecznym. Niemałym także do tego powodem stało się dla mnie widzenie tych sztuk po różnych pomniejszych teatrach, na których albo mylnie przepisane, albo z pamięci tylko zlepione, tyłu niestosownemi dodatkami, odmianami i błędami obarczone znalazłem, że czytanie onych takimi jakimi są wistocie, zostawi je przynajmniej przy tych tylko błędach, z którymi z pióra mojego wyszły.”

„Było najprzód myślą moją dawniejsze dzieła zostawić, jak pierwotkowo napisane były; ale wzrastający codziennie smak lepszego stylu, oczyszczenie mowy z obcych wyrazów, zmiana nareszcie okoliczności i sposobu myślenia, zniewoliły mnie do przeistoczenia wielu miejsc ówczasowe zdarzenia wspominających, wielu słów już zapomnianych, wielu zdań przeciwnych dzisiejszym. Nie mogłem wszelako, chcąc zachować charaktery osób upłynionego wieku, niezostawić niektórych sposobów mówienia używanych w czasie, w jakich one wystawiam.”

Wstęp swój, kończy temi słowy:

„Miłośnik nad wszystko spokoju, niechcąc pomnażać liczniejszych, już nad same nauki, w kraju naszym literackich wojen, przyznaję się zawczasu do wszystkich pomyłek, niedoskonałości i błędów, jakie surowym krytykom będzie się podobato w dziełach moich dopatrzyć. Niemając najmniejszej myśli wystawiania onych za wzorowe, nie sądzę być wiele szkodliwemi pomniejszych uchybień, których dostrzedz nie umiałem; do przerabiania zaś na nowo dzieł całych nie zostawia dosyć czasu, już spadająca mojego życia zasłona.

„Składał w ręce rodaków, czterdziestoletnich prac moich dowody, jako hołd najczulszej wdzięczności za łaski, któremi mnie, w chęciach służenia sobie, nieprzerwanie wspierali: szczęśliwy, jeżeli zostawiając młodzieży pamiątkę widowisk jakie bawiły ich ojców, w sercach ludzi, jednego zemną wieku, potrafię odczytaniem dzieł moich i czasów w których wystawione, i okoliczności do których stosowane były, przyjemne obudzić wspomnienie.”

Chociaż z taką skromnością sędziwy autor się tłumaczy, czuł sam dobrze wartość swęj publikacji, albowiem w niej dawał młodszemu pokoleniu, najdokładniejszy obraz powstania i rozwoju w Polsce sztuki dramatycznej, która się w pierwszych latach w jego rękę, i w Teatrze narodowym warszawskim skupiała. Starał się ten obraz w szczegółach Bogusławski uzupełniać, pisząc: *Dzieje Teatru Narodowego*, dołączając życiorysy aktorów i aktorek, a nadto przypiski i objaśnienia

do każdej sztuki. Słowem, podaje nam całość, jako wyborny wizerunek sceny narodowej, zarazem i publiczności, która powoli nabierała coraz więcej smaku i upodobania do sztuki dramatycznej, mało co znanej u nas, dopóki Stanisław August nie otworzył Teatru narodowego stałego w Warszawie, a Wojciech Bogusławski nie podparł go, utrzymywał przy życiu i rozwinął świetnie. Król założył teatr, ale prawdziwym jego ojcem, twórcą i opiekunem był Bogusławski: bez jego poświęcenia i pracy, staranie królewskie pozostałoby tylko wspomnieniem.

VIII.

Wojciech Bogusławski i jego dzieła dramatyczne.—*Spazmy modne*, komedia.—Powód do ich napisania.—Molier na scenie Teatru Narodowego.—Lessing.—Ryszard Scheridan.—Znakomitsi aktorzy polscy.—Szekspir.—Hamlet.—Alfieri.—Pierwsza opera polska.—Maciej Kamieński, kompozytor.—Stuletni jubileusz opery polskiej.—Rok 1821.—Upadek *Pamiętnika Warszawskiego*.—*Astrea* Franciszka Grzymały.—Wartość literacka tego pisma.—*Iliada* Homera w przekładzie Franciszka Dmochowskiego.—Stanisław hr. Potocki, książę mówców.—Pierwsze objawy romantyzmu.—Posągi: Jana Sobieskiego w Łazienkach królewskich i księcia Józefa Poniatowskiego, dłuta Thorwaldsena.—Obrona klasycyzmu.—Recenzja Fr. Grzymały, pierwszych tomików poezyi A. Mickiewicza 1822 r.—Usiłowania klasyków, oddawania przedmiotu z natury, harmonijnie i malowniczo wierszem.—I. U. Niemcewicz.—Jan Kruszyński.—Franciszek Wężyk.—J. N. Kamiński brzmienie dzwonu naśladuje.—Ludwik Rajszel, bajkopisarz. Jan Gorczyzewski, tłumacz satyr i listów Boala Despro.—Stefan Witwicki.—Jego ballady i romanse, piosnki sielskie.—Poezycy biblijne.—Fryderyk Szopen (Chopin).—*Podróż do Ciemnogrodu* „Świszka krytycznego.”—Oburzenie księdza Surowieckiego.—Krytyka: *Świszta wyświszta*. Romans czy satyra obyczajowo-społeczna?—Żarzewie rozniecone pomiędzy romantykami a klasykami.—*Świątynia Wenerzy w Knidos*, poemat Józefa Szymanowskiego.—Wydanie jego w Parmie—Co jest romantyczność?—Wiersz A. E. Odyńca.—Jan Śniadecki: *O pismach klasycznych i romantycznych*.—*Romantyczność*, wiersz Mickiewicza.—Sonety Mickiewicza i jego rozprawa objaśniająca romantyczność.—Tryumf klasyków.

Dzieła dramatyczne Bogusławskiego dają nam dokładną wiadomość o stanie Teatru Narodowego z końca upłynionego i z początkowych lat bieżącego stulecia, a zarazem objaśnienie, jak się rozwijała literatura dramatyczna.

Dwie tylko sztuki oryginalne swoje, pomieścił w tym zbiorze autor. W tomie II *Spazmy modne*, komedya w 3-ch aktach, wystawioną w r. 1797 i *Henryka VI na lowach*, komedya w 3-ch aktach także, w której sam przedstawiał z wielkiem powodzeniem główną rolę tej sztuki.

Szczególne powody miał do napisania *Spazmów modnych*, która na scenie zyskała świetne powodzenie. Objaśnienie tych powodów znajdujemy na czele tej komedyi przez Bogusławskiego, który jako zajmujący obrazek ówczesnej społeczności podajemy.

„Przed dwudziestu laty (a zatem około r. 1777) spazmy, migrena i drzenie serca tak powszechną prawie po wszystkich wyższych domach były chorobą, że ją ledwie nie epidemiczną nazwać można było. Czy złość powietrza, czyli dobroć mężów, czyli nakoniec niezręczne sprawowanie się ówczesnych amantów, były tego powodem, do dziś dnia nie dali nam objaśnienia doktorowie, którzy z wszelką Hipokrata umiejętnością uwijali się około cierpiących piękności.

„To wszelako było istotną prawdą, która się nietylko poznać, ale nawet wielu mężom, a najprzykrzej służącym uczuć dawała, że ta choroba zjawiała się zazwyczaj wtenczas, kiedy jój było potrzeba. Każde nieledwie niezadowolenie (naówczas jeszcze nieukontentowaniem zwane) sprowadzało ją natychmiast. Często używaną była za sposób usprawiedliwienia się z jakowych zarzutów, a częściej jeszcze za sposobność zasłużenia na nie. Nigdy zaś nie ustawała prędzej, aż póki, jak pogańskie bożyszczka, drogą jaką ofiarą ubłaganą nie była. Jeżeli gdzie zobaczono niespodziewanie nowy ekwipaż, nowe brylanty, nowego przyjaciela, zaraz się domyślano (bo czegoż się nie domyśla złość ludzka), że tam spazmy albo migrenę leczyć musiano. Świadek takowych nie w jednym domu przypadków, nieraz zastanawiałem się nad szkodliwą społeczeństwu słabością, a chociaż ani stopą nie postąpiłem

w świątyni Galena, domyślałem się wszelako, że ona nie we krwi, nie w ciele, ale w umyślach miała swoje siedlisko. Kilkakrotnie zabierałem się do wystawienia oniej na scenie, ale ilekroć brałem pióro do ręki, zawsze mi wypadało z przestrachu, gdy sobie przedstawiałem skutki zuchwałości mojej, porywać się na słabości pfcii pięknej, wyjawiać tajemnicę, jój tylko i uprzywilejowanym jój lekarzom wiadomą. Następujący przypadek przymusił mnie do uskutecznienia tego dżługo wstrzymywanego przedsięwzięcia.

„Znajdowałem się naówczas we Lwowie. Pewna panienka, w grono artystów dramatycznych policzona, przy pięknej postaci, powabnej twarzy i świeżych młodości wdziękach, tak niezgrabną, nieczułą i niezdatną do sztuki scenicznej, przy początkowych rolach okazała się, że cała publiczność, żałując mocno uprzyjemniających ją darów natury, jednomyślny wydała wyrok, że nigdy i do żadnej roli nie będzie zdatną. Chociaż nie pierwszy już raz udało mi się być, z nieczyniących żadnej nadziei, wystawić później ulubionych publiczności artystów, wyznać wszelako muszę, że i sam o ulepszeniu wspomnianej młodej aktorki wątpić zaczynałem; kiedy wchodząc raz do jój pomieszkania, zastałem u nóg jój kochanka w rozpaczypograżonego, onę zaś najstraszliwsze drżenie serca tak przewybornie udającą, że zdawała się być w ostatnich konwulsjach śmierci. Spojrzawszy na mnie wchodzącego wzrokiem, który w uśmiechu twarzy, udanie choroby potwierdził, dała mi sposobność poznania, jak wybornie i naturalnie podobne spazmy wystawiłaby na scenie.

„Siadłem nieodwłócznie do pióra, a w skończonej w ciągu dwumiesięcy komedyi *Spazmy modne*, umyślnie dla niej rolę starościny, doskonale wprzód wyprobowawszy jako aktorkę w pierwszych rolach grać zaczynającą, wystawiłem na scenę. Nie potrafię opisać zadziwienia i zadowolenienia patrzących, równie jak doskonałego przez tę młodą osobę wystawienia rozlicznych sposobów młdości, jęków, wzdychań i konwulsyi, które zdawały się wyrzucać serce z jój piersi. Tysiączeni uwielbiona oklaskami, wystąpiła w innych rolach i zyskała świetne powodzenie.”

Komedya *Spazmy modne* przychylnie na scenie przyjęta, w pięknych towarzystwach wiele na autora zagniewanych spojrzeń i dotkliwych ściągnąwszy przycinków, przetrwała nakoniec burze, a jak wszystkie rzetelne prawdy, rzuciwszy światło na tajemnicę modnej choroby, niejedno zaprawdę małżeństwo od przykrych uwolniła udurzeń.

Z literaturą dramatyczną obcą, a szczególniej téż prawdziwymi arcydziełami, Bogusławski wcześniej poznał publiczność polską. Molier ukazał się na scenie narodowej w r. 1781 z komedją: *Szkola kobiet*, jakkolwiek prozą z wiersza przełożoną w V aktach, oraz *Przekorny miłosne* tegoż w r. 1783. Drukując *Szkolę kobiet* w dziełach swoich Bogusławski, dołączył zarazem życiorys Moliera.

Sławna w owe czasy *Lessinga* tragedia w pięciu aktach, przetłómaczył i na scenie warszawskiej przedstawił w r. 1790. We trzy lata później ukazała się komedia wyborna Ryszarda Scheridana (r. 1793), p. t. *Szkola obmowy*, w V aktach, ale nie w tłumaczeniu z angielskiego, ale przerobiona i do świata polskiego i osób zastosowana. Przy zmianie układu wielu scen, dana w coroczną uroczystość koronacy Stanisława Augusta, zyskała oklask powszechny. Przedstawienie jój było wzorowe, do czego przyłożyli się głównie najznakomitsi ówczesni aktorzy: jak Owiński zwany „Garrikiem polskim” (w roli starosty), Truskolawska przy pięknej postaci i wdziękach, wykwintnym ubiorem, wesołością humoru, w roli starościny; Swierczawski, przedstawił po mistrzowsku cześnika, jak Mierzyński regenta, a przybyły z piotrkowskiej palestry Każyński, nieporównanie oddał rolę nadętego młodego adwokata. Role kobiet aktorki: Ludwika Iwańska, Deszner, Pierożyńska i Maranowska, doskonale w myśl przybranych charakterów odegrały, jak znakomity Hempiński dobitnym w pierwszej scenie opisaniem wszystkich osób, występujących na scenę, zwrócił ciekawość i zajęcie całej publiczności.

Bogustawski chlubił się tём, że król, czytając jego przeróbkę w rękopiśmie, w wielu miejscach ją własnoręcznie poprawiał.

Później, bo w siedm lat ujrzała publiczność warszawska Szekspirowego *Hamleta* (1797 r.), przełożonego z niemieckiego i zastosowanego do wymagań ówczesnych teatru.

Alfierego tragedia w 5 aktach *Saul*, przedstawioną została już za czasów Księstwa Warszawskiego 1809 r., gdy krąk ten po napaździe wojsk austryackich, chwilowo odetchnął po burzy wojennej, wstrząśnięty nią do gruntu.

Nie możemy pominąć opery w 2 aktach: *Nędza uszczęśliwiona*, która jakkolwiek nie napisana przez Bogustawskiego, w zbiorowym wydaniu dzieł jego wydrukowaną została, z objaśnieniem, „że nie w chęci przywłaszczania sobie cudzej pracy, ale jedynie w zamiarze zachowania onój od zupełnej zczasem zraty w tym zbiorze pomieszczona.” Jakoż była to najpierwsza oryginalna opera polska. Dzieje jój są ciekawe: pomiędzy kadetami korpusu królewskiego w Warszawie, znalazło się w r. 1776 kilku z młodzieży, którzy ucząc się muzyki, szczególny talent do śpiewu pokazali. Stanisław August objawił życzenie, ażeby mógł ich słyszeć razem śpiewających. Ks. Franciszek Bohomolec, w chęci spełnienia woli królewskiej, znany jako autor komedyi grywanych w kolegiach jezuickich i pijarskich przez młodzież szkolną, ułożył komedyjkę w jednym akcie p. n.: *Nędza uszczęśliwiona* z dodaniem kilku piosnek. Została ona wydrukowana, ale graną nie była.

Maciój Kamieński muzyk, powziął myśl przedstawienia jój na Teatrze Narodowym, napisał muzykę do piosnek w niej umieszczonych i ofiarował ją ówczasowemu przedsiębiorcy teatru Montbrun, który gorliwie starając się o wydoskonalenie polskich artystów w tragedyi

i komedyi, chciał jeszcze i śpiewaków wystawić. Przyjął więc z zapalem pracę Kamińskiego, ale że komedyjka z kilku tylko scen złożona, nie mogła nazwać się operetką, dorobiono do niej nowe sceny, oraz kilka pieśni nowych, na dwa akty podzielono i w takim stanie przedstawioną na scenie narodowej została. W zeszłym roku przypadała właśnie stuletnia rocznica pojawienia się w r. 1778 pierwszej opery polskiej i przypomniał nam ją Aleksander Wejnert w swojej rozprawie. Maciej Kamiński urodzony w Edemburgu, miasteczku węgierskiem 1734 r., w nadwornéj kapeli hrabiego Henkela nabywszy początków muzyki, stale osiadł w naszej ziemi i serdecznie do niej się przywiązał, gdzie był cenionym nauczycielem muzyki gry na fortepianie. Lubo przyjęcie *Nędzy uszczęśliwionej* na scenie Teatru Narodowego świetnego doznało przyjęcia, gdy i głosy niechęci zabrzmiały, rozgniewany muzyk partyturę spalił, później jednak uproszony przez właściciela teatru Ryxa starosty piaseczyńskiego, nanowo ją napisał i udzielił. Ostatniem jego muzyczném dziełem była muzyka do kantaty, śpiewanej przy odstonieniu posągu konnego króla Jana Sobieskiego na moście w Łazienkach królewskich. Inne jego opery, jak do tekstu Zabłockiego: *Balik gospodarski* i innych, *Słowik* i *Tradycya zalatwiona*, zaginęły w niepamięci. *Nędza uszczęśliwiona*, pozostała zawsze jako szczęśliwa próba pierwszych usiłowań opery polskiej, rozwijającej się z powijaków niemowlęctwa. Pod zarządkiem bowiem W. Bogusławskiego, Teatr Narodowy śmiało się kuśił w wystawianiu większych zagranicznych oper i w téj gałęzi sztuki dramatycznej nie małego doznawał powodzenia.

Rok 1821 w dziejach ruchu zmysłowego Warszawy, stanowi ważny a nowy okres. W tym roku bowiem pojawiły się *Poezye Kazimierza Brodzińskiego*, które więcej oddziały na ogólny smak społeczności polskiej niż piękne jego i uczone rozprawy. W tym roku dokonywał żywota swego *Pamiętnik Warszawski* pod redakcją Feliksa Bentkowskiego, nie mogąc współzawodnictwa dotrzymać *Astrei* pod sterem Franciszka Grzymały. Ubywało coraz prenumeratorów, wreszcie wydawcy: Zawadzki i Węcki, nie mając zwrotu wydatków na druk i papier niezbędnych, dalszych kosztów ponosić nie chcieli. *Astrea, pamiętnik narodowy polski: historyi, literaturze, poezyi, filozofii moralnej, ekonomii politycznej, rzeczom krajowym i dziejom współczesnym poświęcony*, nie tylko samym tytułem zainponował, ale i treścią swoją, żywotną, mocno obchodzącą każdego wykształconego czytelnika. Grzymała był niepoślednim publicystą, a mając rozgałęzione stosunki z literatami, chętną u nich znalazł pomoc i poparcie; tembardziej, że do współdziałania poruszył tém godłem Jana Kochanowskiego, położoném na czele:

„Służmy pocziwéj sławie, a jako kto może,
Ku powszechnemu dobru niechaj dopomoże.”

Zaraz też na początku pierwszego zeszytu *Astrei*, z taką przedmową wystąpił:

„Rozpoczynam nowy zawód, przejęty będąc czystém przywiązaniem do kraju i szczerą chęcią stania się wam użytecznym, ziomkowie! Przekonany jestem o wielkości obowiązku, które na siebie wkłada każdy piszący, a szczególnie każdy wydawca publicznego pisma. Wiem, że ten zawód jest trudniejszy, im więcej jest sprzeczności, które pogodzić z sobą należy. Dlatego też waszemu światłu zostawuję, ziomkowie! ocenienie przyszłych i terażniejszych usiłowań moich, pewnym będąc wyrozumiałości i pobłażania z waszój strony, przez wzgląd na ważność i trudność zamiaru.

„Żyjemy w czasach, które wymagają większego umiarkowania i rozwagi; lecz i w obecnej ważnej chwili, godzi się nam, a nawet powinniśmy troskliwie pielegnować i kształcić język narodowy, tę najdroższą po przodkach spuściznę, którą (wyplacając się z długu ojcom naszym) w czystości odległym wnukom zachować jesteśmy obowiązani.

„Pole nauk jest zbyt obszerne. Niemało narodów pochłubić się może, iż żadnej części tej niwy odłogiem nie zostawiło. My w wielu rzeczach wielkie poczyniliśmy postępy i w wielu względach niemamy potrzeby zazdrościć postronnym. Lecz ileż nam jeszcze zostaje do uzupełnienia? W jakże wielu przedmiotach jesteśmy dopiero uczniami, do nas więc należy zapełnić ten niedostatek! Kochajmy kraj własny, bo miłość ojczyzny jest najpierwszą cnotą cywilizowanego człowieka; a razem kochajmy nauki, rozszerzajmy w ziemi rodzinnej światło gruntowne, jako najtrwalszą chwałę każdego narodu, rękojmią i główną podstawę szczęścia społeczeństw ludzkich.”

Pisał to Grzymała w lipcu 1821 i podpisał się jako obywatel województwa Augustowskiego, wydawca i redaktor *Pamiętnika Polskiego Astrea*.

Słowa powyższe żywo przemówiły do serca ogółu; znaleźli się zaraz liczni prenumeratorzy i gdyby niepunktualność Grzymały nie odstręczała ich coraz więcej, mógłby się liczyć na parę tysięcy. Ale cóż, wydawał on pismo swoje własnym nakładem; prenumerata wychodziła na prywatne jego potrzeby, a papier i drukarnia regularnie nie odbierały należności. Ztąd zatargi i zwłoka, a przez lenistwo redaktora i brak często rękopismów. *Astrea* wedle prospektu miała wychodzić 1 i 15 każdego miesiąca, ale opóźnianie się ciągłe zeszytów, tworzyło zaległości niedoścignione. Dość powiedzieć, że *Pamiętnik* ten rozpoczęty w lipcu 1821 do końca r. 1823, a zatem przez półtrzecia roku, obejmuje tylko cztery tomy niewielkich rozmiarów; pierwsze dwa po trzysta kilkadziesiąt stronnic, tom trzeci i czwarty niespełna po trzyście. Pismo to pomimo usterków w prasie polskiej zaszczytne zajmując stanowisko, a Fr. Grzymale przyznać potrzeba, że był wybornym redaktorem umiejącym dobrać zajmujące i pouczające przedmioty, będące na czasie i przeto pożądane dla czytelników. Znając uwielbienie niewygaste i wielką miłość, a nawet słabość dla Napoleona I swoich

ziomków, którzy pomimo klęsk bohatera i niewoli na pustej samotnej skale Ś-tój Heleny, zwracali baczną uwagę na niego i chciwie każdy o nim wieści nasłuchiwali, pomieszczał w *Astrei* tak pożądane wiadomości jak: *Ostatni rękopism Napoleona. Wiadomości historyczne o drugiej jego abdykacji*, przez Beniamina Constant. *Rozmowa z generałem Rapp, po wylądowaniu z Elby* i wiele innych.

Historya zajmowała dział poważny i szeroki. Mamy tu materyały dziejowe zajmujące do dziejów starożytnych Polski, dzieje współczesne obok tego.

W dziale *literatury i sztuk pięknych* znajdujemy rozprawy gruntownie pisane i rozbiory najnowszych dzieł wychodzących. Pomędzy pierwszemi dwie zasługują na szczególną uwagę: pierwsza o przekładzie *Iliady* Homera Franciszka Dmochowskiego. Nieznany nam z nazwiska krytyk-lingwista, zbija niedorzeczną plotkę, że Dmochowski tłómaczył z prozy pani Dacier.

„Wielu zarzucają (pisze na początku swój krytyki) i dotąd jeszcze zarzuca Dmochowskiemu, że Homera przelęwał na język polski nie z oryginału, ale z tłómaczenia pani Dacier. Nie myślę zgłębiać jak dalece sprawiedliwym jest ich domysł, powiem tylko, że porównyując uważnie przekład polski z oryginałem, dostrzegłem w wystowieniu dziwnej trafności, prostoty i wdzięku, co godnie odpowiada naturze języka greckiego. Przymtem oddanie prawie zawsze jednego wiersza Homera, jednym wierszem polskim, zbija już poniekąd ów zarzut; kiedy tłómacząc z prozy pani Dacier, a nieumiejąc po grecku, żadną miarą nie byłby tego dokazał. Krótko mówiąc, Dmochowski jest wzorowym tłómaczem *Iliady*, a przekład jego uznalibyśmy najdoskonalszy, gdyby nie uchybienia w miejscach nawet piękniejszych.”

Te uchybienia w miejscach znaczniejszych gruntowny krytyk przywodzi, przytaczając tłómaczenia ich w językach włoskim (Cesarotti'ego), w niemieckim Vossa, nakoniec w angielskim Aleksandra Popego.

Tak obok oddania należnego hołdu pracy Dmochowskiego, nie pomija jego usterków, błędów i opuszczeń przy ścisłym porównywaniu z tekstem oryginału.

Zbliża się coraz więcej okres wybuchu walki pomiędzy klasyczością a romantykami. Jeżeli o romantyczności głucho było w czasach pełnych zapału całej społeczności naszej za czasów *Księstwa Warszawskiego*, w pierwszych latach *Królestwa Polskiego* wyraz ten jak złowieszcze widmo dla konserwatystów klasycznych, zaczął się we mgle z początku ukazywać, następnie w coraz groźniejszej postaci, z zachmurzonym obliczem zbliżać i grozić.

Stanisław hr. Potocki, *Książę mówców*, jak go zwano powszechnie w ową dobę, pierwszy użył wyrazu *romantyczność* na oznaczenie ciemnoty i barbarzyństwa w *Pamiętniku Warszawskim*, pisząc pod pseudonimem *Swoistka krytycznego*. Ale pojęcie jakie do niego wówczas przywiązywał ten mąż zasługi, nie miało najmniejszego związku ze znaczeniem, jakiego nabrał w rozwoju następnym literatury polskiej.

Już K. Brodziński w pięknych estetycznych rozprawach swoich, wraca mu właściwe znaczenie, odróżniające od klasycyzmu. Józef Kalasanty Szaniawski w téj myśli kreśli téż swoje uwagi o utworach i kierunku literatury naszéj; *Astrea* zaraz w pierwszym tomie swego istnienia, pomieściła *Listy o literaturze polskiej*, z których jak widzimy, już pierwsze jakby błędne ogniki zaczynają przeblyskiwać, owéj walki, która początkowe żarzewia w stos gorejący i palny zamieniła. Co czytamy w *Astrei*, wykazuje głębszego myśliciela i estetyka, który bezstronnie ocenia oba kierunki i ich wartość wykazuje; z tego powodu nie możemy pominąć szerszych z nich ustępów, które tém są ważniejsze dla badacza, że pisane były przed pojawieniem się Mickiewicza. Owóz czytamy w pierwszym liście:

„Po dłuższej przerwie, szanowny przyjacielu! przystępujesz jak widzę, do wznowienia ulubionéj ci walki między klasycznością a romantycznością, a przebiegając w krótkości stan literatury polskiej, uważasz za zbytęczne pochwały dawane Felińskiemu, Osieńskiemu, Koźmianowi i innym dziś znamienitszym poezji naszéj pisarzom. Winą ich całą naśladowanie wzorów klasycznych. Rzuciłoby, podług ciebie należało ten tór, tylu świetnemi gieniuszu pomnikami ozdobny. Wcałe nowa pod ojczyntém niebem zrodzona, wszystkiemi świeżości powabami jaśniejąca, lekka, więzów żadnych niecierpiąca bogini wzywa do wcałe odmiennych, daleko dla nas stosowniejszych zawodów. Wtéj nowéj smaku krainie zrobili już znaczne postępy Dant, Lopez de Vega, Szekspir, Szyller, Goëthe, Lord Byron i inni romantyczni pisarze. Skoro się ich duchem przejmujemy, natenczas jak mniemasz, zrodzi się szczęśliwie nowy, wielce upragniony rodzaj poezji, na nowoczesnych wyobrażeniach oparty.

„Niesądz, abym klasyczności czciciel zabobonny, hołd wyłączny starożytnym wzorom przeznaczal; abym mniemał, że rozbiorowy gieniusz Arystotelesa, zakreślił sztuce nieprzestępne granice; abym zachwycony pięknością budowy, jaką Francuzi na klasycznój wznieśli posadzie, wyłączać i potępiać miał wszelkie nam dotąd nieznanne piękności, dotąd jeszcze w łonie gieniuszu zawarte, które się przecie czasem rozwinać mogą i pewnie rozwiną. Nie zrodziłem się w arkadyjskich gajach, nie zrodziłem się pod wiecznie pogodném niebem, gdzie tyle wielkich, tyle rozkoszą upajających widoków natury, do słodkich i radosnych natchnień pobudza. Wznosi się nademną niebo posępne, puszcze ponure szumią dokoła ziemi rodzinnej, mróz drętwi strumienie, śnieg przyodziewa pola, łąki i gaje smutną jednostajności szatą! Zamiast wesołych mitologii urojeń, która z pochlebnych człowiekowi namiętności, bóstwa tworzyła; która rzecz każdą w pięknej i uszczęśliwiającej malowała postaci—surowe prawdy religijne każą mi zrękać się obecnych rozkoszy, padół ziemi za kraj wygnania uważa i do dalekiej nieznanéj, za grobem istniejącej tęsknić krainy. Tyle odmian, taka strefy, religii, języka, zwyczajów i obyczajów

różnica, musi zapewne do wcale różnych pobudzać uniesień, i utworem wyobraźni, nowych, nam jedynie właściwych używać kolorów.”

W tym ustępie już widzimy pierwsze obudzające się uczucie narodowości w literaturze, i żywiołów jej dla odżywienia omdlewającego klasycyzmu. Postuchajmy co dalej nasz estetyk z pierwszej połowy bieżącego stulecia mówi, i jak wymownie w obronie klasycystyki staje.

„Tak usprawiedliwiają śmiało romantyków zapędy, chcąc stargać jarzmo klasycznych prawideł; nie gardźmy jednak lekkomyślnie upominkami, jakich nam dostarczyły wieki poprzednie: nie posuwajmy zadaleko uprzedzeń naszych za romantyczności bożyszczem, i zupełną bezstronnością powodowani, zapytajmy czyli niemasz w naturze powszechnych własności, któreby wszystkim strefom i wszystkim czasom były wspólne? Czyli wszelkie religie niemają pewnej styczności? Czyli zdrowy, niczem nie ujarzmiony rozsądek we wszystkich krajach i wiekach, nie ulega pewnym powszechnym prawidłom? Czyli przeto i dzieła smaku, bez względu na czasów i na miejsc różnicę, nie gruntują się poniekąd na ogólnych i powszechnych zasadach?

„Któż obejmie i określi dokładnie całą rozmaitość charakteru jednéjże ojczyzny mieszkańców? Jak każdy z nich ma coś właściwego! Jak trudno wynaleźć dwu zupełnie sobie podobnych ludzi? Jak mnogie, jak rozmaite, jak delikatne pomiędzy nimi zachodzą odcienienia? Jak daleko większa jeszcze pomiędzy nimi spostrzegać się daje różnica, pomiędzy mieszkańcami pod względem strefy, religii, zwyczajów i obyczajów od siebie zupełnie odmiennych narodów? Pomimo tej atoli różnicy, gdzież jest zakąt ziemi, czyli gdzież był dotąd ucywilizowany naród, w którymby ludzie nieprzystępni byli lubéj uczuciom miłości? Nie znali gniewu, zemsty i innych namiętności uniesień; nie poczuli wyższej nad sobą niewidoméj Istoty i nie przenosili się wieszczym pomysłem za okres nikłego życia? Wyobrażenie nieśmiertelności jestże wyłączenie religii chrześcijańskiej utworem? Główne to chrześcijańskie wyobrażenie, byłoz zupełnie obce starożytnym narodom? Nie zachodzą jeszcze inne liczne pomiędzy dawnymi religiami, a tegoczesną wiarą styczności? Czyli zdrowy, nieuprzedzony rozsądek dawnych, pod tyłu rozmaitemi względami wzorowych wieków, stoi w sprzeczności z takimże rozsądkiem czasów obecnych? Bynajmniej: co u starożytnych było od miejscowych okoliczności niezależną, wszechwzględą, na naturze człowieka opartą, to i po upłynieniu najodleglejszych wieków, fałszem być niemoże.

„Czemużbyśmy prawdy takie we względzie nauk nadobnych, zpod tego powszechnego wyłączać mieli prawidła; wyłączenie to byłoby zaiste większą dla dobrego smaku, daleko zgubniejszą arystokracją, aniżeli jest ta, o którą zwolennicy *romantycznej mary*, obwiniają mylnie, mniej może za popędem wyobraźni, lecz bardziej za surową logiką idących przeciwników, niczem nie powściągnionéj, z dzikości, niesforności i zupełnego rozprzężenia nawet zalety szukających

pisarzy. Wszakże natura poprzedziła sztukę i dostarczyła jej wszelkich wzorów. Sztuka poprzedziła przepisy, któreby bez niej nie istniały; powszechne przeto prawidła, ze starożytnych wzorów wyczerpnięte, odnoszą się do natury, do owego najczystszej i niepomylnej źródła.

„Lecz od tych ogólnych, zadaleko prowadzących rozumowań, przystępując do uwag bliżej rzeczy naszych dotyczących, nie zgodzisz się na to, że czyn jaki jasny, rozwijający się śmiało i porządnie, opowiadany z całym wdziękiem wymowy, podoba się i zawsze i wszędzie daleko więcej, aniżeli obnażone ze wszelkich wdzięków, albo też mnóstwem ozdób przeciążone opowiadanie tłumy dziwotwornych zdarzeń? Że opowiadanie powinno budzić ciekawość, skoro bowiem zajmować nie będzie, któż wytrwa do końca? Że jedna rzecz tak przedstawiona, iżby wszystko inne przyczyniało się jedynie do podniesienia głównego przedmiotu, snadniej pojętą być może, aniżeli kilka razem zawikłanych ubocznych okolicznościami przyćmionych przedmiotów? Że utwory poezji łatwo i mile wpływać powinny na umysł i serce słuchacza; nużąc go podobać się nie mogą? Że przeto są pewne, ogólne, powszechne zasady gustu, które aczkolwiek dawno odkryte, nigdy jednak świeżości swojej nie tracą i w późne wieki utworom geniuszu nie przewodniczyć, lecz towarzyszyć będą.

„Klasyczność je odkryła i czuwa nad niemi, nie idzie jednak za tem, aby nam zabobonne naśladowanie wszystkich starożytności szczegółów zalecać miała. Tak jest zaiste, *klasyczność* nie pragnie bynajmniej, abyśmy *nektarem* poili dzisiejsze niebiany, abyśmy którego z nich pod postacią łabędzia do nowiej Ledy przywiedli; abyśmy zazdroznego malowali Wulkana, pod Lipsk w greckie tarcze i dzidy zbrojnych prowadzili rycerzy, ani też ażeby bóg męstwa i boju Mars krwawy, dzisiejszym rotom przodkował.

„Jak Homer wierny swojemu czasowi, nie maluje gromów ze spiżu miotanych, Achilla orderem Orła białego nie zdobi, ani Hektorowi marszałkowskiej nie daje buławy; podobnie też nie strójmy bohaterów naszych w szaty Rzymian i Greków: tego *klasyczność* nie żąda, naucza owszem najwierniejszych dobrać kolorów, podaje ogólne na naturze wszystkich miejsc i wieków oparte prawidła.

Pięknie to brzmiące są słowa, ale w zastosowaniu nie miały żadnego znaczenia, czego widoczne mamy dowody. Jan Sobieski w Łazienkach królewskich na moście, traktując koniem rozbitych muzułmanów, w rzymskim hełmie i stroju galopuje: to pomnik zeszłego wieku. Nawet w naszym stuleciu gdy składką kraju polecono sławnemu rzeźbiarzowi Thorwaldsenowi wykonanie posągu księcia Józefa Poniatowskiego, położono za główny warunek, ażeby go po rzymsku przystroił: artysta spełnił życzenia, a gdy w Warszawie go odlano, towarzysze broni bohatera, ze zgrozą oburzenia spoglądali na postać ulubionego wodza i swój niechęci bynajmniej nie taili. Taką to jeszcze *klasyczność* miała przewagę. Ale idźmy dalej za jej obrońcą.

„W wymowie naszej nie naśladowujemy wszystkich szczegółów Izo-krata, Demostenesa i Cyncerona, nie zwracamy wyrazów do Kapito-lińskiego Jowisza; ale objawmy cele dotyczące się mowy, ale zbierzmy wyjaśniające i utwierdzające rzecz naszą dowody: ale zachowujemy w całym ciągu, ciągły, jasny i przywoity postęp. W poezji malujemy czyny, malujemy uczucia, obyczaje i zwyczaje naszego narodu; czer-pajmy we własnem życiu; życie przenieśmy w poezyą, ale przenieśmy rządnie, przenieśmy tak żywymi, tak prawdziwymi kolorami, jakeimi przedmioty swoje wydawali starożytni pisarze.

„Otóż to właśnie czego klasyczność wymaga, to, w czém staroży-tne wzory naśladować należy.

„Klasyczność jest-li owym tyranem, który swoje więzy i urojenia, bezwarunkowo narzuca? Jestto owszem doświadczeniem wieków upo-sażony, łagodny doradca; jestto bóstwo opiekuńcze wolnej nauk Rzeczypospolitej, niedopuszczające, aby ginęła zbytnią i wyuzdaną wolno-ścią. Słodkie jest jego jarzmo, jak słodkie są więzy czystej miłości, za których granicą niemasz lubej, niemasz niebiańskiej rozkoszy: jest tylko burzliwe i prędkie niesmak rodzące uczucie. Ktoby zaś w klasy-czności kodeks despoty upatrywał, ten widziałby więcej niżeli jest w istocie, i walcząc przeciwko urojonemu widmu, przypominałby ryce-rza w Cerwantesie, staczającego boje z wiatrakiem.

„Bo i któż każe trzymać się ślepo martwych przepisów? Któż każe z Arystotelesem, Homerem, lub Boalem w rękę ważyć na szali szkodliwości, czyli ta lub owa scena wrażenia na sercu i duszy czynić powinna? Kto z prawdziwych znawców sztuki utrzymywać może, że starożytne jedynie przedmioty obrabiać należy, że form dawnych udos-konalac i nowych, ale przedmiotów właściwych, ale na powszechnęj zasadzie rozsądku opartych form, tworzyć nie wolno? Klasyczni pi-sarze nie są nam w téj mierze swobody dowodem? Czy poszedł Wir-gili niewolniczo za śladami Homera? Nie jestże wcale nowym Owidysz w swoich *Przemianach*? Nie postrzegamyż w tragedyi greckiej od Eschila do Eurypidesa wielkiego postępu? Zostałż zawsze na jednym stopniu tragedia francuzka? Ester, Atalia, a mianowicie Polieukt, Ma-homet, Templaryusze, Cyd, Alzyra i Zaira nie są duchowi nowożytnemu, nie są romantyczności właściwymi przedmiotami? Niemniej przeto utwory te do rzędu klasycznych należą. Nie zachowanie martwych pra-wideł, jak mianowicie z Cyda przekonać się można, ale prawdziwe dzie-ła doskonałości, stanowi klasyczność znamiona.

„Doświadczenie zaś przekonało, że doskonałość takowa, przy sa-mowolnóm, żadną rządnością, nie powściągnionóm bujaniu wyobraźni, w żaden sposób osiągniętą być nie może.

„Oręza przeciw klasyczności dostarczają dzieła tych pisarzy, którzy nie wzbogaceni zasobem potrzebnych wiadomości, nieobeznani z duchem czasu swojego, bez własnych uczuć i pomysłów, otoczyli się światem dawnym, przenoszą w dzieła swoje czcze formy, i jak papugi, lub mar-

twe echo, powtarzają niejasne, przeistoczone, zeszkaradzone starożytnych obrazy.

„Stargajmy wreszcie wszelkie, tyle romantykom nienawistne klasycyzności prawidła; porzućmy te pogańskie muzy, które wieszczom starożytnym boskie natchnąwszy utwory, wskazały drogę nieomylną do przybytku sławy: puścimy się za romantyczności natchnieniem! W jakąż to nową krainę, w jaki świat nowy, ta nas nowa gwiazda zaprowadzi?

„Oto z pewnością powiedzieć można, że ta ulubiona *Fea*, ta rozwiąztłej żadnym prawom nieulegającej miłośnica wolności, wraz z gro-nem Sylfów swoich, długo nas po różnych utrudniwszy bezdrożach, doprowadzi nakoniec do tego samego, dawno ubitego toru, po którym stąpał Homer, Sofokl i Wirgili, którym poszli Tas, Kornel i Rasyń, na którym zbierał Jan Kochanowski (po upływie trzech wieków) całą świeżością jaśniejące laury, którym poszedł nasz nieśmiertelny, a w utworach swoich tak narodowy, duchowi wieku swego zupełnie właściwy Krasicki; którym biedz się zapędził, nieco zbyt niemię naśladownictwem grzeszący, niemniej jednak znakomity i z wielu miar wzorowy Feliński, a który to tór dziś niestety! niestosowną dla nas *klasycyznością* zowiemy.

„Lecz kiedy nam się tak podoba, kiedy upominki wieków niemo-gą być dla nas nauczającą przestro-gą; doświadczajmyż o własnym koszczie: zdążajmy powoli i niepewną drogą do tego, czemeśmy odrazu, a przynajmniej prędzej być zdołali. Nie zaczynajmy postępów w sztuce od punktu na którym dotychczasowi najznakomitsi stanęli pisarze: zwróćmy ją owszem do pierwiastkowego nieudolności stanu. Snadniejszym to będzie od tworzenia dzieł, któreby surową na zasadzie zdrowego rozsądku opartą wytrzymać mogły krytykę. Ale jak mniemam, przykład Krasickich, Trembeckich, Felińskich, Koźmianów i innych w zawodzie literackim znakomitych mężów; dobrym smakiem i wymowy powabami jaśniejące rozprawy Osińskiego o literaturze, i własne nareszcie bezstronne zastanowienie się, ustrzedz nas zdołają od tój dobremu smakowi zagrażającej kolei.”

Ze zdumieniem, przynajemy, odczytywaliśmy tę rozprawę P. H. Kalińskiego, który już poprzednio w *Astrei* oddając hołd talentom i zasługom Stanisława hr. Potockiego (autora *Swistka Krytycznego*), wykazywał uchybienia tój *księciu mówów* przeciwko naturze języka polskiego, ze zdumieniem, powtarzamy; gdyż pisał ją i drukował w r. 1822, kiedy dopiero pojawił się Mickiewicz ze swemi poezjami.

Wprawdzie grono jego zwolenników olbrzymio wzrastało, ale jeszcze walka romantyków z klasykami była w zaczątku, i tylko harce lekkie staczano; dopiero w lat kilka później, jak to zobaczymy, w otwarte szranki turniejowe wjechali w pełnej zbroi gorący zapastnicy i rozpoczęli z sobą bitwę *na ostre*, której się bliżej w dalszym ciągu szczegółowo rozpatrzemy, bo ciągnęła się blisko lat ośm bez przerwy.

Widać przecież z tego, że trwoga panowała w obozie klasyków, chociaż wokoło cisza panowała głęboka; przeczuwali, że nadchodzi burza, chociaż zwiastunów jej nie widzieli. Horyzont literacki w Warszawie pogodny, bez chmury; organa prasy zajmując się polityką, mało co dotyczyły literatury, i to najwięcej francuzkiej. Zkądże obawa, zkąd pochwały klasyczności, a wstręt do romantyzmu; kiedy to dzikie widmo, jak go sobie wystawiano, niecierpiące żadnych więzów, najrozumniejszych przepisów, jeszcze się we właściwej nie ukazało postaci. Widać zdaleka jak czujne oczy i uszy klasyków, przeczuwszy je, oczekiwały ażeby na nie gromadnie uderzywszy, za pierwszym pojawieniem zdławić i zduścić.

Tymczasem przyszedł wieku hetman *romantyków* siedział spokojnie w Kownie, i jako profesor literatury zajęty był lekcjami, przygotowując zbiór poezyi swoich do druku, wykończając poetyczną powieść *Grażynę*. Dwa małe tomiki miały składać to wydawnictwo, jakoż w ciągu dwu lat 1822 i 1823 ogłosił je w Wilnie w drukarni Józefa Zawadzkiego. Druk drobny, ścisły, ale wyraźny; okładziny czerwono-ceglaste. Lista prenumeratorów pomieszczona na czele pierwszego tomiku wykazuje ich liczbę sto trzydzieści dziewięć, między temi Joachim Lelewel na trzy egzemplarze.

Sam redaktor Grzymała, w tomie III *Astrei* (rok 1823), wystąpił z pierwszym rozbiorem tych poezyi. Przywiedziemy z niej ustępy, jako ciekawy zabytek owych sądów, które na pierwszym wstępie w szranki literackie ten geniusz spotkały w Warszawie.

Grzymała wyliczywszy treść obu tomików, pisze dalej:

„Podobne rzadkie zjawisko w literaturze niemieckiej lub francuzkiej ściągnęłoby liczne rozbiory i recenzje; lecz nasze pisma krytyczno-literackie obznajmiając nas z dziełami hiszpańskimi, szwedzkimi i duńskimi (przymówka do *Gazety Literackiej*) i t. d., nie poczytały za obowiązek zwracać uwagi na wiele dzieł narodowych, a między innemi nie wyrzekły o pismach Mickiewicza.”

„Pisma p. Mickiewicza (pisze dalej) wcale nie mogą być lekceważonemi, nie mogą zasługiwać na obojętność. Owszem śmiało powiedzieć mogę, że jego poezye w dzisiejszych czasach *rozdwajenia estetycznego*, w walce stronnictw poetycznych, toczących się od niejakiego czasu w Europie, a nawet i w Polsce, tém większą powinny zwracać uwagę piszących rodaków, bo p. Mickiewicz pierwszy prawie z rodaków poszedł otwarcie tak okrzyczaną drogą *romantyczną*, bo wykształcony na wzorach romantyków angielskich i niemieckich, w mowie narodowej przemawia ich językiem, nie jako tłumacz, ale jako pisarz oryginalny, czerpający w łonie przeszłości, w łonie wieków odległych swego narodu, osnowę do swych utworów. Pieśni, podania a nawet zabobony ludu litewskiego i pogranicznych narodów, są główną podstawą jego poezyi. Chce on stworzyć poezyą ludu, w czém mu obfita mitologia litewska i obfite źródło śpiewów i podań ludu tamecznego na wielkiej są pomocy. Albo więc gorliwsi stróże smaku, kształconego na

wzorach klasyczo-francuzkich, powinni mu wydać otwartą wojnę i w samym zarodzie stłumić niebezpieczną zarazę; albo umiarkowani, szukający jakiejś średniej drogi, pragnący pojednania stronnictw rozjątrzonych, powinni bezstronnie ocenić wartość pism jego, w rzetelném świetle wystawiając zalety i wady.

„Nie wdając się w ocenianie szkoły, jakiej jest zwolennikiem p. Mickiewicz, przyznać należy, że natura obdarzyła go wszystkimi przymiotami, które są poecie niezbędnie potrzebne, to jest: ma mocną, żywą i obfitą imaginacją, jest czułym, tkliwym i tę czułość i tkliwość, we wszystkich tworach swoich stara się rozlewać: najczęściej przebija się łątwość, zrzeczność i rozmaitość w wyrażaniu myśli i uczuć. Słowem, o ile pana Mickiewicza niemożna podawać bezwarunkowo za wzór do naśladowania młodzieży, rozpoczynającej zawód poetyczny, o tyle odmówić mu niemożną najdojrzalsze umysły prawdziwego talentu, i jeżeli jako prawdziwy talent dalekim zostanie zawsze od zarozumiałości; jeżeli w trudnym zawodzie dążyć będzie stale do ostatecznego wydoskonalenia, Polska, w nim wkrótce ujrzy prawdziwego i oryginalnego poetę, czego jój właśnie w tych czasach potrzeba.”

Zamknawszy w tych słowach wiadomość o pojawieniu się młodego poety, z *Dziadów* przedrukowywa na czele pomieszczony wiersz *Upiór*, a w następnych zeszytach podaje z ballad: *Powrót Taty*, *Swięziunka*, i krótki wierszyk: *Pierwiosnek (Primula veris)*.

Widzimy z tego, że przyjęcie pierwszych utworów Mickiewicza, nawet w obozie klasyków było przyjazne, bez żadnej cechy nienawiści, która się dopiero później objawiła, po obustronném, długim rozdrażnieniu.

Tymczasem poeci klasyczni odbywali narady, wysilali głowy nad wynalezieniem sposobu takiego dobierania wyrazów, ażeby one samém brzmieniem dosadnie, harmonijnie i z całą ufudą, pomyślany przedmiot malowniczo oddawać mogły.

Zgodzono się po długich debatach na to wreszcie, że pewne litery powtarzane, wielce temu dopomóż mogą.

Zacny, sędziwy J. U. Niemcewicz, który chętnie stawał zawsze albo na czele, albo w pierwszym szeregu do podjęcia pracy, która mu do myśli, smaku lub serca przypadła; pisarz z prawdziwém pojęciem piękna poszedł za tém marzeniem wierszopisarzy klasyków, i niedługo napisawszy wiersz, mający naśladować turkot wodnego młyna, i plusk spadającej z koła wody; na jedném zebraniu skandował swój wiersz brzmący w tych słowach:

„Kołacącego młyna, kręcące się koło.”
 — — — — —
 — — — — —

a skandował go po sylabie, ażeby uwydatnić obrót koła i plusk spadającej wody.

Słyszając to obecni, przyklasnęli jednomyślnie autorowi, przyznając że wybornie naśladuje naturę.

Wówczas wystąpił Jan Kruszyński, zacny i zasłużony pisarz, który nieraz z obcych języków szczęśliwie tłómaczył. Ten pragnął oddać harmonijnie szmer spadającego śniegu na ziemię. Trzymał się on położonej na poprzednich zebraniach zasady, ażeby zadanie trudne ułatwić sobie powtarzaniem jednej litery w wyrazach użytych. Wymozolił więc dwa następujące wiersze:

„Szum, świst, szelest szumi w suchym lesie;
Śnieg sypie ślady: śniady śnieg ściele się.”

Skandował podobnie sylabę po sylabie, i tyle szumu wywołał, że obecni spoglądali, czy na prawdę śnieg gęsto nie pruszy.
Albo malując drżenie ziemi pod kopytem licznej jazdy:

„A ziemia drżała pod tententem koni.”

Kasztelan Franciszek Wężyk, pragnąc oddać harmonijnie wytrysk krwi z rany zadanej, umyślnie, jak mi sam opowiadał, w wyrazach dobierał litery *r* i napisał w tragedji swój: *Gliński*, wiersz taki:

„Wnet krew w ranach wezbrana, trysnęła potokiem.”

który Ignacy Humnicki, żywcem do swój tragedji: *Żółkiewski pod Ceorą* wcielił.

Jan Nepomucen Kamiński, tłómacz *Obozu Wallensztejna* F. Szyl-lera i wielu jego ballad, poeta władający po mistrzowsku ojczystym językiem, w téjże saméj myśli nie mało się napocił. Wreszcie ażeby dobrze oddać głos dzwonu, napisał wiersz p. t. *Mysł pod krzyżem*, wydrukowany w kilka lat później w piśmie zbiorowém Chłędowskiego p. n. *Haliczanin*, (tom pierwszy,) w którym taką strofę na początku pomieścić:

„Czas, wieczność karmi światowym wyszczerbem.
Był! Czasu pieczęć! *Był!* grobowym herbem.
Był! i grobowe skrzyknęły zawiasy,
Po wszystkie czasy.”

Owóż ten wyraz *był*, wymawiany przeciągle z pewnym naciskiem, miał naśladować bicie dzwonu. Trzeba było słyszeć, jak ja miałem sposobność we Lwowie, gdy sam Kamiński wymawiał, przeciągał ten wyraz *był*, nadając mu brzmienie jakby metalowego echa. W jego ustach rzeczywiście coś przypominało uderzenie dzwonu.

Była téż wielka liczba wierszopisarzy, którzy głęboko rozmyślali nad wynajdowaniem najtrudniejszych rymów. Szkolny mój kolega Ludwik Rajszel, bajkopisarz, oficer czwartego pułku piechoty liniowej, całe życie troskliwie wyszukiwał nadaremnie rymu do wyrazu *bęben*. Niech mu Bóg niepamięta, a dawno poczciwy ten koleżka spoczywa w grobie, ile on mnie o ten rym namęczył.

Klasyści do téj pory stali górą i tryumfowali, umieli téż zrećnie wyzyskiwać każde pojawienie się pracy z ich szkoły wychodzące, które nosiło chociażby drobny ślad talentu i sumiennosci wykonania.

Żył pod owe czasy zacny kapłan, opat komendaryjny sulejowski, członek Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, ks. Jan Górczyczewski († 1823 r.). Mąż ten w zawodzie pedagogicznym oddał niemałe usługi krajowi, jako profesor i rektor w szkołach publicznych. Zapalony zwolennik literatury pięknej, wydał w r. 1803: *Satyry Boileau Despreaux*, przekład z francuzkiego. Nie można odmówić ani talentu, ani staranności przekładu. Wiersz płynny i okrągły, język czysty i wytworny, wskazywały dorazu wytrawnego pisarza. Nie był to gorszy tłumacz od Fr. Dmochowskiego, ale nie był też i lepszy. Ale klasycy niemając pod ręką lepszego dzieła, któreby odpowiadało ich widokom i tak zgodnego z przepisami istniejącego kodeksu literackiego, tę pracę wysuwali naprzód, oddając jój wielkie pochwały. Nie powiemy, żeby ona ze wszelkich względów na ten hołd zastugiwała, ale zawsze była i pozostanie pracą poważną w dziejach literatury naszej. Rozgłos jój nadany skłonił tłumacza, po wyczerpaniu pierwszej edycji, do przejrzienia jój na nowo w celu poprawek, jakie za stosowne uznał i powiększenia. Znalazł też chętnych nabywców. Jakoż firma Zawadzkiego i Węckiego wydała tę pracę w okazalszej niż zwykle edycji, w dwu tomach (w 8-ce) 1818 r., p. u.: *Satyry Boala Despro z przystosowaniem ich do rzeczy polskich*, w powtórném wydaniu poprawione. Tudzież *XII listów* tegoż autora i kilka innych innéj ręki, wierszem polskim przełożone przez ks. Jana Górczyczewskiego w dwu częściach, (w Warszawie 1818 roku).

Autor jakkolwiek w skromnej przemowie do czytelnika, przypisuje sobie niemały wpływ na owoczesną społeczność, że położył tamę „napływowi ladajakich pism, któremi oświecenie publiczne i czystość języka polskiego były zagrożone; potem krzywdzącym cnotę, religią i charakter narodowy obyczajom, przycisnąć piętno tyle odrażające, aby oddani tym wadom, przynajmniej w publiczności przestali się z nimi popisywać. Obydwom tym zamiarom pożądaný skutek odpowiedział.”

Przywodzimy dosłownie wyrażenia zacnego tłumacza, bo to jest cechą wydatną owoczesnych klasyków, że mieli przekonanie, iż ogromny wpływ na smak, kierunek myśli i ducha narodu wywierają. Uważali się jako kapłani oświaty, rozszerzyciele wiedzy, apostołowie prawdy i moralności; chociaż te bez ich wpływu, szły swoją zwyczajną drogą, kierowane ręką Opatrzności.

Niemaléj téz pociechy i tryumfu doznali, gdy po zjawieniu się pierwszych dwu tomików poezyi Mickiewicza, znalazł się najpierwszy ale i najniefortunniejszy jego naśladowca w Warszawie.

Był nim młody uczeń szkół krzemienieckich Stefan Witwicki, pisarz prawdziwego talentu gdy wszedł na drogę samodzielną, ale wówczas zapalony wielbiciel, ślepy naśladowca. W gorącym pośpiechu napisał i wydał swoim nakładem w dwu tomach *Bullady i romanse*, które chciwie jako nowość rozkupywano. Słabe te utwory, niegodne pióra Witwickiego, sam autor najlepiéj osądził. Pisarz prawdziwéj nauki,

wytwornego smaku, gdy ochłonął z pierwotnego szału, zaczął z równą gorliwością *Ballady swoje i romanse* wykupywać od księgarzy i palić w piecu. Tak się zawiął w tej sprawie energicznie, że w ciągu jednego roku zniknęły już z obiegu i stały się prawdziwie osobliwością bibliograficzną, *białemi krukami*. Cios jednak, jaki *romantyczności* zadał nieogłędnie swém wystąpieniem, nie łatwym był do zagojenia. A klasycy mieli słuszny tryumf.

— Gdzież dojdzie nasza literatura?—wołali—jeżeli takich wywoływać ma Mickiewicz naśladowców; toć chyba zdziczeje ona, a praca przeszłych wieków pójdzie w marność. Nam potrzeba pisarzy ze smakiem i gustem, z uczuciem piękna, a nie takie dziwolągi.

I mieli prawdę za sobą; przecież w kilka lat, ten sam jak go nazwali *bazgracz*, wybił się wysoko nad ich poziom, wydaniem *piosenek sielskich i poezji biblijnych*: w pierwszych umiał prostotę, wdzięk i naiwność pieśni ludowych zachować; w drugich zadziwił powagą stylu prawdziwie biblijnego i poetycznością obrazów. Odtąd szedł Witwicki samodzielnie i stanął w rzędzie poetów i prozaików, których do najznakomitszych policzamy. *Piosnki sielskie* szczególnego doznały powodzenia, poparte przez genialnego Fryderyka Szopena. Muzyk ten wybrał kilka, które sobie upodobał jak: „Szynkareczko, szafareczko,” albo „O! gdybym ja była słońcem na niebie” i kilka innych i podłożył do nich muzykę. Tak ilustrowane piosenki rozbiegły się po kraju w najdalsze jego zakątki i ochotnie wszędzie były powtarzane, a imiona poety i muzyka nabrały zasłużonego rozgłosu.

Kiedy społeczność wykształcona Warszawy, żywo zajmowała się pojawieniem się Mickiewicza i jego naśladowców, to wrzawą klasyków zacięta, nagle uwaga jej w inną stronę zwróconą została.

W roku 1820, nakładem swoim wydał Natan Glücksberg w czterech tomikach: *Podróż do Ciemnogrodu* przez autora *Świstka krytycznego*. Ten *Świstek krytyczny* znanym już był dobrze z *Pamiętnika Warszawskiego*; wiedziano że był nim minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego: Stanisław Kostka Potocki, mąż wielkich zasług dla oświaty krajowej i sam pisarz niepośledniego talentu. Równocześnie rozeszła się wiadomość o jego uwolnieniu z ministerstwa i chorobie z głębokiej zgrzyoty, że usunięty został z godności, którą sobie najwyżej cenił. Publiczność, której był ulubieńcem, zaledwie wyszła wiadomość o pojawieniu się *Podróży do Ciemnogrodu*, rzuciła się skwapliwie do jej rozkupu. Jakoż w ciągu trzech miesięcy, z nakładu 2,500 egzemplarzy (co na owe czasy zjawiskiem było osobliwem), wykupiono wszystkie prawie.

Dziełko to, jak i poprzednie *Świstki* w *Pamiętniku Warszawskim*, były celem ostrzej krytyki, wywoływały okrzyki zgrozy i niechęci zjadliwej przeciw autorowi.

Był wówczas ks. Surowiecki, brat rodzony uczonego historyka Wawrzyńca, ale w niczem do tego czcigodnego męża niepodobny. Miał dużo nauki, lingwista niepośledni, ale fanatyk, który potrzeby

oświaty i postępu pojmovać nie mógł; ten sarkając ciągle przeciw Potockiemu jako *masonowi*, teraz bezimiennie wydrukował ostrą krytykę, pełną brutalnych wyrażeń, mieszając z błotem i autora i dzieło, p. n.: *Swistak wyświstany*. Jakkolwiek cenzura ówczesna nie pozwoliła na druk, ks. Surowiecki potrafił tę publikacją wydać zpod prasy i rozpow szechnić w pierwój, nim władza właściwa mogła przedsięwziąć odpowiednie kroki do powstrzymania tego paszkwilu. Odczytał go Potocki z uśmiechem pogardliwój litości dla autora, który w swój zaciekości nie miał miary i granicy.

Niedługo téż dostojny wędrownik do Ciemnogrodu zakończył życie (umarł w Willanowie pod Warszawą, d. 14 września 1821 r.). Zgon jego był prawdziwą załobą między światłymi obywatelami, dla fanatyków i zwolenników zakonu smorgońskiego dniem radości i wese la. Pozbywali się bowiem kaptana światła i postępu, mogli oddychać swobodnie i drogą ulubioną bez przeszkody postępować.

Autor dziełko swoje przypisał hrabinie Janowój z Potockich Potockiej, a powód wydania we wstępie objaśnia:

„Wahałem się z ogłoszeniem *Podroży do Ciemnogrodzkiej krajiny*, bym nie pomnożył liczby ksiązek, co się postarzawszy na półkach księgarzy, a rzadko pozyskawszy zaszczyt oprawy, rozlatują się arkuszami po korzennych i piekarskich sklepach. Lecz zaspokoikoł tę obawę pisemko umieszczone w numerze 32 *Tygodnika*, mianowicie te jego słowa: „A ty śpisz *Swistku!*” Z nich bowiem wniosłem, że kiedy pisarz tak dowcipny wzywa *Swistka*, by stanął na pomoc dobrej sprawie, miał on czytelników, a może więcéj niż ci wielcy ludzie, których uczenie tęskne lub heroicznie komiczne, spoczywają u ich księgarzy *in pace*. Wziąłem się więc natychmiast do zredagowania dziennika *Pielgrzymki mojej do Ciemnogrodu*.”

Główną treścią całej pracy jest satyra, barbarzyńskich pozostałości dawnych wieków, a szczególniej téż ukazanie potrzeby oświeceni a, które leżało tak na zacném sercu Potockiego. Publiczność z niezwykłym zajęciem czytała: *Wyjazd autora z Warszawy do Portu Osięgo*. Szczęśliwe do niego przybycie, pobyt w nim przez dni kilka. Wizerunek gubernatora Osięgo portu i wyjazd. Dzień pierwszy popasu u Bonzów. Nocleg w domu barona Derus'a. Walka z duchami, czarownicami i rozbójnikami niewidzialnymi; tryumf i zwycięztwo. Dalsza droga, popas u księcia Bojostawa. Postać to wydatna i sympatyczna, w pośród wielu, którými nas autor dotąd otaczał; przybywają wreszcie nasi podróżni do stolicy kraju: Ciemnogrodu.

Niepodobna nam za autorem w szczegóły się wdawać drobne, które wszystkie ściągają się do jednego celu, do wykazania, czém państwo jest bez prawdziwój oświaty, jak nisko spada moralność społeczna. Obok tego mimochodem ciekawą wycytujemy wiadomość (t. II, str. 173). „Któż wie, pisze Potocki, czyli po pół wieku, widzowie komedyi Niemcewicza: *Powrót posta*, nie wezmą ją za przesadzoną karykaturę

i wierzyć nie zechcą, że był to wierny wizerunek podówczas żyjących przeciwników konstytucji 3 maja.”

Autor nazywa dzieło swoje *romansem*, lubo w pierwszych dwu tomach jest raczej satyrą społeczną, moralną, obyczajowo-ekonomiczną, gdyż maluje administracją Ciemnogrodu, wysokich dygnitarzy, ich sposób zapatrywania się na zarząd powierzonej im części kraju, moralność w ich urzędowaniu, handel, przemysł, rolnictwo i stan najniższej warstwy ludowej. Dalej za przybyciem do stolicy, daje nam obraz samego monarchy Ciemnogrodu, jego otoczenia i dygnitarzy, rządu, skarbu, policyi, inkwizycyi świętej, przedstawia siedmiu winowajców osądzonych przez tęż inkwizycyą i ich spalenie żywcem. W opisach powyższych nieraz stawia porównanie pomiędzy starą z XVII stulecia Rzeczpospolitą polską a Ciemnogrodem, wynajdując je, lubo nieraz w przesadzonej paraleli.

Prawdziwym romansem zaczyna być *Podróż do Ciemnogrodu* od trzeciego tomu i dramat pełen życia, nadzwyczaj się szybko rozwija. Śmierć nagła panującego monarchy, wywołuje liczne katastrofy. Córka jego, księżniczka Pięknostawa, obejmuje po nim najwyższą władzę i opiekę nad młodszym bratem, prawym następcą, jakkolwiek pełnoletnim. Książę Bojosław, mąż zarówno rozumnej rady, jak wojownik doświadczony, staje w obronie młodego następcy tronu. W wychowawcy jego Wandzie, kocha się właśnie Wacław, towarzysz podróży naszego autora, dowódzca szwadronu jazdy, nie tylko dzielny kawalerzysta i rębacz, ale człowiek wykształcony i dorodny.

Od pierwszego poznania uroczą i powabną Wandę, towarzyszką i przyjaciółką księżniczki Pięknostawy, zajęta jego myśl i serce. Widział przeszkody i zawady, ale te powoli usuwa. W ciągu romansu Wacława i Wandy wybucha wojna domowa, do której daje hasło księżniczka, opiekunka i protektorka starego zwyczaju i rządu, poparta przez zuchwałych baronów i ich nadworne wojska. W stoczonej przeciw bitwie pod murami Ciemnogrodu, wojska burzycieli, jakkolwiek o wiele silniejsze od zastępów młodego króla, pod wodzą księcia Bojosława, pobite na głowę zostały, duma baronów ukorzona, a księżniczka w przestraszu szukała schronienia w klasztorze Bonzów; ale nie ścigali jej bynajmniej wspaniali zwycięzcy.

Po uspokojeniu burzy wojennej, za pozwoleniem księcia Bojosława, z którego córką następcą tronu się ożenił, poślubił Wacław piękną Wandę i wraz z przyjacielem swoim a autorem podróży, zaczęto się gotować do powrotu. Księżniczka Pięknostawa na morową zarazę umiera. Zanim nasi wędrownicy opuścili Ciemnogród, zaszyły wielkie w tej krainie przemiany, gdyż zaprowadził młody król, przy energicznej pomocy księcia Bojosława, ład i porządek w rządzie, zrównoważenie wydatków z przychodami, uporządkował siłę zbrojną, poskromił swawole dawnych baronów, karcąc nadużycia i przynosząc ulgę biednemu ludowi wiejskiemu.

Z upadkiem dawnego rządu w Ciemnogrodzie, runęły dwie akademie podobne w zastosowaniu do kierującej w nim myśli. Że one musiały mieć licznych u nas zwolenników, dowodzi tego ustęp następny, który Potocki pomieścił w tomiku IV swjéj podróży, pisząc o wstępie na tron młodego, ale światłego i żądnego postępu następcy.

„Tak upadł sławny ten zakon, już w zasadach swoich zachwiany, od śmierci nieodżałowanej dla niego pamięci Mieczysława V, co był wznosił sławę jego do najwyższego stopnia. Tak pozbawieniśmy zostali pożadanego widoku wspaniałych obrzędów jego, których pono już jedyny ślad został w *Swistkowych* opisach. W nich się nauczyć możesz, czytelniku, jak znakomitami dla nieoświecenia prace Zakonu były. Lecz szczęściem snują się jeszcze cienia jego wśród europejskiej oświaty: a Smorgońska i Pacanowska ¹⁾ akademie, mają u nas gorliwych stronników.”

Znał ich dobrze jako minister oświecenia publicznego Potocki, bo walczyć z nimi musiał prawie na każdym kroku i usuwać przeszkody i zawady, jakie mu z wielką zrzecznością umieli stawiać, sami napozór nie biorący w tём żadnego udziału.

Nie powiemy, że *Podróż do Ciemnogrodu* niéma stron ujemnych i wielu miejsc słabych, że autor nie ukrywa swjéj niechęci do duchowieństwa; ale jeżeli poważna, surowa a rozsądna krytyka miałaoby nie mało do zarzucenia, całość jak i dążność autora przeważy zawsze ujemne strony.

Podróż ta przecież nie zasługiwała na tak bezwzględną krytykę, jaką napisał ks. Surowiecki w swoim *Swistaku wyswistanym*, gdyż nie była to ani recenzya, ani krytyka, ale wystąpienie brutalne przeciw osobie zmienawidzonego ministra oświecenia. Takie sprawy należą już do sądów kryminalnych, których szczęśliwie uniknął autor tego paszkwilu.

Równocześnie żarzewie rozniecone przez pierwsze objawy *roman-tyczności*, zaczęło gorzeć, a po zjawieniu się Mickiewicza, zamieniać

¹⁾ W przysłowiach narodowych przechowały się oba te miasteczka. Smorgoń na Litwie, w gubernii Wileńskiej, słynęło z przemysłu mieszczan swoich, którzy się trudnili hodowaniem i uczeniem niedźwiedzi, oprowadzając je po całej niemal Europie, i okazując zdziwionemu gminowi ich tańce i nadzwyczajną karuść tych drapieżnych zwierząt. Słynęła więc po całej dawnéj Polsce i Litwie ta szkoła, żartobliwie „Akademią smorgońską” przezwana, a zatem poszły różne przysłowia: „Uczeń ze Smorgońskiej szkoły;” „Gagatek smorgoński;” „Uczył się w Smorgoniach” (na głupca i nieuka używane).

Pacanów w gubernii Radomskiej, powiecie Stopnickim; duło powód przez jakieś niepomysłne wypadki, licznym z siebie uragowiskom. Niedowarzonego, niezgrabnego i zarozumiałego młodzieńca, oddawna u nas nazywano: „Uczniem akademii Pacanowskiej.” Liche zapewne musiały być szkoły, lecz rzemieślnicy doskonali, gdy kozę robiącą w ogrodzie szkody, bez skaleczenia okuł kowal; zkąd powstało przysłowie, że „w Pacanowie i kozy kuja.”

w ognisty płomień, rozszerzający się coraz więcej. Nowe organa prasy warszawskiej jak *Gazeta Polska*, *Kuryer Polski*, wreszcie poważny zeszytami organ naukowy *Dziennik Warszawski*, te trzy pisma stanęły razem w jednym szeregu, jako najgorliwsi szermierze i obrońcy nowego kierunku literackiego, a głównie też poezji polskiej. Rzeczywiście cała społeczność nasza już była znudzona i zmęczona czczością tak zwaną poezji klasycznej. Niezręczność, ba, nawet zarozumiałość krytyki klasyków, tę niechęć wzmacniała.

Zaślepieni dla literatury francuskiej i nieograniczone dla niej uwielbienie, były powodem ostrych przycinków i słusznego śmiechu. Dość tu przypomnieć wypadek z drobną powiastką Montesquieu'ego p. t. *Świątynia Wenery w Knidos*. Józef Szymanowski w ostatnich latach zeszłego wieku, z prozy francuskiej przerobił ją na poemat. Sam, znaczny życiem i zasługami dla kraju obywatel, w wolnych chwilach od prac publicznych krajowych, zajął się tą przeróbką prozy francuskiej na wiersz polski, jako miłą dla siebie rozrywką; ani myśląc, ani przypuszczając, że z tej drobnostki ktoś zechce zrobić jakieś ważne, literackie dzieło.

Józef Szymanowski w r. 1801 umiera, i w tymże samym roku Potocki, autor *Podróży do Ciemnogrodu*, wystąpiwszy z jego pochwałą, w zgromadzeniu Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, ogłasza z niezwykłym zapałem, uniesieniem i wymową *Świątynię Wenery w Knidos*, jako „arcydzieło stanowiące epokę w literaturze polskiej.”

Powaga jakiej używał Potocki w pośród inteligencji polskiej, sprawiła, że Jan Feliks Tarnowski, tego arcydzieła przygotował nowe wspaniałe wydanie w Parmie, w drukarni J. B. Bodoni'ego, (w 8-cc wielkiej, str. 63).

Niezręczna i przesadzona przyjaciela pochwała, stała się następnie powodem szyderstwa, na które czcigodny Szymanowski nie zasłużył.

Klasycy przez długi czas, nieumieli zdać sobie sprawy co to jest *romantyczność*? Jedni uważali za główny ich cel *średnie wieki*, czasy *rycerstwa*, gonitw i turniejów, przesadzonej grzeczności i galanterii dla kobiet; drudzy lubo ten żywioł za jeden z ważniejszych mieli w poezji *romantycznej*, za główną jej treści podstawę i zasadę, brali przesady, zabobony i zwyczaje ludowe, trzymając się *Dziadów* Mickiewicza. W tém byli tylko zgodni wspólnie, że *romantyczność*, która żadnych prawideł ani przepisów niecierpi, a w zaślepieniu swém i zarozumiałości głosu rozsądku, ani rozumu nie słucha, prowadzi prosto do barbarzyństwa, depcąc po swój drodze wszystko, co praca upłynionych wieków na pożytek duchowy ludzkość zgromadziła, i czem przez tyle stuleci Opatrzność pokolenia karmiła.

W tém zakłóceniu umysłów, wśród przestרחu klasyków ukazała się ballada A. E. Odyńca, najlepiej malująca ich położenie i zamęt w samej definicyi samego wyrazu. Dał jej tytuł:

Romantyczność.

Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,

Aż pies czarny bieży drogą:

Czy to pies?

Czy to bies?

Rzeczce jeden do drugiego:

„Czy ty widzisz psa czarnego?”

Żaden nic nie odpowiedział,

Żaden bowiem nic nie wiedział:

Czy to pies?

Czy to bies?

Lecz obadwa tak się zlékli,

Że weszli w rów i przykékli;

Drżą, potnieją, włos się jeży:

A pies bieży, a pies bieży...

Bieży, bieży, już ich mija,

Podniósł ogon i wywija:

Czy to pies?

Czy to bies?

Już ich minął, pobiegł dalej,

Oni wstali i patrzali:

Czy to pies?

Czy to bies?

Wtém, o dziwy! w oddaleniu

Na zakręcie znikł im w cieniu:

Czy to pies?

Czy to bies?

Długo stali i myśleli,

Lecz się nic nie dowiedzieli:

Czy to pies?

Czy to bies?

Po długim staniu i dojściu do przytomności uznali jednoznacznie, że to *bies*, a nie *pies*, i postanowili obronę przeciw złemu duchowi.

Odyniec szczęśliwie pochwycił tę niepewność klasyków w definicyi *romantyczności*, i lęk ich, którym przejęci w owe czasy byli. Kto nie żył w nich, trudno może sobie wyobrazić, jakimto była ona postrachem dla poważnych wierszopisarzy i literatów. Przeczuwali oni burzę która na nich spadnie, ale byli spokojniejsi, że na sięgnięcie gromu mają oni swoje konduktory.

Zaczęto się pilniej rozczytywać w poezjach Mickiewicza, ale egzemplarze wileńskiego wydania stawały się coraz bardziej rzadkością; wreszcie stały się *białemi krukami* bibliograficznymi. Przez ten czas genialny poeta niepróżnował, i tworzył wciąż nowe arcydzieła. Wydał poemat: *Konrad Wallenrod*, i zbiór sonetów, pomiędzy którymi

znaczna część *Sonetów krymskich*. Zarazem opracowywał rozprawę: *O recenzentach i krytykach warszawskich*, którą chciał umieścić na czele nowego a w porządku *drugiego* wydania swoich poezyi, które wyszły w Petersburgu, nakładem autora, drukiem Karola Kraya, 1829 r. (W 8-ce, t. I, str. 284, t. II, str. 298).

Jasne pojęcie o *romantyczności* jeszcze więcej zamglił sławny nie tylko na owe czasy, Jan Śniadecki matematyk i filozof, jeden z najznakomitszych pisarzy XIX stulecia, rektor uniwersytetu Wileńskiego, który w IV tomie wydanych swoich *Pism rozmaitych* (Wilno, w 8-ce, 1822 r.), na czele pomieścił obszerną rozprawę p. t. *O pismach klasycznych i romantycznych*, i tём większą obawę a nawet trwogę pomiędzy polskimi klasykami rozniecił. Oto wstęp, w którym rozróżnia pisma klasyczne i romantyczne.

„W pięciu numerach *Pamiętnika Warszawskiego*, od marca aż do lipca, znakomity w języku naszym pisarz Kazimierz Brodziński, uczenie i przyjemnie opisał własności pism klasycznych i romantycznych. Są tam zbawienne rady i rozsądne przestrogi dla poezyi polskiej. Przyszły mi w czytaniu tego pisma niektóre myśli, które posłużą może do wyraźniejszego widoku rad podanych od autora, a silniej powściągną młódz naszą od polubienia i naśladowania przywar sąsiedzkich.”

„Że romantyczność jest oddzielnym i niby nowym rodzajem poezyi, że się zajmuje i ożywia żalosném wspomnieniem do rzeczy przeszłych, albo wznowieniem zdarzeń, jakie bawiły ludzi w wiekach rycerskich, wcale to do mojej uwagi nie wchodzi. Uważam ja ją, z jej niezaprzeczoném znamięm i pod względem jedynie dla literatury i oświecenia prawdziwie szkodliwém, to jest jako niesłuchającą prawideł sztuki, i w swobodném bujaniu *imaginacyi* szukającą zalet, i jakby nowych dróg zbawienia i nauczania. Dla tego piękności greckie i rzymskie, jakoby foremne i postrzyżone ogrody, nie tak przypadają jej do smaku, jak bujne stepy i zarośle azyatyizmu: kocha się radziej w dzikiéj, jak w przyozdobionéj sztuka naturze. W mojem więc rozumieniu, to wszystko jest *klasycyzném* co jest zgodne z prawidłami poezyi, jakie dla francuzów Boileau, dla polaków Dmóchowski, a dla wszystkich wypolerowanych narodów przepisał Horacy; *romantycyzném* zaś to, co przeciwko tym prawidłom grzeszy i wykracza.”

Po tak dobitnym wstępie, dowodzi że romantycy nic nowego nie wynaleźli, ale wskrzesili dawno zapomniane rzeczy, do stanu dzisiejszego towarzystwa wcale nieprzystające: porównywa romantyków na polu dramatyczném z pisarzami greckimi i łacińskimi. Objasnia że wymysły romantyków nie są ani naturą, ani obrazem społeczności; wykazuje trafnie wskazany cel komedy i tragedyi przez Horacego. Stawia Szekspira jako wzór romantyków i poświęca mu obszerny ustęp. Określa jego powołanie, naukę i stan umysłowy Anglii za jego czasów. Dowodzi że pisałby inaczej, gdyby miał nauki i pomocy ile pisarze dzisiejsi: wspomina że bez jedności *rzeczy, miejsca i czasu* nie może być

illuzji teatralnej. Wreszcie, że wskrzeszenie romantyczności wypadło z filozofii transcendentalnej niemieckiej: jedno i drugie jest wywołaniem z grobu zapomnianych. Skwapliwe ubieganie się za oryginalnością, bez natchnienia prawdziwego talentu, prowadzić może do szaleństwa. Zamyka wostatku rzecz swą temi słowy:

„My polacy! słuchajmy nauki Lokka w filozofii, przepisów Arystotelesa i Horacego w literaturze, a prawideł Bakona w naukach obserwacyi i doświadczenia. Uciekajmy od *romantyczności*, jako od szkoły zdrady i zarazy!

„Romantyczność radzi porzucić wszystkie prawidła sztuki, żeby nabyć znaczenia w niepodległości; my postanówmy sobie unikać bezprawia i rozwiązłości, bo te prowadzą nie do znaczenia, ale do nierządu i barbarzyństwa.

„Romantyczność mówi: durzmy ludzi, pokazujmy im *duby*, znieśmy prawa nauki i rozsądku, żeby niebyło prawidła do sądenia nas! My szanujmy od dwu tysięcy lat przepisane prawa, które potwierdziła prawda i doświadczenie: bądźmy im posłuszni, bo one wydały tak wielkich ludzi, jakich jeszcze nie urodziła, i podobno nigdy nie urodzi romantyczność. Pomyślmy sobie, że nowość bez prawideł może być dzwactwem, albo rozpaczą głów dumnych, a zatem środkiem niebezpiecznym dla oświaty krajowej. Starajmy się tak pisać i myśleć, żebyśmy się nigdy nie bali sądu w trybunale prawdy, przyjemności i smaku.

„Romantyczność odrzuca jeszcze doświadczenie, burzy imaginacyą przeciwko rozumowi, i zapala jak wojnę domową między władzami człowieka. Nie słuchajmy tych poduszczeń spiskowych: bo najpiękniejsze twory umysłu ludzkiego są to dzieci pokoju, zgody i harmonii między wszystkimi siłami duszy, które się nawzajem w ich wydaniu łączą i posiłkują. Nie wchodźmy w zapasy z żadnym obcym narodem, nie zazdrośćmy żadnemu jego chwały i zaszczytów; ale starajmy się pomnażać nasze własne. W domu tylko, w dobru i pożytkach naszych ziomeków szukajmy znaczenia i sławy; bo wziętość narodu u zagranicznych, rodzi się i wynika z wielkiej masy zaszczytów domowych.”

Tak zamknął swą rzecz Jan Śniadecki, pisząc tę rozprawę w Wigilią Bożego Narodzenia, d. 24 grudnia 1818 r.

Jak pojmował romantyczność sam Mickiewicz, wymownie nam określa w wierszu swoim i przedmowie do pierwszego wydania, 1822 r., pierwszych swoich tomików poezyi. Na czele wiersza położył za godło wiersz Szekspira:

„Zdaje mi się że widzę... gdzie?
Przed oczyma duszy mojej.”

Przypomnijmy ów wiersz wielkiego poety:

Romantyczność.

Słuchaj dzieweczko!
— Ona nie słucha.

To dzień biały! to miasteczko!
 Przy tobie niema żywego ducha.
 Co tam wkoło siebie chwytasz?
 Kogo wołasz? z kim się witasz?

— Ona nie słucha!
 To jak martwa opoka,
 Nie zwróci w stronę oka;
 To strzela wkoło oczyma,
 To się łzami zaleje;
 Coś niby chwyta, coś niby trzyma:

Rozpłacze się i zaśmieje.

— „Tyżeś to w nocy? To ty Jasieńku!

Ach! i po śmierci kocha!
 Tutaj, tutaj, pomaleńku:
 Czasem usłyszysz macocha;
 Niech sobie słyszy, już niema ciebie,
 Już po twoim pogrzebie!
 Ty już umarłeś? Ach! ja się boję!
 Czego się boję, mego Jasieńka?
 Ach! to on! lica twoje, oczki twoje!

Twoja biała sukienka!

I sam ty biały jak chusta,
 Zimny, jakie zimne dłonie:
 Tutaj połóż, tu na łonie,
 Przyciśnij mi do ust usta!
 Ach! jak tam zimno musi być w grobie!

Umarłeś, tak, dwa lata!

Weź mnie, ja umrę przy tobie:

Nie lubię świata.

Źle mi w złych ludzi tłumie!

Płacę, a oni szydzą;

Mówię, nikt nie rozumie:

Widzę, oni nie widzą!

Śród dnia przyjdź kiedy! To może we śnie?

Nie, nie, trzymam ciebie w ręku.

Gdzie znikasz, gdzie, mój Jasieńku?

Jeszcze wcześniej, jeszcze wcześniej!

Mój Boże, kur się odzywa,

Zorza błyska w okienku.

Gdzie znikłeś? Ach! stój, Jasieńku!

Ja nieszczęśliwa!

Tak się dziewczyna z kochankiem pieści:

Bieży za nim, krzyczy, pada;

Na ten upadek, na głos boleści,

Skupia się ludu gromada.

„Mówcie pacierze! krzyczy prostota,
 Tu jego dusza być musi,
 Jasio być musi przy swój Karusi:
 On ją kochał za żywota.”
 I ja to słyszę i ja tak wierzę,
 Placzę i mówię pacierze.
 „Słuchaj dziewczeczko! krzyknij wśród zgiełku
 Starzec i na lud zawoła:
 Ufajcie memu oku i szkiełku,
 Nic tu nie widzę dokoła.”
 „Duchy karczemnej tworem gawiedzi,
 W głupstwa wywarzone kuźni;
 Dziewczyna duby smalone bredzi
 A gmin rozumowi bluźni ¹⁾.”
 Dziewczyna czuje, odpowiadam skromnie
 A gawieź wierzy głęboko,
 Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
 Niż mędrca szkiełko i oko.
 Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
 Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce;
 Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu:
 Miej serce i patrzaj w serce.

Ostatni wiersz nietylko stał się przysłowiem dla społeczności całej, ale dla młodego pokolenia jakby religijnym dogmatem. Gdziekolwiek bowiem słyszałeś rozmowę o literaturze polskiej, a szczególnie o poezji, zawsze „Miej serce i patrzaj w serce,” stawało na czele dysputy lub ją zamykało.

W Moskwie wyszło pierwsze wydanie sonetów Mickiewicza (w małej 4-ce 1826 r.). Edycja ta zaimponowała wielce klasykom, a okrzyk radości w obozie romantyków wywołała. Na czele bowiem pomieszczona litografowana stronnica, obejmowała sonet V (z początku *Sonetów krymskich*), przetłómaczony na wiersz perski. Przetłómaczył go Mirza Dżafar Topczy-Basza, profesor adjunkt w uniwersytecie St. Petersburskim, tłumacz w kolegium Azjatyckim.

Widok gór ze stepów Kozłowa.

Pielgrzym.

Tam! czy Allah postawił wpoprzek morze lodu?
 Czy aniołom tron oddał z zamrożonej chmury?
 Czy *diwy* ²⁾ z ćwierci ładu dźwignęły te mury,
 Aby gwiazd karawanę nie puszczać ze Wschodu?

¹⁾ Te cztery wiersze obejmują wyrazy i wyrażenia, użyte przez Jana Śniadeckiego przeciw romantyczności.

²⁾ *Diwy*, według starożytnej mitologii Parsów, złośliwe geniusze, które niegdyś panowały na ziemi, potem wygnane przez aniołów, mieszkają teraz na końcu świata, za górą Kaf.

Na szczycie jaka łuna! ¹⁾ pożar Carogrodu!
 Czy Allah, gdy noc *chylat* ²⁾ rozciągnęła bury,
 Dla światów żeglujących po morzu natury,
 Tę latarnię zawiesił wśród niebios obwodu?

Mirza.

Tam? Byłem: zima siedzi, tam dzioby potoków
 I gardła rzek widziałem pijące z jój gniazda.
 Tchnąłem, z ust mych śnieg leciał; pomykałem kroków,
 Gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda,
 Aż tam, gdzie nad mój turban była tylko gwiazda:
 To *Czatyrdak!* ³⁾

Pielgrzym.

Aa!!

Zatrzymać musimy uwagę nad rozprawą Mickiewicza, pomieszczoną na czele pierwszego wydania poezyi jego (Wilno, 1822 r.), w której objaśnia, co rozumieć należy przez poezją romantyczną.

„Na ruinach państwa rzymskiego usadowione hordy północne i z ludem miejscowym zmieszane, miały kiedyś obudzić uśpioną długi czas imaginacją i zdobyć się na wcale nowy rodzaj poezyi. Hordy te, ile ich być mogło, miały zapewne właściwe sobie uczucia, opinie, wyobrażenia mityczne i podania; lecz pośród nich nie powstawały talenta poetyckie, któreby tak świetnie, jak niegdyś u Greków, mogły świata bajecznego użyć, wpłynąć na uobyczajenie ludów, charakter narodowy oczyszczać i wzmacniać. Rozwinięciu się w tym sposobie talentu poetycznego liczne stawały przeszkody. Dzikie lub tułackie życie ludów północnych, mieszanie się jednych z drugimi, udzielanie sobie nawzajem wyobrażeń, mniemań, obyczajów i wyrazów języka sprawiły: że mitologia północna, jakkolwiek po niektórych stronach, w poezją bogatszych, kształcona, nigdy nie ustaliła się jednak, wyobrażenia mityczne nie złożyły foremnój, pięknej i harmonijnej jedności, czyli systemu świata mitycznego. Zawsze tam przebijała się nieforemność, potworność, brak porządku, związku i całości. Dla téjże samój przyczyny, język tych ludów długo był nieokrzesany, mógł być śmiały w wyrażeniach, ale mniej dobitnych i ścisłych. Lecz ponieważ stan rzeczonych ludów nagle i szybko zmieniał się, zawsze dla poezyi pomyslnie, aż się nareszcie ustalić musiał; ztąd i poezya, idąc statecznie

1) *Na szczycie jaka łuna?* Wierzchołki Czatyrdaku po zachodzie słońca skutkiem odbijających się promieni, przez czas jakiś zdają się być w ogniu.

2) *Chylat*, suknia honorowa, którą sułtan obdarza wielkich urzędników państwa.

3) *Czatyrdak*, najwyższy w pasmie gór Krymskich na brzegu południowym, daje się widzieć zdaleka, niemal na 200 wiorst, z różnych stron, w postaci olbrzymiej chmury sinawego koloru.

za zmianami, przyjmowała zawsze coraz pewniejszą postać i charakter. Nowe uczucia i wyobrażenia samym barbarzyńcom właściwe, tak nazwany *duch rycerski* i z nim połączony szacunek i miłość ku płci pięknej, Grecyi i Rzymianom obcy, ścisłe przestrzeganie praw honoru, uniesienia religijne, podania mityczne i wyobrażenia ludów barbarzyńskich, dawniejszych pogan i nowoczesnych chrześcian pomieszane razem: oto jest co stanowi w wiekach średnich *świat romantyczny*, którego poezya zowie się téż *romantyczną*.

Poezja ta miała swój stały charakter, miarkowany tylko miejscowym wpływem ponurych i uniesionych Normandów, wesołych Minesingerów, czułych Trubadurów. Zewnętrzne wydanie, czyli język zlewkiem będąc języków północnych i rzymskiego, nazwany został *romancem*; z kąd poszło, że późniejsi i ową poezją i duch czasu *romantycznymi* mianowali."

Przywiedliśmy ten ustęp z tego powodu, że klasycy uderzali nim jak taranem w zastępy romantyków, pokazując im, że cała ich literatura i poezja od dzikich ludów i barbarzyńskich bierze początek. A gdy występowali z obroną młodzi romantycy, odpowiadano im z pogardą:

„Czytajcie waszego mistrza, wszakże sam Mickiewicz okazuje z jakiego kału wypłynęła romantyczność. My trzymamy się zawsze pięknej, zawsze pogodnej *Hellady*, wraz ze starożytnym Rzymem, co światem rządził i przepisywał mu prawa. Wolimy boskiego Homera, nieporównanego Wergilego, niż waszych Minesingerów i Trubadurów, co po zamkach rozbójniczych baronów i rycerzy średniowiecznych, wznosili im pieśni pochwalne i wnosili ich cnoty.

d. 14 lipca 1879 r.



119.44